ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 8 (175) SIERPIEŃ 2013
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NAKŁAD 12 400

EXTREMALNE PENETRACJE

PODMORSKICH GŁĘBIN

ODKRYCIE CARSKIEGO WRAKU

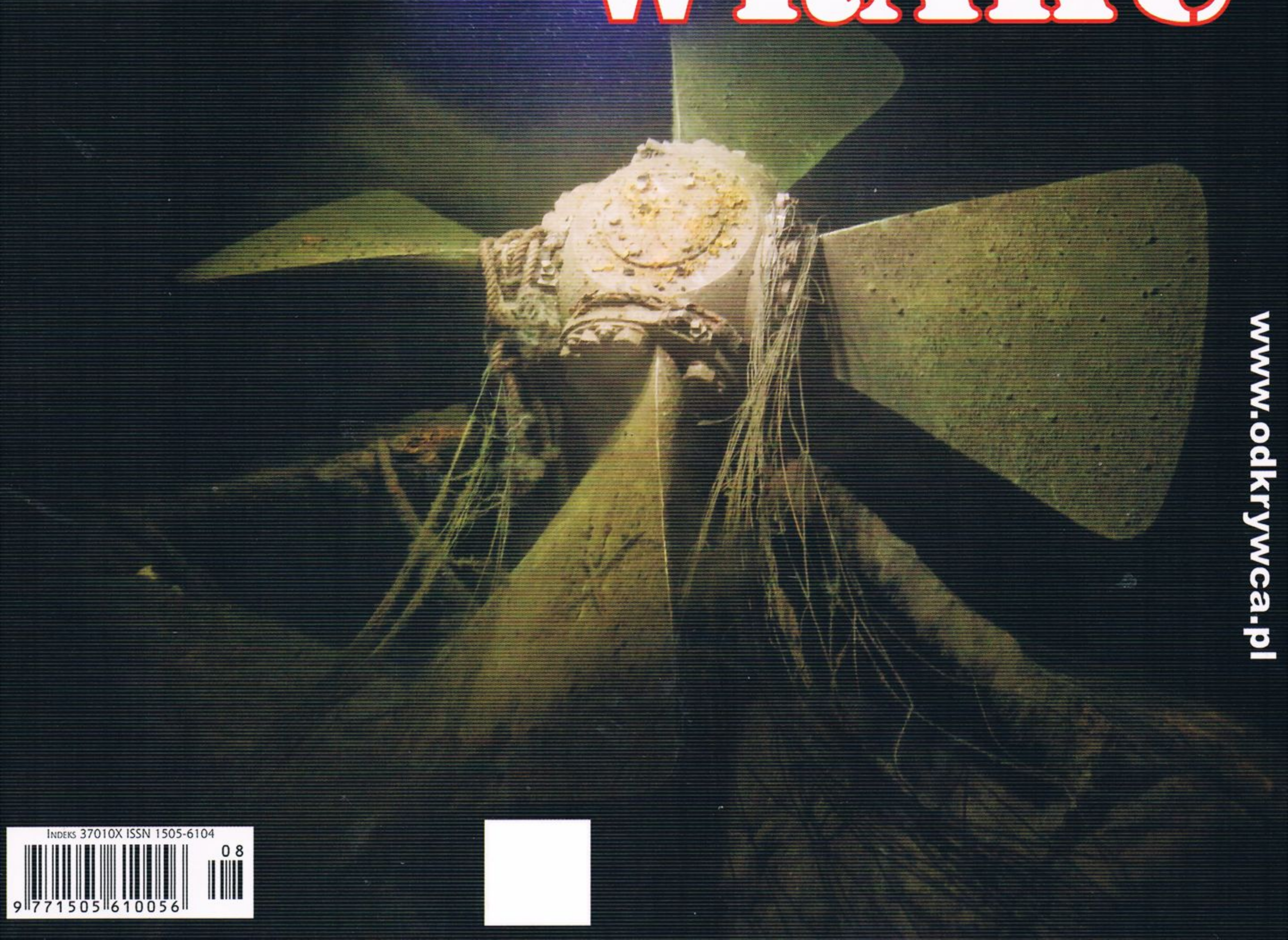

www.odkrywca.pl

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GARRETT®
METAL DETECTORS
www.garrett.com

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

AT PRO

AT Gold

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

E-Trac

CTX 3030

Safari

NOWOŚĆ

Excalibur II

MINELAB

GPX - 5000

NOWOŚĆ

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F75 LTD

CZ 3D

F2

F4

F5

F70

F75

Gemini-3

CZ 21

1270

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Bug

Gold Maxx

GMaxx II

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

SIERPIEŃ 2013

POSZUKIWANIA

3 **Wielka gra o „Czerwoną Orkiestrę"**
Dla jednych bohater, dla innych jego przeciwieństwo. Taki jest los chyba każdego agenta wywiadu. Nie inaczej wygląda sprawa Leopolda Treppera, choć on sam konsekwentnie powtarzał, że szpiegiem nigdy nie był. Oto historia człowieka, który uznawany jest za twórcę najskuteczniejszej podczas II wojny światowej siatki szpiegowskiej…
Piotr Maszkowski

8 **„Rusałka" – zaginiony pancerny wrak**
Radosław Bizoń

13 **Sturmgewehr z Łodzi**
Michał Mackiewicz

17 **Tajemnicze sztolnie**
Góra św. Anny ciąg dalszy…
Leszek Adamczewski

20 **Helski port wojenny**
Widziane z góry cz. 2
Sebastian Różycki, Władysław Szarski

22 **Transporter widmo**
Piotr Maszkowski

24 **Badanie „Hochberga"**
Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 2)
Krzysztof Krzyżanowski, Dariusz Wójcik

31 **Kopalnia uranu żołnierskim okiem**
Tomasz Rzeczycki

35 **Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 1)**
Janusz Skowroński, Andrzej Kuźniar

TAJEMNICE HISTORII

40 **Toszecki szpital – przemilczana historia tragedii**
Nad Toszkiem góruje bryła zamku, która przyciąga wzrok amatorów zwiedzania. Zauroczeni widokiem, kierują się w jego stronę, mijając po drodze budynki toszeckiego szpitala psychiatrycznego. Pewnie zwracają na nie uwagę, ale bardziej przyciąga ich zamek. To zrozumiałe. Tak naprawdę jednak, mroczna historia tego miejsca wiąże się właśnie ze szpitalem. To fatum, które, mam wrażenie, zawisło nad Toszkiem i za żadne skarby nie chce odejść…
Dariusz Pietrucha

RAPORT

48 **Jak wyglądałoby Leszno, gdyby Hitler wygrał wojnę cz. 2**
Jerzy Bogdanowicz

KOLEKCJONERSTWO

54 **Kieszonkowa artyleria „Wuja Sama"**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 3)
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

59 **Tylko dla wytrwałych, czyli rajd Szlakiem Umocnień wału Pomorskiego**
Jerzy Sadowski

61 **MRU – podziemna fabryka (cz. 1)**
Marcin Dudek

67 **Most kolejowy w Kruklankach i okoliczne fortyfikacje**
Jacek Jarosz

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości sierpnia w Księgarni Odkrywcy**

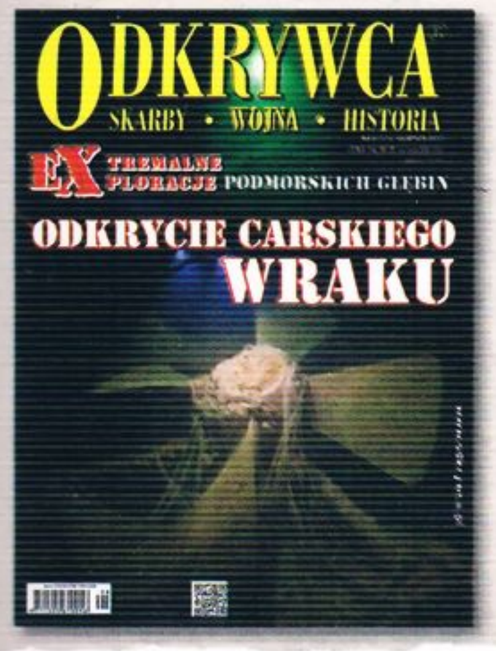

Okładka:
Jedna ze śrub zatopionego pancernego wraku „Rusałka".
Zdjęcie: Radosław Bizoń

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak,
Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński,
Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki,
Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

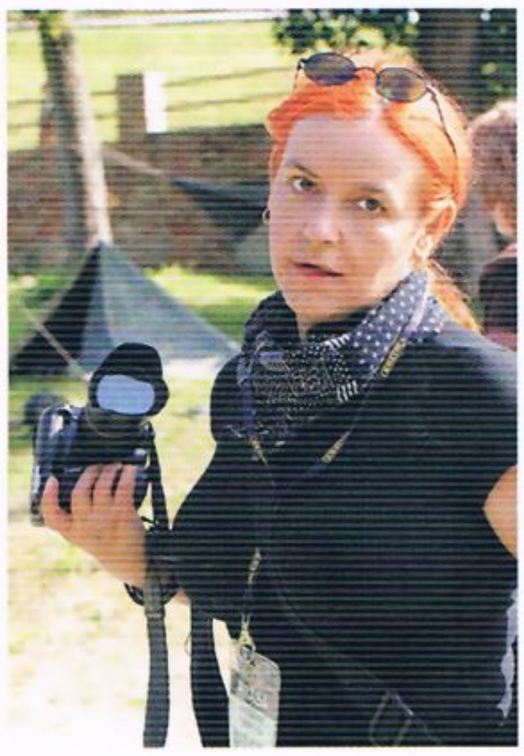

Rozmawiałam niedawno z aktywistą ruchu ekologicznego na tematy, co raczej oczywiste, odległe od historii. Było to krótko po kolejnej, spektakularnej akcji środowisk ekologicznych szturmujących jakiś następny komin elektrowni, w intencji zwrócenia uwagi na szkodliwość emisji pyłów i gazów powstających w wyniku spalania węgla. Naszą przyszłością jest energia wiatru i słońce, a nie paliwa kopalne, których zasoby i tak prędzej czy później się wyczerpią – powtarzał ekolog, współbrzmiąc z tym, co niejednokrotnie słyszymy z różnych stron. Górnictwo to przeszłość, a przeszłość jest mało ważna – zakończył z wyższością. Mam nadzieję, że ta generalizacja dotyczyła jedynie przyszłych sposobów pozyskiwania energii, a nie uogólnionego stosunku do historii, ale dla mojej historycznie zorientowanej wrażliwości, było to zbyt wiele, aby temat zlekceważyć. Bo przecież górnictwo jest historycznie, obok rolnictwa i szeroko rozumianej wytwórczości, jednym z fundamentów rozwoju i podtrzymywania cywilizacji, takiej jaką znamy. Nie wdając się w rozważania ekologiczno-środowiskowe, a te z licznych powodów zdają się przeczyć twardemu stanowisku ekologów (lub co najmniej je podważać), chcę Wam polecić artykuł Janusza Skowrońskiego i Andrzeja Kuźniara o łużyckim „brunatnym skarbie" – węglu brunatnym, który spędza sen z oczu ekologom, ale był, i jest nie tylko nośnikiem energii, także nośnikiem kultury materialnej całego regionu. Wiem, że publicystyka historyczna, której bazą i tworzywem są zagadnienia kultury przemysłowej, traktowane bezpośrednio, a również, jako przesłanka przedstawienia rozwoju społecznego zachodzącego w związku z postępującym uprzemysłowieniem, ma rosnące grono zwolenników. Istotnie rośnie również zainteresowanie turystyką postindustrialną (poprzemysłową), która zwłaszcza na obszarze Dolnego i Górnego Śląska ma wprost nieograniczone perspektywy rozwoju. Przy rzeczywiście znacznym zdegradowaniu środowiska naturalnego, to właśnie turystyka poprzemysłowa, jako dziedzina turystyki miejskiej i kulturowej, wydaje się być szansą rozwojową dla wielu ośrodków miejskich dotkniętych poprzemysłową zapaścią.

Warto więc tworzyć swoiste lobby naciskające na zwiększenie prawnej ochrony konserwatorskiej, i przygotowywanie prawnych rozwiązań umożliwiających zabezpieczenie wartościowych historycznie obiektów, wchodzących w skład różnych likwidowanych zakładów. W kraju, w którym poprzemysłowe dziedzictwo rozszarpywane jest przez „złomiarzy", zostaną tylko puste hale, a i te zawalą się z czasem, pozbawiane stalowych elementów zbrojenia. Atrakcyjność i pożyteczność poznawcza, dydaktyczna czy nawet emocjonalna szlaków zabytków techniki i przemysłu, w niczym, jak myślę, nie ustępuje tradycyjnie rozumianym szlakom historycznej pamięci – na ogół przecież związanym z militarną, często bolesną przeszłością. Wydaje mi się nawet, że brak bezpośredniej relacji z militarnymi, czy nawet patriotycznymi aspektami przeszłości, może stanowić ich walor, uwalniając od różnych pokus wpływania na kształt emocji historycznej, która przecież zawsze jest jakoś obecna w zamyśle ekspozycji, prezentacji czy inscenizacji historycznej. Zanim więc ostatecznie ujarzmimy energię słoneczną, co rzeczywiście może zdarzyć się w przyszłości, znajdźmy pokłady zainteresowania poprzemysłowym dziedzictwem, i wyruszmy na szlaki zabytków techniki, które dostarczą z pewnością nie mniej satysfakcji od miejsc, które polecamy od lat, i do których chętnie przecież wracamy – jak np. na Międzyrzecki Rejon Umocniony. Tym razem prowadzi nas tam Marcin Dudek, odkrywając przemysłową tajemnicę podziemnych chodników. Wracamy również na Górę Św. Anny – Leszek Adamczewski, zainspirowany tekstami Dariusza Pietruchy publikowanymi w poprzednich wydaniach „Odkrywcy", napisał suplement do jego znakomitych artykułów – o kryjących się w górze sztolniach.

Chowając się przed sierpniowym słońcem, pozostaniemy jeszcze w górniczych szybach – wraz z Tomaszem Rzeczyckim penetrujemy dolnośląskie kopalnie uranu, a z Krzysztofem Krzyżanowskim i Dariuszem Wójcikiem ponownie opuszczamy się na dno szybu „Hochberg" w poszukiwaniu związku Rubensa z sichowskim hematytem.

Kontrapunktem dla podziemnych eksploracji, których tak wiele w sierpniowym wydaniu „Odkrywcy", będzie głęboka woda Zatoki Fińskiej – zachęcam na koniec do lektury autorskiej relacji z wyprawy Radosława Bizonia do „Rusałki", carskiego wraku pancernego spoczywającego na dnie Bałtyku. Nurkowanie wrakowe, to podobnie jak niektóre z opisywanych przez nas eksploracji, ekskluzywne zajęcie – trudno je realizować bez specjalistycznego przygotowania, odpowiedniego sprzętu i grupy towarzyszących profesjonalistów, ale przecież z „Odkrywcą" zawsze można bezpiecznie zagłębić się w nieznane!

O czym przekonana, serdecznie polecam sierpniowe wydanie naszego magazynu.

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Wielka gra o „Czerwoną Orkiestrę"

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI
DOKUMENTY: IPN

Dla jednych bohater, dla innych jego przeciwieństwo. Taki jest los chyba każdego agenta wywiadu. Nie inaczej wygląda sprawa Leopolda Treppera, choć on sam konsekwentnie powtarzał, że szpiegiem nigdy nie był. Oto historia człowieka, który uznawany jest za twórcę najskuteczniejszej podczas II wojny światowej siatki szpiegowskiej…

Jakiś czas temu, zaprezentowane zostały na naszych łamach perypetie amerykańskiego korespondenta „New York Timesa", który w 1972 roku, w jednej z radomskich kamienic, poszukiwał skrzyni ukrytej w czasie II wojny światowej („Odkrywca" nr 5/2013). Dziennikarz długo zastanawiał się nad swoistym paradoksem, jakiego doświadczył. Otóż te same miejscowe władze, które umożliwiły mu podjęcie próby odzyskania judaiców, należących do mieszkającego w USA radomskiego Żyda, od prawie dwóch lat blokowały wyjazd do Izraela Leopoldowi Trepperowi, byłemu już wówczas przewodniczącemu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Amerykanin nie mógł zrozumieć jednej jeszcze kwestii. W ciągu minionych kilku lat, w wyniku antysemickiej nagonki inspirowanej przez czynniki państwowe, zmuszono do wyjazdu z kraju kilkanaście tysięcy, w większości całkowicie zasymilowanych Żydów. Tymczasem wyjazd jednego z najważniejszych przedstawicieli tej społeczności z Polski, był odgórnie blokowany. Powodem miała być jego działalność wywiadowcza, jaką prowadził podczas II wojny światowej.

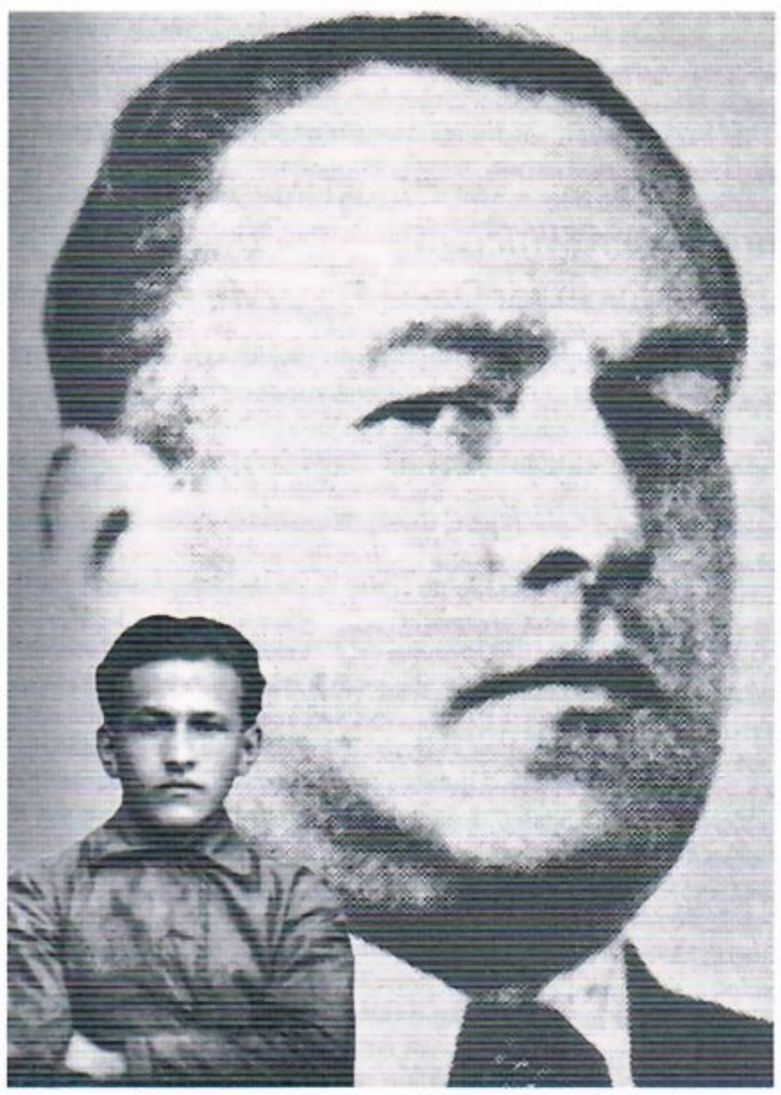

Leopold Trepper za młodu i w sile wieku.

Sprawa ta wydała się nam na tyle interesująca, że postanowiliśmy przyjrzeć się jej bliżej. Okazja ku temu była wyśmienita, gdyż, jak udało się ustalić, w zeszłym roku ukazała się polskojęzyczna edycja wspomnień Leopolda Treppera. Co znamienne, nastąpiło to po 37 latach od pierwszego wydania, które zostało opublikowane we Francji w 1975 roku. Trzeba przyznać, że lektura jest fascynująca, historia arcyciekawa, a spostrzeżenia autora często zaskakujące. Cóż, wyznania szpiegów z reguły są wciągające, choć właściwie nigdy nie wiemy na ile szczere i wiarygodne. Warto więc zestawić je z dostępną literaturą. W rodzimym języku nie mamy właściwie zbyt wielkiego wyboru, poza książką V. E. Tarranta „Czerwona Orkiestra" z 1996 roku. Dzięki obu pozycjom jesteśmy w stanie prześledzić historię jednej z siatek wywiadowczych działających podczas II wojny światowej, uznawanej w świecie za niezwykle skuteczną. Jednak obie pozycje nie tłumaczą w precyzyjny sposób, dlaczego polskie władze 30 lat po zakończeniu wojny blokowały Leopoldowi Trepperowi możliwość wyjazdu z kraju. I dlaczego wielokrotnie składane przez niego wnioski, były konsekwentnie odrzucane. Decyzje oględnie tłumaczono, jako – wyższa racja stanu. Co więcej, Leopold Trepper częstokroć wspominał o totalnej niemal inwigilacji jego osoby przez Służbę Bezpieczeństwa. Chcąc znaleźć odpowiedzi na nurtujące nas pytania, jedynym rozwiązaniem była kwerenda w zasobach Instytutu Pamięci Narodowej i sprawdzenie, czy tam nie znajduje się przypadkiem dokumentacja dotycząca tej intrygującej sprawy. Efekt pierwszej już kwerendy przeszedł najśmielsze oczekiwania. Udało się dotrzeć aż do 7 opasłych tomów akt sprawy, zawierających ponad 2 tysiące kart dokumentów z lat 1967-1973. Mamy więc okazję zapoznania się ze źródłami, umożliwiającymi niemal wgląd w duszę człowieka objętego totalną inwigilacją. Źródła te pozwolą także przyjrzeć się niniejszej historii z wyjątkowej perspektywy, nie tylko materiałów operacyjnych Wydziału III Departamentu III MSW (raporty, notatki, doniesienia TW, stenogramy z podsłuchów), ale również licznych artykułów prasy światowej i nasłuchu radiowego, skwapliwie gromadzonych i tłumaczonych przez Służbę Bezpieczeństwa.

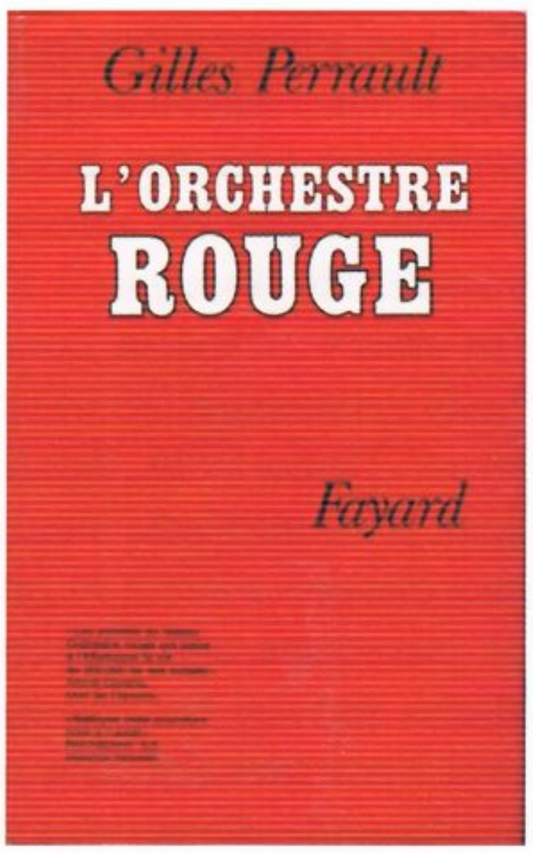

Pierwsze wydanie książki Gillesa Perrault o „Czerwonej Orkiestrze".

Wielka gra z bezpieką

Inwigilacja Leopolda Treppera vel Leiba Domba trwała od czasu jego wizyty w Izraelu w 1966 roku do 1973 roku, kiedy ostatecznie udało mu się wyjechać na Zachód. Początkowo znalazł się on w naturalnym zainteresowaniu MSW, ze względu na pełnioną funkcję przewodniczącego zarządu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, oraz szefa wydawnictwa Jidysz Buch, a także licznych podróży zagranicznych i kontaktów z obcokrajowcami. Po wybuchu wojny izraelsko-arabskiej i rozpoczęciu w Polsce nagonki antysemickiej, władze próbowały wpływać na jego reakcje i postawy. *„Działalność Domba od czasu czerwcowej agresji Izraela wskazuje, że postawa jego i praktyczne poczynania są niezgodne z linią naszej partii. (…) Domb był jednym z tych, którzy ociągali się z wyda-*

niem deklaracji potępiającej agresję Izraela" – notatka z-cy naczelnika Wydz. III Dep. III MSW ppłk. R. Kasperczuka, z 26 VI 1968 r. Gdy odmówił współpracy, w wyniku odgórnych nacisków zrezygnował w 1968 roku z piastowanych stanowisk i usunął się z aktywnego życia politycznego. Po przymusowej emigracji z kraju jego trzech dorosłych synów, w lipcu 1970 roku złożył wniosek o wyjazd do Izraela, motywując go chęcią połączenia się z rodziną. W trakcie wielomiesięcznego oczekiwania na odpowiedź, został usunięty z szeregów PZPR. *„Posiadamy informacje, że b. przewodniczący ZG TSKŻ Leopold Domb nadal zajmuje negatywną postawę wobec polityki partii i działalności władz państwowych. Świadczą o tym jego wypowiedzi w kręgu bliskich znajomych. L. Domb usiłuje też destrukcyjnie oddziaływać na aktualne kierownictwo TSKŻ, zarzucając mu kolaborację z władzami PRL"* – dyrektor Departamentu III MSW płk H. Pietek. Notatka z 10 XII 1970.

Wydawałoby się, że postawa Leopolda Treppera kwalifikuje go w zaistniałych uwarunkowaniach politycznych do natychmiastowego wręcz wydalenia z kraju. Tymczasem, kolejne jego wnioski o wyjazd były systematycznie oddalane, jak tłumaczono mu oględnie, ze względu na „wyższą rację stanu". Jednocześnie zaostrzono inwigilację jego osoby, izolując od kontaktów z zachodnimi dziennikarzami, coraz bardziej zaniepokojonymi jego losem. Tym większym, że od 1967 roku Leopold Trepper, po pierwszej publikacji we Francji książki o „Czerwonej Orkiestrze", zdobył niezwykłą popularność w Europie. Wielu publicystów było zainteresowanych jego szpiegowską działalnością podczas II wojny światowej i starało się wydobyć od niego nieznane dotąd tajemnice radzieckiego wywiadu. Jednym z nich był Jérôme Duhamel, który na łamach tygodnika „Paris Match" w lutym 1972 roku tak opisał próbę spotkania się w Warszawie z Leopoldem Trepperem. *„(…) Na ulicy chodzą za mną. Bezimienni i milczący, dyskretni i zawzięci. Nie sposób działać tego wieczoru. Należy czekać. Sobota, 17-ta. Jedyne rozwiązanie przeskoczyć, jak najszybciej stumetrową odległość dzielącą mnie od domu Trepperów, by w ten sposób zaskoczyć moich »towarzyszy«. Działam bardzo szybko. Myślę tylko o jednej rzeczy: prześcignąć ich. Pędzić. Wspiąć się po cztery schodki na raz na 6-te piętro. Zapukać do drzwi. »Proszę szybko wejść« – wyszeptano mi. »Jest pan Francuzem? Bardzo się cieszę z pańskiej wizyty« (…)".*

Mogłoby się wydawać, że Duhamel nieco przesadził i udramatyzował akcję, zresztą podobnie, jak większość jego kolegów po fachu z zachodnich mediów, którzy próbowali kontaktować się z „wielkim szefem". Nie przesadził, o czym

Gen. Jan Berzin, szef GRU, który zlecił L. Trepperowi organizację europejskiej siatki wywiadowczej.

świadczy notatka naczelnika Wydziału III Dep. III ppłk. S. Stochaja z 2 lipca 1971 roku: *„Za Dombem od 10 V 71 r. prowadzona jest ciągła obserwacja przez 24 godziny. Pociąga to poważne koszty operacyjne i naraża na dekonspirację pracowników Biura B i naszych zainteresowań przed figurantem. (…) Z uwagi na to, że decyzję odmowną odnośnie emigracji podjęto na prośbę organów KGB, proponujemy:*

– przekazać załączoną notatkę organom KGB z prośbą o ponowne rozpatrzenie sprawy Domba i podjęcie pozytywnej decyzji o jego emigracji do Izraela,

– uważamy, że legalny wyjazd Domba do Izraela pozbawi go azylu politycznego, możliwości wykorzystania jego osoby do wrogiej propagandy przez ośrodki antykomunistyczne przeciwko PRL i ZSRR oraz wstrzyma zaplanowaną akcję antyradziecką i antypolską przez prasę francuską i izraelską". Z treści notatki wynika, że decyzję zablokowania wyjazdu Leopolda Treppera z Polski narzucili Rosjanie. Co więcej, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa zdaje się zauważać absurd takiego postępowania, które w efekcie pociąga za sobą niepotrzebne komplikacje, jednocześnie dostarczając przeciwnikom argumentów, wpływających negatywnie na wizerunek Polski w świecie. Kolejna, kilka miesięcy późniejsza notatka, tym razem z-cy dyrektora Departamentu III MSW płk. J. Pielasa z 18 X 1971 roku, dotycząca *„rozważenia sprawy wyjazdu emigracyjnego Leopolda Domba vel Leiba Treppera"*, wyjaśnia znacznie pełniej tę dość niezrozumiałą sytuację: *„Na emigrację Domba vel Treppera nie wyraziliśmy zgody na prośbę organów bezpieczeństwa ZSRR. Towarzysze radzieccy obawiają się, że Domb po wyemigrowaniu*

Czego obawiało się KGB?

Z pewnością nie chodziło o tajemnice związane z wojenną działalnością „Czerwonej Orkiestry". Bowiem historia tej siatki szpiegowskiej, począwszy od końca lat 60., była szczegółowo analizowana i powszechnie niemal znana za sprawą książki Gillesa Perrault, a także licznych publikacji związanych z tym tematem, które ukazywały się w całej Europie. Poza tym Leopold Trepper, mimo izolowania go przez Służbę Bezpieczeństwa od kontaktów z zagranicznymi dziennikarzami, udzielił na temat swojej wojennej działalności kilkudziesięciu wywiadów. Bezpośrednia odpowiedź nasuwa się dopiero po lekturze jego wspomnień pt. „Wielka gra", które ostatecznie ukazały się w 1975 roku. Dziś już nie szokują, jednak 40 lat temu mogły wydać się wręcz wstrząsające. Zawierają bowiem niezwykle krytyczne oceny radzieckiego wywiadu epoki stalinowskiej, licznie przytaczane dowody indolencji samego Stalina – czystki w Armii Czerwonej końca lat 30., jego ślepą wiarę w sojusz z Hitlerem, ignorowanie doniesień ostrzegających przed niemiecką inwazją. Z kolei wnikliwe spostrzeżenia Treppera z czasów jego pobytu w Moskwie w latach 30., ukazują przede wszystkim rozdźwięk między założeniami ideologii komunizmu, a jego praktyczną realizacją w Kraju Rad. Takie wyznania musiały w ZSRR wzbudzić niepokój, tym większy, im rosła w Europie sława „wielkiego szefa" i „Czerwonej Orkiestry". Warto zauważyć, że w znacznym stopniu owa sława „wygenerowana" została poprzez konsekwentne odmowy wyjazdu, które przyczyniły się do znacznego spopularyzowania osoby Treppera na Zachodzie, gdzie w wyniku kampanii medialnej i społeczno-politycznej wykreowany został, zresztą nie bez podstaw, jako więzień systemu.

Jeden z wielu wywiadów jakie L. Trepper udzielił po wyjeździe z Polski. Oczywiście w Polsce fakt ten nie został odnotowany.

22 WINNIPEG FREE PRESS, SATURDAY, NOVEMBER 3, 1973

AN EXCLUSIVE INTERVIEW WITH:

Stalin's Master Spy

Dusko Doder talks with Leopold Trepper, former Soviet master spy and 'resident director' of Soviet intelligence in Western Europe during the Second World War, about his wartime career.

Mr. Trepper describes how he created a self-sustained spy network ("the entire thing cost Moscow $10,000"); how he provided Moscow with advance warning of Hitler's attack on the Soviet Union; how his agents reported detailed Nazi military plans, intelligence which enabled the Russians to trap the entire Nazi armies in the east.

Stalin never admitted his miscalculations of Nazi intentions and his faith in the Stalin-Hitler pact left Russia unprepared for war.

Focus

z Polski może przekazać ośrodkom dywersji na Zachodzie informacje o pracy wywiadu radzieckiego z okresu II wojny światowej, bądź szkalujące informacje z okresu pobytu w więzieniu w ZSRR. Również towarzysze z organów bezpieczeństwa NRD sugerują nie wyrażanie zgody na emigrację Domba vel Treppera (…). Wydaje się jednak, że niebezpieczeństwo przekazania przez niego istotniejszych informacji jest znikome, ponieważ aktualnych informacji nie posiada, a jeśli takowe posiadał, mógł je przekazać zainteresowanym ośrodkom podczas pobytu w Izraelu w 1966 r. oraz w czasie bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami organizacji syjonistycznych. Biorąc pod uwagę zdecydowane stanowisko Domba vel Treppera odnośnie emigracji oraz szkody polityczne wynikające z prowadzonej na tle tej sprawy antypolskiej kampanii propagandowej na zachodzie, prosimy o wyrażenie zgody na podjęcie rozmów z kompetentnymi organami ZSRR w celu ponownego rozważenia sprawy emigracji wyżej wym.".

Aby zgoda taka została wydana, musiały minąć kolejne dwa lata. W tym czasie na Zachodzie powstały komitety społeczne, mające za zadanie wywieranie nacisku politycznego na Polskę w celu wypuszczenia z kraju Leopolda Treppera. Jego synowie prowadzili głodówki pod ambasadami PRL, protestując przeciwko „uwięzieniu" ojca. W końcu sprawa otarła się o Organizację Narodów Zjednoczonych. Politycy i intelektualiści europejscy wywodzący się z wielu ugrupowań, podpisywali się pod licznymi petycjami naciskając również na swoje rządy, by wpłynęły na zmianę decyzji władz polskich. Ostatecznie, w listopadzie 1973 roku Leopold Trepper uzyskał zgodę na wylot do Londynu, gdzie ze względu na pogarszający się stan zdrowia, miał poddać się leczeniu.

Podwójny agent?

Skuteczność „Czerwonej Orkiestry" oparta była przede wszystkim na niezwykle rozbudowanej sieci zakonspirowanych radiostacji, nadających zaszyfrowane depesze do centrali w Moskwie. Gdy w 1942 roku nastąpiło rozbicie siatki i liczne skoordynowane aresztowania jej członków, Niemcy starali się utrzymać ten fakt w tajemnicy. Celem było zachowanie pozorów niezakłóconego funkcjonowania działalności szpiegowskiej grup koordynowanych przez Leopolda Treppera, i puszczanie w eter fałszywych informacji. Po jego aresztowaniu w grudniu 1942 roku, zaczął on prowadzić podwójną grę z Niemcami, z którymi pozornie zgodził się współpracować. Radiostacje więc nie zamilkły, lecz nadal, pod kontrolą Niemców, nadawały depesze, mające wprowadzać w błąd Rosjan. Tyle tylko, że używając wcześniej ustalonego kodu, udało mu się ostrzec Moskwę przed manipulacją, a jednocześnie namówić centralę do podjęcia podwójnej gry. W ten sposób misterna intryga gestapo, nigdy się nie udała. Po wojnie jednak, ta „koronkowa" konspiracja, stała się przyczyną problemów Leopolda Treppera…

Po powrocie do Moskwy, w styczniu 1945 roku został aresztowany i skazany na 15 lat więzienia. Po śmierci Stalina uwolniono go jednak od wszystkich ciążących na nim zarzutów. Całkowicie zrehabilitowany, wyszedł na wolność w 1954 roku. Świadczy to więc bezsprzecznie, o tym, że nigdy nie zdradził. Nie wszystkich to jednak przekonało. W 1972 roku wątpliwości co do jego postawy w czasie wojny, ogłosił na łamach dziennika „Le Monde" szef francuskiego kontrwywiadu (DST) Jean Rochet, zarzucając mu m.in. kolaborację z Niemcami. Odbył się nawet w tej sprawie proces o zniesławienie, który Leopold Trepper wygrał…

Lotnisko „Okęcie", listopad 1973 rok

69-letni Leopold Trepper wpatrując się z okien pasażerskiego Tupolewa w niknące w oddali zabudowania lotniska, po raz ostatni spojrzał na rozległą panoramę Warszawy. Pogrążył się w myślach, zastanawiając się nad swoim życiem. Po 3 latach od złożenia wniosku o wyjazd do Izraela, w końcu polskie władze zgodziły się na jego emigrację. W tym czasie przeżył osobisty dramat, choć przyznawał w duchu, że bywało gorzej… za swe zasługi dla Stalina 9 lat spędził na Łubiance, wcześniej prawie rok w paryskich katowniach gestapo, nie wspominając już o brytyjskim więzieniu w Palestynie. W czasie wojny ryzykował życiem codziennie, i zawsze udawało mu się wyjść cało z opresji. Również i tym razem, gdy przez ostatnich kilka lat pozostawał w areszcie domowym PRL-u, poddany inwigilacji, bez prawa opuszczenia kraju. To wszystko w sytuacji, kiedy masowo wypędzano ze starej ojczyzny nielicznych członków społeczności, której przewodniczył w ramach Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Jednak opuszczał swój kraj bez przekonania, wielokrotnie powtarzając, że tego wcale nie chce, lecz pragnienie połączenia się z rodziną, żoną i trójką synów zmuszonych wcześniej do emigracji, było silniejsze. Ostatecznie spędził tu, pomiędzy 1957 a 1967 rokiem, dziesięć najszczęśliwszych i najspokojniejszych lat swojego życia. Mógł wreszcie poświęcić się działalności jakiej od zawsze pragnął. Wydawało mu się też, że raz na zawsze zerwał z mroczną przeszłością długo utrzymując ją w tajemnicy. Lecz demony owej przeszłości przebudziły się, uaktywniając automatycznie uśpiony w nim przez jakiś czas instynkt walki. Rok 1967 i następne sprawiły, że ponownie musiał podjąć kolejną w swym

Mikrofilm nr

Identyfikator PESEL

TAJNE
SPEC. ZNACZ.

Dania

ANKIETA PERSONALNA

1. DOMB-TREPPER (nazwisko)
2. LEOPOLD-LEIB (imię)
3. ZACHARIASZ (imię ojca)
4. DEBORA (imię matki)
5. CYFER (nazwisko rodowe matki)
6. 23 02 04 (data urodzenia)
7. NOWY JORG (miejsce urodzenia)
8. 1923-24 członek miejscowej organizacji żydowskiej Hasomer w Dąbrowie Górniczej. 1925-29 sekretarz arabsko-żydowskiej organizacji Jedności w Palestynie. 1929-33 sekretarz żydowskiej sekcji KC KPF we Francji. 1933-37 przebywał w ZSRR skąd delegowany do nielegalnej „REDAKCJA" Varte (powiązania — krzyżyki)
10. WYŻSZE (wykształcenie)
11. dziennikarz (zawód)
12. (znajomość języków obcych)

Akt archiwalny z mikrofilmu Kat „A"

48045/II (nr archiwalny)

25 08 83 (podpis pracownika)

Ankieta personalna Leopolda Treppera, będąca tytułową stroną sprawy jego inwigilacji.

życiu grę, tym razem jednak nie tyle o życie, co o przetrwanie. Początkowo doświadczał losu własnej społeczności, przeciwko której, z inspiracji władz, miał występować potępiając choćby inwazję Izraela na państwa arabskie, zaś w trakcie apogeum antysemickiej nagonki fałszywie uspakajać Żydów w Polsce. Po raz pierwszy jednak nie podjął rzuconej mu w twarz rękawicy, czuł się zbyt stary i zbyt zmęczony, by walczyć. Nie widząc możliwości działania, zaczął usuwać się w cień. Zrezygnował z pełnionej funkcji szefa TSKŻ, z kierowania wydawnictwem Jidysz Buch, wreszcie, pozbawiony został członkostwa w PZPR, choć nadal, mimo wielu rozczarowań systemem, czuł się idealowym komunistą. Rozumiał jednak, że dotychczasowe szykany miały związek z haniebną, gomułkowską kampanią antysemicką, której stał się ofiarą, jak większość mieszkających wówczas w Polsce Żydów. Był jeszcze jeden powód. Konsekwentnie go odrzucał nie wierząc, że jego działalność z czasów II wojny światowej nadal może mieć jakiekolwiek zna-

Życiorys dołączony do akt sprawy...

Warszawa, dnia 6 XII.1972 r.

TAJNE

263

NOTATKA

W dniu 26.X.1972 przed XVII Izbą Karną Sądu w Paryżu rozpoczął się proces o zniesławienie Leopolda DOMBA-TREPPERA przez Szefa Kontrwywiadu Francuskiego J.ROCHETA.

W związku z powyższym w dziennikach belgijskich i francuskich: "Le Peuple", "La Libre Belgique" i "Le Monde" w listopadzie br. opublikowano szereg artykułów, z których wynika że powodem do wniesienia pozwu przez TREPPERA był artykuł J. ROCHET opublikowany w "Le Monde" w kwietniu br.

W powyższym artykule ROCHET zarzuca TREPPEROWI prowadzenie szpiegostwa przeciwko Francji przed wojną i po zawarciu paktu o nieagresji między ZSRR a Niemcami. Ponadto podejrzewa go o współpracę z Niemcami w okresie II wojny światowej.

Obrońcami TREPPERA byli adwokaci SOULEZ LARIVIERE i MIRABAUD.

Ze strony ROCHET jako obrońca występił adwokat BOMBOUX.

Głównym świadkiem ze strony TREPPERA jest autor książki pt. "Czerwona Orkiestra" - Gilles PERRAULT, który m.in. zeznał, że po zapoznaniu się z materiałami, które udostępnił mu kontrwywiad francuski do napisania książki o działalności "Czerwonej Orkiestry" przekonany był iż TREPPER dopuścił się zdrady. Dopiero po zapoznaniu się z materiałami z innych źródeł raz po przeprowadzeniu bezpośredniej rozmowy z

Notatka sporządzona w związku z procesem o zniesławienie Leopolda Treppera przez szefa francuskiego DST.

czenie. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że mimo upływu prawie 30 lat jego szpiegowska przeszłość nie dawała o sobie zapomnieć. Miało to oczywiście i swoje dobre strony. Zwłaszcza od momentu, gdy odnalazł go przed laty w Warszawie młody francuski pisarz Gilles Perrault, przygotowujący obszerną publikację na temat „Czerwonej Orkiestry". Książka, której stał się głównym bohaterem, została wydana w 1967 roku i stała się na Zachodzie bestsellerem. Leopold Trepper, jako jej legendarny „wielki szef" został przywrócony światu. Nikt nie przewidział, że po pewnym czasie, stanie się to jego przekleństwem, a jednocześnie właściwą i bezpośrednią przyczyną późniejszych problemów.

Zatopiony w swych myślach, nawet nie zauważył, gdy samolot osiągnął właściwy pułap sunąc ponad Europą, o czym oznajmił płynący z głośników ciepły głos stewardessy. Mężczyzna zapiął pasy, usiadł wygodnie poprawiając się w fotelu... Przypomniał sobie jeden z pierwszych swoich życiorysów, który musiał złożyć w 1957 roku starając się, jako repatriant, o powrót ze Związku Radzieckiego do Polski... *„Ja, Trep-*

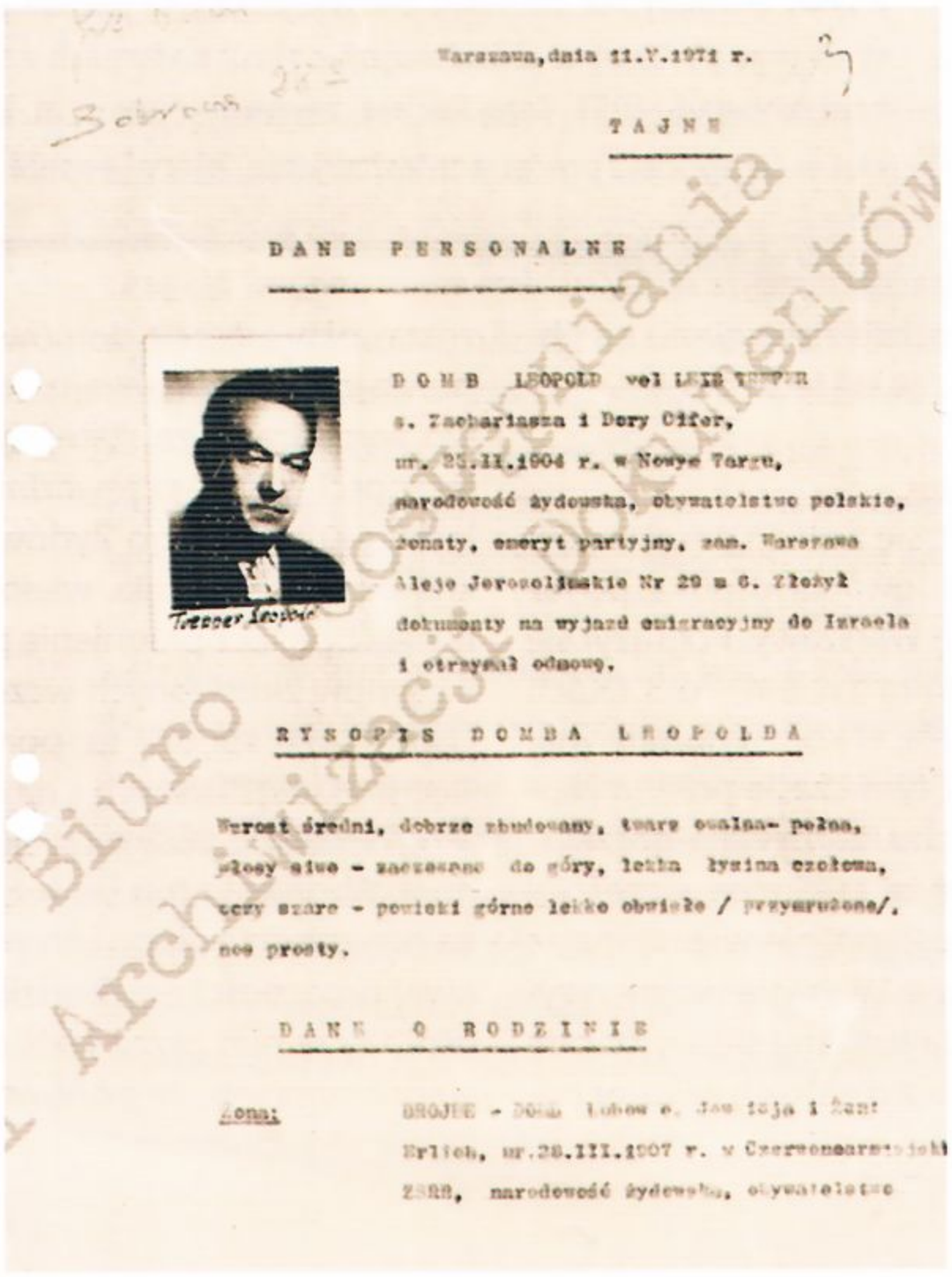

Warszawa, dnia 11.V.1971 r.

TAJNE

DANE PERSONALNE

DOMB LEOPOLD vel LEIB TREPPER
s. Zachariasza i Dory Cifer,
ur. 23.II.1904 r. w Nowym Yorku,
narodowość żydowska, obywatelstwo polskie,
żonaty, emeryt partyjny, zam. Warszawa
Aleje Jerozolimskie Nr 29 m 6. Złożył
dokumenty na wyjazd emigracyjny do Izraela
i otrzymał odmowę.

RYSOPIS DOMBA LEOPOLDA

Wzrost średni, dobrze zbudowany, twarz owalna- pełna,
włosy siwe - zaczesane do góry, lekka łysina czołowa,
oczy szare - powieki górne lekko obwisłe / przymrużone/,
nos prosty.

DANE O RODZINIE

Żona: BROJDE - Doda Lubow c. Jos Icja i Sant
Erlich, ur.28.III.1907 r. w Czerwonoarmiejskiej
ZSRR, narodowość żydowska, obywatelstwo

per Leopold syn Zachariasza, urodziłem się w biednej żydowskiej rodzinie 23 II 1904 roku na Podhalu w Nowym Targu". Zaczął analizować w myślach wybory dokonane w młodości, które ostatecznie wpłynęły na jego późniejsze losy. Jak większość młodych Żydów aktywnie poszukiwał swojej tożsamości, tak narodowościowej, jak i światopoglądowej. Obie ukształtowała pospołu żydowska organizacja młodzieżowa Haszomer Hacair, oraz ruch robotniczy, z którym związał się po przeprowadzce z rodzinnego Nowego Targu do Dąbrowy Górniczej. W Zagłębiu wziął udział w strajkach, trafiając na „czarną listę" Policji Państwowej. Wówczas zdecydował się wyjechać do Palestyny, gdzie wstąpił do tamtejszej Partii Komunistycznej. Jako aktywny działacz zajmujący się agitacją wśród robotników, wkrótce popadł w konflikt z władzami brytyjskimi. W rezultacie ponownie musiał uciekać przed represjami, tym razem do Francji, gdzie przybył w 1929 roku. Wspinając się tam po szczeblach partyjnej kariery, został sekretarzem żydowskiej sekcji KPF. Działał na tyle skutecznie, że mógł po pewnym czasie spełnić swoje młodzieńcze marzenie. W 1933 roku został delegowany do Moskwy, by podjąć naukę na Komunistycznym Uniwersytecie Mniejszości Narodowych Zachodu im. J. Marchlewskiego. Spędził tam kolejnych kilka lat, głównie rozczarowując się otaczającą go rzeczywistością. Jednak nie na tyle, by stracić wiarę w swoje ideały. Tym bardziej, że wkrótce Komintern postawił przed nim ambitną misję. Jako zaufany działacz miał zbadać źródło przecieków i wpadek po serii aresztowań przeprowadzonych przez policję francuską wśród tamtejszych komunistów. Zadanie to musiało być poprzedzone konsultacjami z ówczesnym szefem GRU – sowieckiego wywiadu zagranicznego – gen. Janem Berzinem. Kontakt ten okazał się kolejnym punktem przełomowym. Narodziła się wówczas między nimi nić sympatii i porozumienia. Zwłaszcza w jednej, kluczowej sprawie. Obaj dostrzegali widmo zbliżającej się konfrontacji z Hitlerem, choć w drugiej połowie lat 30., Stalin takiej opcji w ogóle nie dopuszczał. Co więcej, by uniknąć prowokacji, zakazał prowadzenia jakichkolwiek operacji szpiegowskich na terenie Niemiec. Mimo jednoznacznych wytycznych, gen. Berzin postanowił ustanowić pracującą na rzecz Moskwy sieć wywiadowczą skierowaną przeciwko III Rzeszy. Należało ją stworzyć niemal od podstaw i uśpić do czasu, gdy sytuacja będzie umożliwiała lub wymagała jej uaktywnienia. Organizacją struktur miał zająć się, mający już szerokie kontakty w całej Europie wśród członków międzynarodowego ruchu komunistycznego – Leopold Trepper.

Udało mu się to znakomicie. Potwierdzeniem niech będzie poniższy cytat z „Archiwum Mitrochina": *„Do końca 1942 roku głównym systemem wywiadowczym, dostarczającym materiały z terenu Trzeciej Rzeszy i okupowanej Europy, była luźno skoordynowana nielegalna siatka wywiadowcza GRU, powiązana z pracującymi dla NKWD grupami Harnacka i Schulze-Boysena.(…) Zgodnie z aktami KGB w charakterze agentów współpracowało: 55 Niemców, 14 Francuzów, 5 Belgów, 13 Austriaków, Czechów, 6 Rosjan oraz 16 osób innych narodowości. Wedle tych samych akt najważniejszymi szefami siatki byli: sektor belgijski – Leopold Trepper, sektor niemiecki – Harro Shulze-Boysen, sektor francuski (z wyłączeniem Lyonu) Henry Robinson, Lyon Isidor Springer, sektor holenderski – Anton Winterinck, sektor szwajcarski – Sandor Rado. Mimo że po wojnie Trepper i Rado zostali skazani w Moskwie na 10 lat więzienia, sowieccy historycy przyznali, że materiały pochodzące od »Rote Kapelle«, były bardzo przydatne Armii Czerwonej"*. O dalszym ciągu historii „Czerwonej Orkiestry" napiszemy w następnym numerze.

REKLAMA

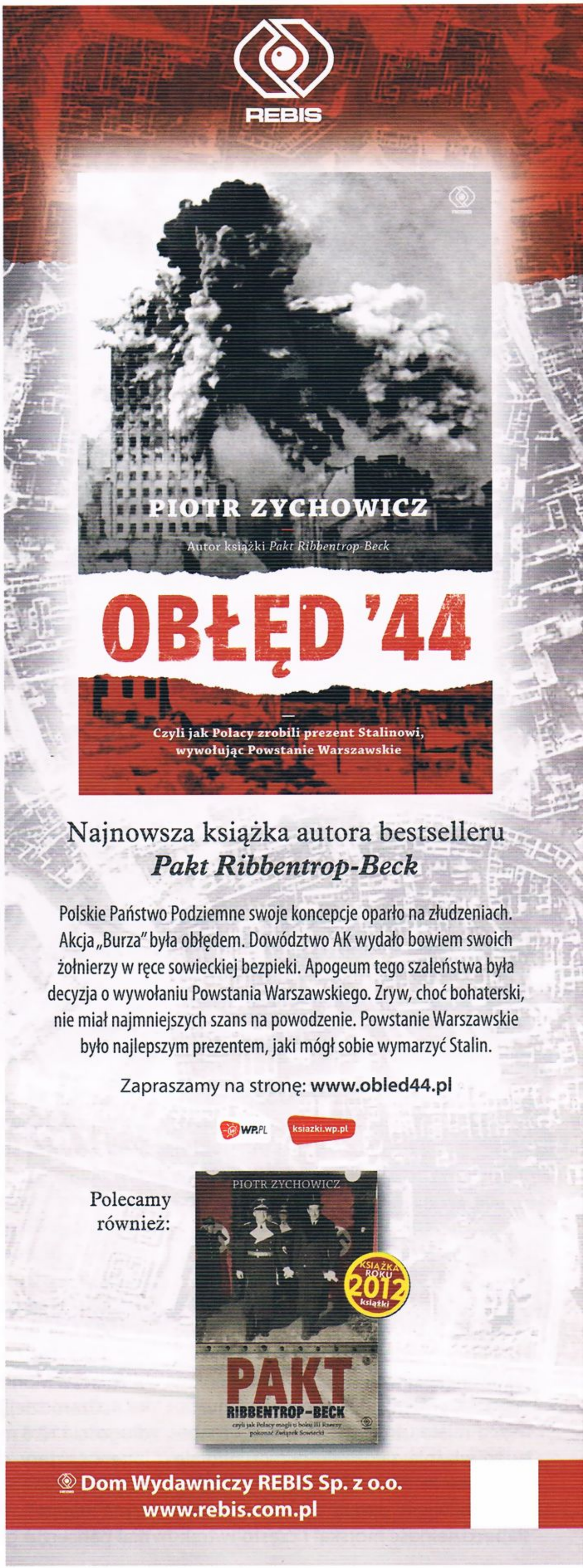

„Rusałka" – zaginiony pancerny wrak

AUTOR: RADOSŁAW BIZOŃ
ZDJĘCIA: RADOSŁAW BIZOŃ, KMDR DARIUSZ SZULC
RYS.: R. BIZOŃ

Dwuwieżowa pancerna „Rusałka", to okręt klasy Monitor, przeznaczony do artyleryjskiej obrony wybrzeża. Klasa tych okrętów wzięła swoją nazwę od zamówionego w 1861 r., przez walczącą w wojnie secesyjnej Unię, ciężkiego okrętu artyleryjskiego. Zaprojektowany przez szwedzkiego konstruktora Johna Ericssona USS Monitor, wprowadzał zupełnie nową koncepcję budowy okrętów. Charakteryzował się silnym, jak na tamte czasy, opancerzeniem i bardzo niskimi burtami, co miało utrudniać trafienie. Niestety, to właśnie założenie przyczyniło się do zguby zarówno „Monitora", jak i „Rusałki", bowiem okręty te miały bardzo słabą „dzielność morską" i często w trakcie sztormów po prostu tonęły. Niskie burty powodowały zalewanie falami pokładu już przy stanie morza 20B.

Pod koniec XIX w. marynarka rosyjska stanęła przed pilną potrzebą modernizacji swojej floty. Wtedy też zamówiono 8 nowoczesnych okrętów klasy Monitor – do obrony wybrzeża. Zbudowanie pierwszych dwóch powierzono w 1864 r. firmie z Petersburga. Ostatecznie, 15 V 1867 r. przyjęto na stan dwa bliźniacze Monitory o nazwach „Rusałka" i „Czarodziejka". Okręty miały 62,3 m długości i 12,8 m szerokości. Były uzbrojone w cztery działa kalibru 229 mm, zamontowane w dwóch niskich, obrotowych wieżach. Wieże artyleryjskie osłaniał pancerz o grubości 11,4 cm. Pokład okrętów wystawał tylko 60 cm ponad lustro wody, natomiast lufy dział znajdowały się 60 cm wyżej. To sprawiało, że dla nieprzyjacielskiej artylerii były one trudnym celem. Niestety, konsekwencją takiej budowy była mała odporność na trudne warunki pogodowe. Koncepcja przewidywała, że okręty będą operować w niewielkiej odległości od brzegu, tym samym unikną zagrożeń w trakcie szczególnie intensywnych sztormów.

Ostatni rejs „Rusałki"

Tallin, wczesny ranek 7 IX 1893 roku. Dwa rosyjskie okręty „Rusałka" i „Tucha" (tłum. „Chmura"), właśnie zakończyły odbywające się co roku próbne strzelania. Mają rozkaz przejść z Tallina do Helsingfors (dzisiaj Helsinki). W tym czasie oba porty znajdują się na terytorium Rosji. Tego ranka jednak wszystko przebiega nie tak, jak powinno. Wypłynięcie zaplanowane na 7:30 opóźnia się. „Tucha" nie jest jeszcze przygotowana – dowódca się spóźnia. Oba okręty – ze względu na bezpieczeństwo w trakcie niesprzyjającej pogody – mają płynąć razem, utrzymując się w zasięgu wzroku. Wreszcie, o 8:30 wszystko jest gotowe do wypłynięcia. Pierwsza podnosi kotwicę „Tucha". „Rusałka", dowodzona przez kpt. W. Jenisza wypływa nieco później. Ma większą szybkość, więc plan zakłada, że prędko dogoni pierwszy okręt. W międzyczasie jednak dochodzi do załamania pogody, wzrasta siła wiatru. Fale przelewają się przez niski pokład, cała załoga chroni się we wnętrzu okrętu. Zamknięte są wszystkie luki. Nie ma żadnej wentylacji. Stłoczona w ciasnych pomieszczeniach załoga, praktycznie nie ma wpływu na rozwój wypadków. Kapitan musi zmniejszyć szybkość, co powoduje, że „Rusałka" zostaje w tyle. Około godziny 12:00 zaczyna padać, a widoczność spada niemal do zera. Okręty tracą ze sobą kontakt. Kapitan „Tuchy" może czekać, lub zawrócić. Utrzymuje jednak szybkość, walcząc z 9-cio stopniowym sztormem. Około godziny 15:00 dociera do Helsingfors. Nie zawiadamia nikogo o rozdzieleniu się obu okrętów. Co w tym czasie dzieje się na „Rusałce"? Prawdopodobnie nawet zamknięte luki

okrętu nie zapewniają niskiemu pancernikowi szczelności. Niskie burty okrętu nie stanowią żadnego zabezpieczenia przed wysokimi falami, które przelewając się przez pokład, zdzierają z niego wszystko, co tylko jest słabiej przymocowane. Woda wlewa się przez szczeliny przy wieżach artyleryjskich, i nieszczelne pokładowe włazy. Pompy nie nadążają z jej usuwaniem. Los okrętu i 177-osobowej załogi jest przesądzony… Zapewne niektórzy próbują się ratować. Czy to oni odczepiają szalupy ratunkowe, czy rozszalałe morze wyrywa je z uchwytów… nie wiadomo. Dwa dni później, 9 września, na jedną z wysp otaczających Helsingfors morze wyrzuca szalupę z ciałem marynarza. To jedyne ciało jakie odnaleziono. Dopiero wówczas też zostają wszczęte poszukiwania trwające 37 dni. Ich rezultatem jest znalezienie tylko pustych szalup.

Przez 110 lat „Rusałka" ukrywała się w ciemnych wodach Zatoki Fińskiej. Dopiero w 2003 r. na sonarze bocznym jednego z przeszukujących dno statków, ukazał się pionowy kształt starego okrętu, zidentyfikowanego później jako „Rusałka".

Powrót po latach…

O „Rusałce" usłyszałem w trakcie naszej wyprawy do Zatoki Fińskiej, na wrak okrętu „Schleswig-Holstein". Był rok 2008. Zatoka nas zafascynowała, a informacja, że niedaleko leży, a właściwie stoi, wrak carskiego Monitora zelektryzowała nas, wyznaczyła następny cel i dała motywację do powrotu na te ciekawe wody. Okazja nadarzyła się w 2013 roku. Stowarzyszenie Globe Diving Club i poznańska grupa Explodive postanowiły wspólnie przygotować nurkowania na tym niecodziennym wraku. Odbyły się one z pokładu polskiej jednostki m/y „Nitrox", na co dzień zajmującej się obsługą nurków chcących zobaczyć bałtyckie wraki.

6 czerwca 2013 r., wczesny ranek. 120 lat po fatalnym rejsie „Rusałki" wypływamy z Tallina, dokładnie tą samą trasą, którą ruszyły dwa rosyjskie okręty. Pogoda jest idealna. Na niebie delikatne chmurki, a wody Zatoki Fińskiej praktycznie bez zmarszczki. Rejs przed nurkowaniem nigdy się nie dłuży. Zazwyczaj czas mija na ostatnich przygotowaniach do zejścia pod wodę. Trzeba sprawdzić sprzęt, przygotować linę opustową. Sporo pracy zajmuje sprawdzenie sprzętu fotograficznego i filmowego. W tym przypadku mieliśmy jednak pecha, okazało się, że jedna z podstawowych kamer nie uruchamia się w obudowie podwodnej. Uszkodzeniu uległa elektronika obudowy i nie ma możliwości naprawy awarii na pokładzie. Musimy wziąć pod wodę sprzęt zapasowy. Na miejsce docieramy wczesnym przedpołudniem. Teoretycznie pozycja GPS „Rusałki", którą posiadamy, jest dokładna, jednak ponieważ nigdy tu nie byliśmy, nie mamy pewności, że tak jest. Na szczęście, praktycznie przy pierwszym podejściu, na sonarze ukazuje nam się zupełnie nietypowy widok. Z dna wyrasta potężna wieża, mocno przechylona, niczym ta w Pizie, górująca 33 m nad dnem, z tą drobną różnicą, że, w odróżnieniu od „włoskiego cudu", znajduje się 70 m pod wodą! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, przecież ten okręt wbił się połową swojej długości w dno!

Zgodnie z planem, w pierwszej kolejności do wody zostaje wrzucony sonar, w celu pozyskania kilku szczegółowych obrazów sonarowych. Dzięki uprzejmości Akademii Marynarki Wojennej płynie z nami kmdr por. Dariusz Szulc, który przywiózł ze sobą wysokiej jakości sprzęt. Kilka przepłynięć wystarcza, aby przekonać się, jak niezwykły wrak tkwi wbity w dno pod nami. Na świecie jest za-

ledwie kilka wraków spoczywających w ten sposób. Najbardziej znany, to HMS „Viktoria" zlokalizowany w pobliżu Libanu. Jednak o tym, że na Bałtyku jest taki obiekt, wie bardzo niewiele osób.

Miejsce zatonięcia „Rusałki" leży w pobliżu skrzyżowania ruchliwych szlaków wodnych. Płyną tędy olbrzymie kontenerowce z Petersburga na Bałtyk, oraz promy kursujące pomiędzy Tallinem a Helsinkami. To wszystko bardzo utrudnia bezpieczne przeprowadzenie nurkowań. Pierwsze zejście, to swego rodzaju rekonesans. Trzeba znaleźć obiekt pod wodą i przyczepić do niego linę z bojką, tak, aby móc bezpiecznie schodzić do wraku. Nurkując poniżej 40 m mamy bardzo mało czasu, więc kluczową sprawą jest szybkie odnalezienie obiektu. Jeśli się nie uda, musimy się po chwili wynurzyć. Nasz kapitan powoli napływa nad wrak, starając się jak najbliżej niego rzucić obciążnik, do którego przywiązana jest lina z bojką. Zadanie jest bardzo trudne, bowiem głębokość jest spora, a na dodatek wrak stanowi niewielki cel. Po zakończeniu tej operacji możemy zejść, aby szukać „Rusałki". Na szczęście nie ma silnego prądu, który w Zatoce Fińskiej nie jest rzadkością. Zaczynamy zanurzenie. Zawsze kiedy schodzę w dół, wzdłuż niknącej w ciemnościach liny, staram się dostrzec, co jest pode mną. Z każdym metrem robi się ciemniej, co chwilę więc wydaje mi się, że już coś widzę… Jest! Nie, to tylko przywidzenie, szybki rzut oka na głębokościomierz, 25 m… za płytko. Wrak zaczyna się znacznie niżej, na 44 m. Zanurzamy się dalej. Jest już zupełnie ciemno, głębokość 47 m, do dna mam jeszcze 30 m ciemności. Dzieje się to, czego obawiałem się najbardziej, nie trafiliśmy na wrak. Zatrzymuję się i świecąc wokoło próbuję dostrzec jakikolwiek kształt. Wszystko jednak co wydaje się być kadłubem wielkiego okrętu, jest tylko zwidem zmęczonego wzroku. Czas mija, chwytam linę i płynę pod lekki prąd, jeśli nas zniosło, to właśnie stamtąd. Po chwili już wiem, że to nie imaginacja… z ciemności powoli wyłania się majestatyczna wieża tkwiąca tu od ponad stu lat.

Dopływamy do rufy. Widać dwie fantastyczne śruby, po których poznajemy, że mamy do czynienia ze starym okrętem. Wiążemy linę i robimy krótki zwiad. Niestety, potwierdzają się też nasze obawy. Wrak jest lekko przechylony w stronę pokładu i owinięty sieciami, co powoduje, że chcąc spływać wzdłuż pokładu w dół, musimy wpłynąć pod zwisające z góry sieci. Czym niżej jesteśmy, tym słabsza jest przejrzystość wody, a sieci oddalają się od pokładu tworząc pewnego rodzaju kurtynę. Musimy ciągle pamiętać, że mamy ją za plecami. Pierwsze nurkowanie zakończone. W nomenklaturze wysokogórskiej powiedzielibyśmy, że założyliśmy obóz, i teraz możemy przygotować się do ataku szczytowego.

Noc spędzamy w Helsinkach. Piękne miejsce na nocleg. Witają nas setki małych wysepek, z domkami i przystaniami. Nie jest łatwo znaleźć miejsce dla „Nitroxa", w końcu się udaje. Nasza łódka zawsze budzi duże zaciekawienie. Drewniany, odrestaurowany kuter, z polskimi nurkami, jest w tych okolicach raczej rzadkością. Spotykamy się z życzliwością i zainteresowaniem dotyczącym także nietypowego celu naszej podróży. Noce w czerwcu na tej szerokości geograficznej są bardzo krótkie i jasne. Wieczór mija nam na ustalaniu szczegółów dotyczących akcji i przygotowaniu mieszanek oddechowych. Ze względu na planowaną głębokość do oddychania będziemy używać mieszanki tlenu, azotu i helu. Krótki sen i nad ranem wypływamy ponownie na pozycje. Tym razem chcemy zejść niżej i spróbować spenetrować okolice, gdzie kiedyś zamontowana była potężna wieża obrotowa. Pogoda dopisuje. Szybko ustawiamy się ponownie na pozycji. Zanurzamy się do rufy, gdzie wczoraj przywiązaliśmy naszą linę, mijamy śruby, powoli schodzimy głębiej. Piękny drewniany pokład wisi nam nad głowami. Co charakterystyczne dla Bałtyku, drewniane elementy wraku wyglą-

PYTANIE: Jakiej klasy okrętem była „Rusałka"?

ODPOWIEDŹ: SMS POD NR 7368 O TREŚCI:

ODKRYWCA._____
(po kropce, bez spacji wpisać odpowiedź na pytanie).

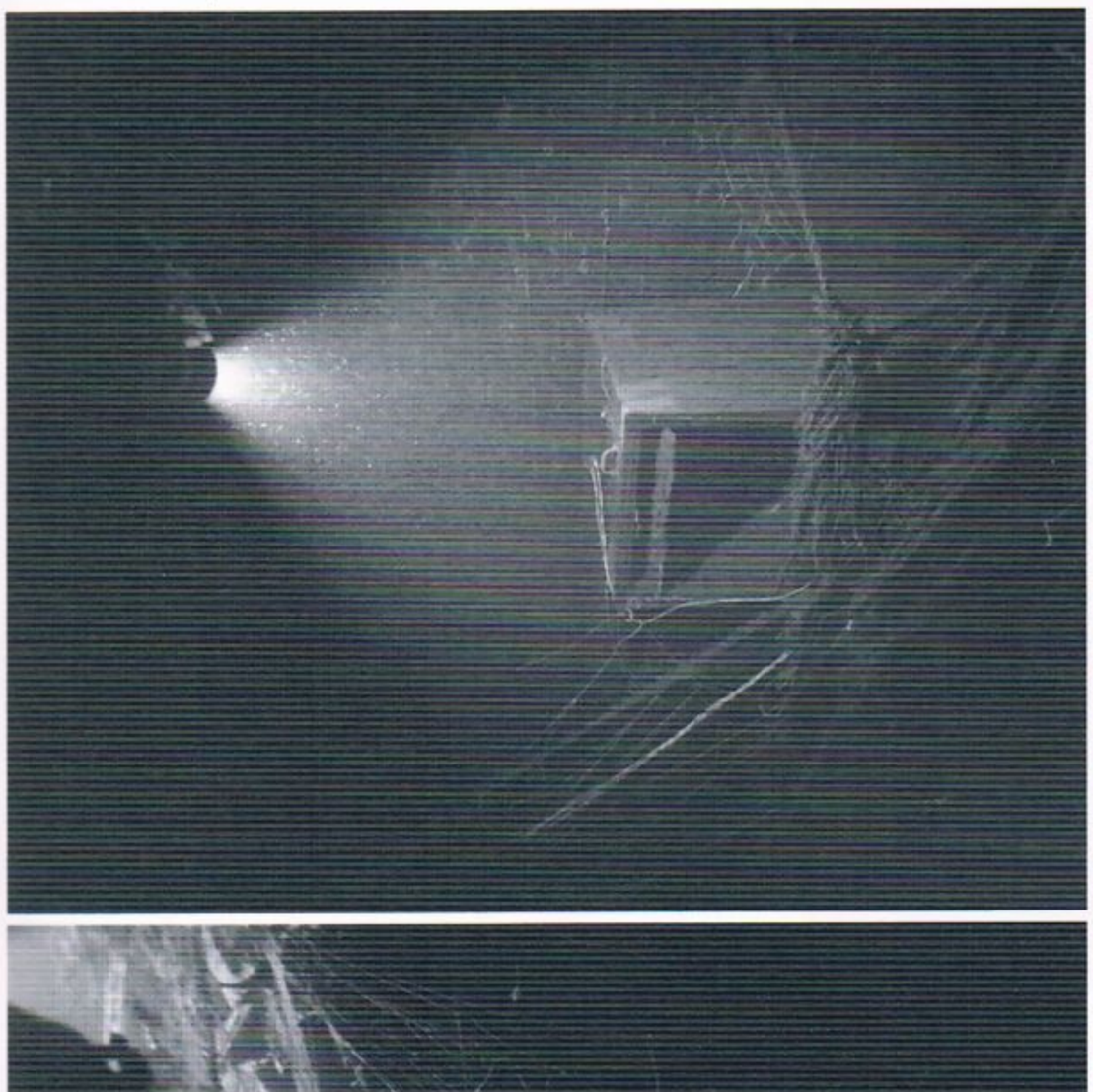

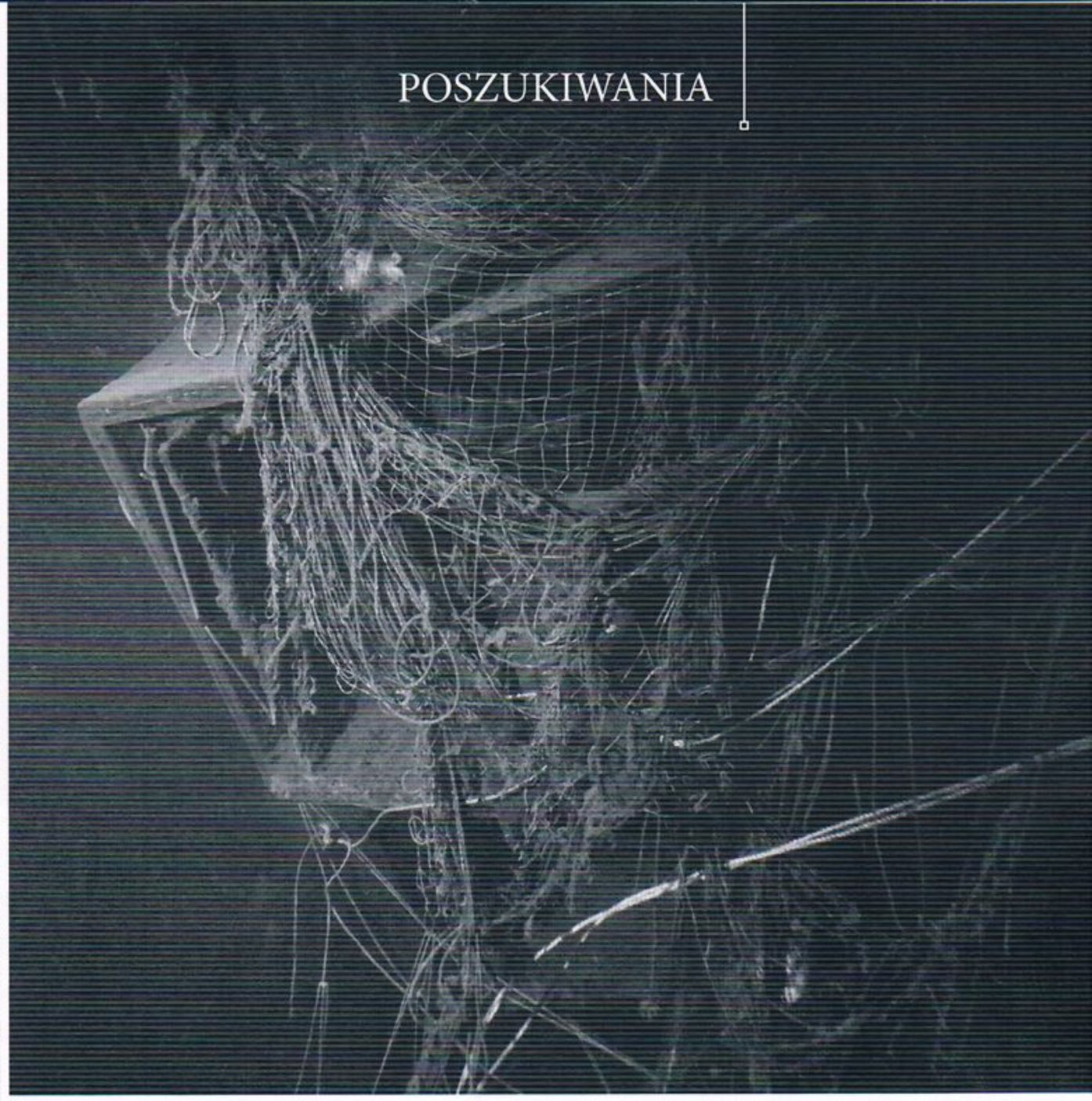

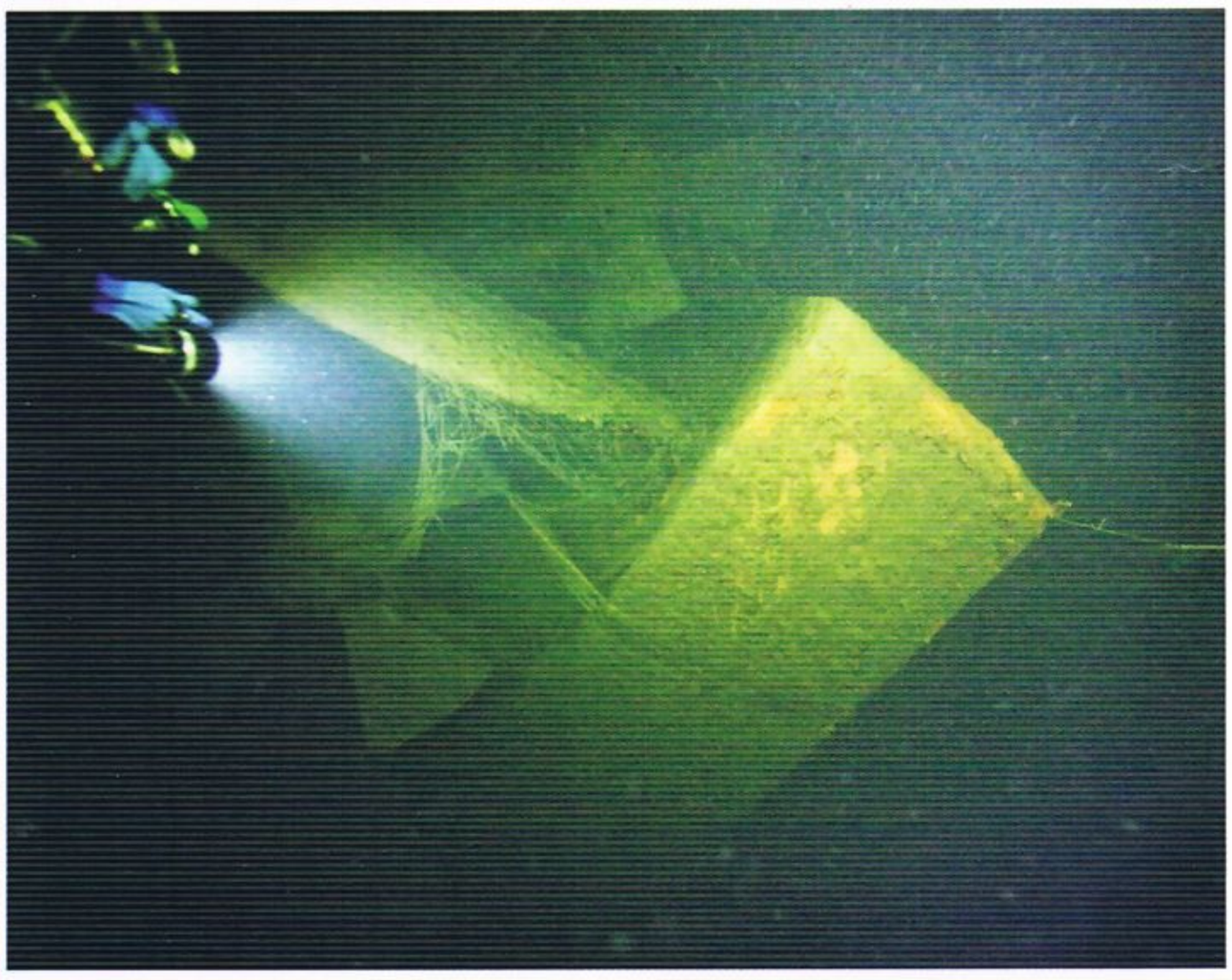

KONKURS SMS-owy

10 nagród książkowych. Ogólna wartość nagród – 409 zł.

Aby zagrać o nagrodę od 10 VIII 2013 r. do 31 VIII 2013 r. wyślij SMS-em odpowiedź na pytanie konkursowe, wpisując w treści: ODKRYWCA.odpowiedź na pytanie. Należy ją wpisać bezpośrednio po kropce, nie używając spacji po treści kodu, pod numer 7368 za 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach GSM).

Nagroda zostanie przekazana zwycięzcy Konkursu przesyłką poleconą po opublikowaniu listy zwycięzców. Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

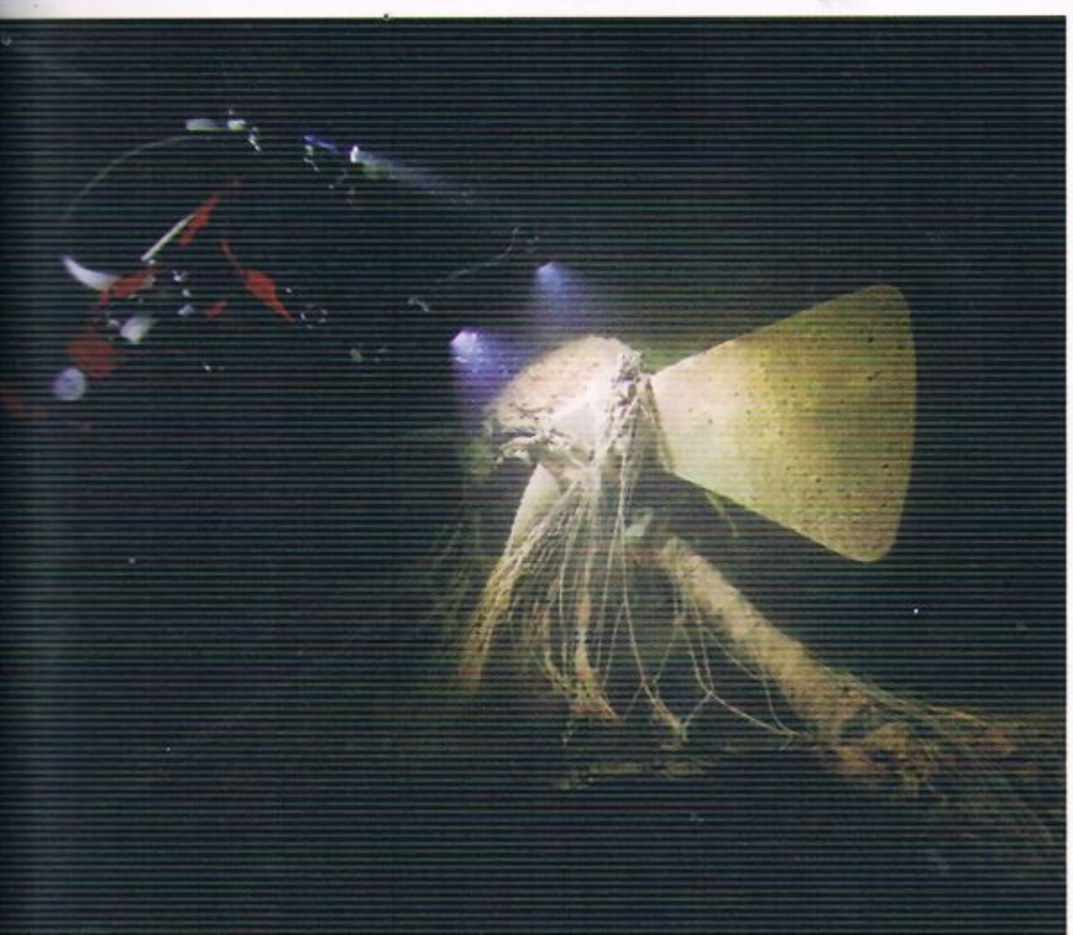

dają na zupełnie nietknięte. Drewniane półkluzy i deski pokładu są w świetnym stanie. Tak, jak gdyby okręt zatonął kilka lat temu. W Bałtyku nie występują organizmy odpowiedzialne za niszczenie drewnianych wraków, jak w innych morzach, dlatego jest to miejsce wyjątkowe i bardzo cenne dla archeologów. Wygląd starych wraków zawsze mnie fascynuje. Czas dla nich zatrzymał się w miejscu.

W pokładzie widać małe, okrągłe bulaje. Ponieważ „Rusałka" miała niską burtę i była opancerzona, bulaje nie zostały zamontowane w burtach, a w drewnianym pokładzie okrętu. Są świetnie zachowane, wszystkie szyby całe. Przechodzi mi przez myśl, że to właśnie przez nie załoga „Rusałki" widziała światło dnia po raz ostatni… Opadamy jeszcze niżej, woda niestety staje się coraz bardziej mętna. Z każdą chwilą spodziewam się prądu, który może występować bliżej dna. Świadomość, że za naszymi plecami rozciągają się zasłony z sieci, powoduje, że jesteśmy bardzo ostrożni, i przy dość małej przejrzystości, w okolicach 60 m zatrzymujemy się. Na tej głębokości znajduje się olbrzymi otwór w pokładzie, w którym kiedyś tkwiła obrotowa wieża z dwoma działami kalibru 230 mm. W otworze widać pozostałości mechanizmu obrotowego. Niestety, same wieże, jak i nadbudówki, tkwią zapewne głęboko w mulistym dnie pod nami, i prawdopodobnie dotarcie do nich nigdy nie będzie możliwe. W tym samym mule tkwi druga połowa tego niezwykłego okrętu… wraz ze swoją załogą.

Czas się wynurzać, spoglądam w górę, gdzie kilkanaście metrów nade mną kolega oświetla pokład potężnymi lampami. Patrząc z dołu, po raz pierwszy widzę w całości olbrzymi, wrzecionowaty kształt okrętu na tle zielonej poświaty docierającej z powierzchni. Widok zapiera dech. Właśnie dla takich chwil nurkuję.

Jest jeszcze wiele ciekawych wraków, które warto zobaczyć. Wraków, będących świadectwem tragicznych wydarzeń, często sprzed wielu lat, lecz „Rusałka" ma jeszcze coś – jest wrakiem magicznym, pozostawiającym niezatarty ślad w pamięci każdego, kto go widział. ◗

Radosław Bizoń

Prezes Stowarzyszenia Globe Diving Club. Instruktor nurkowania. Pasjonat nurkowań wrakowych.

REKLAMA

Nowa książka Mariusza Borowiaka już w sprzedaży!

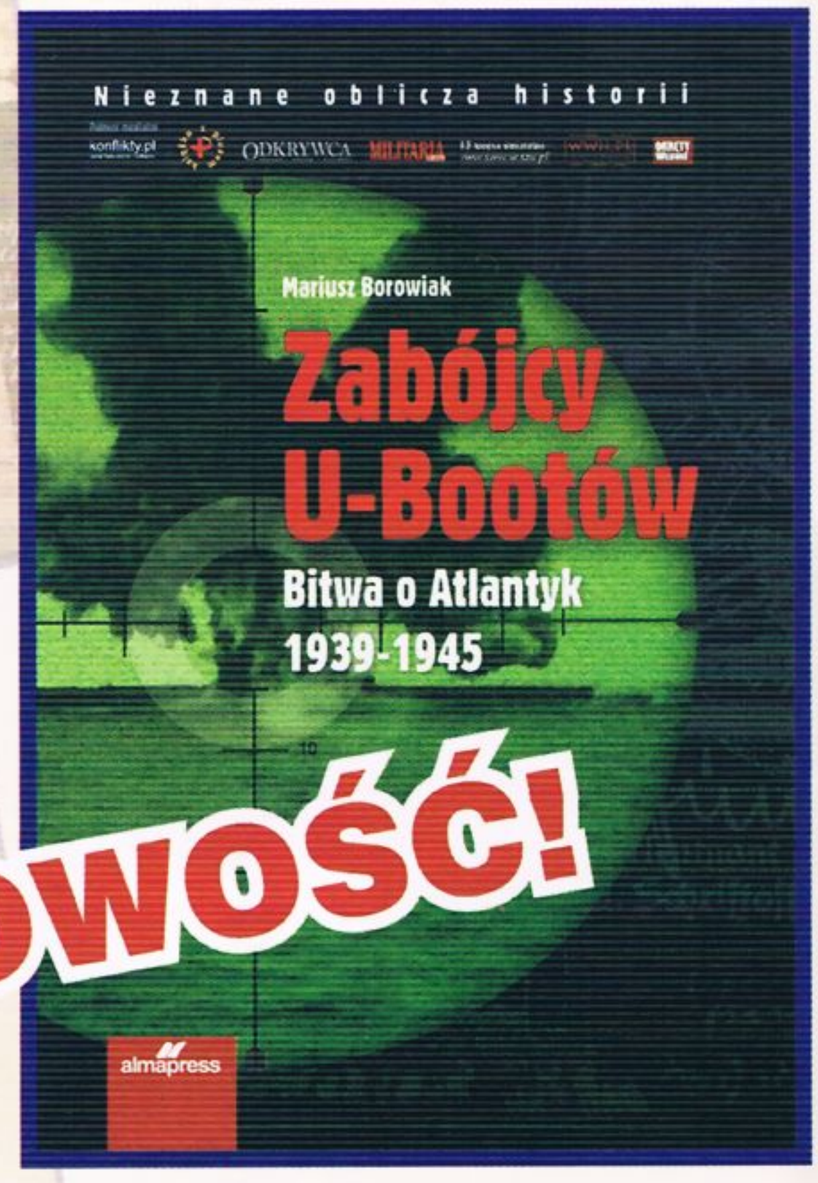

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa,
tel./fax (22) 888 27 04
e-mail: alma@almapress .com.pl
www.almapress.com.pl

Sturmgewehr z Łodzi

TEKST: MICHAŁ MACKIEWICZ
ZDJĘCIA OBIEKTÓW: PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MWP,
ZDJĘCIE ARCHIWALNE: ZB. AUTORA.

Pomimo upływu kilkudziesięciu lat od zakończenia ostatniej wojny, Polska wciąż pozostaje krajem pełnym militarnych pamiątek – zagubionych, porzuconych, względnie ukrytych. Większość z nich zalega w ziemi, co sprawia, że ich stan zachowania pozostawia zazwyczaj wiele do życzenia. Zdarzają się jednak prawdziwe perełki, przedmioty zakonserwowane i schowane w miejscach zabezpieczonych przed wilgocią – na domowych strychach, bądź pod podłogami. Bywa, iż po wydobyciu broń sprawia wrażenie gotowej do natychmiastowego użycia. Tak, jak w przypadku niemieckiego karabinka automatycznego MP 44 odnalezionego kilka miesięcy temu w Łodzi.

Podobnie jak w innych tego typu sytuacjach, odkrycie było zupełnie przypadkowe. Właściciel jednej z kamienic przy ulicy Tymienieckiego zaplanował remont rozsypującego się poddasza. W trakcie wstępnych prac, razem ze zbutwiałymi deskami, na głowę majstra spadł sporych gabarytów pakunek. Jak się okazało, w środku znajdował się karabinek MP 44, szerzej znany pod swoją ostateczną, wojenną nazwą: Sturmgewehr (Stg 44). Zgodnie z prawem, broń, wraz z dwoma magazynkami i amunicją, została zabezpieczona przez policję, następnie sprawę przejęła prokuratura. Dzięki wzorcowej współpracy z obiema instytucjami, zabytek udało się pozyskać do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Stg 44 sam w sobie nie jest jakimś szczególnym unikatem; do końca wojny Niemcy zdołali wyprodukować przeszło pół miliona sztuk wszystkich wersji, niemało egzemplarzy zachowało się w kolekcjach muzealnych na całym świecie, wciąż też zalegają w magazynach, o czym świadczą krążące w sieci zdjęcia z ogarniętej wojną Syrii. Łódzki karabinek jest jednak wyjątkowy, po pierwsze ma polski kontekst i przetrwał kilkadziesiąt lat w niemal idealnym stanie. Po drugie, to jedna z najciekawszych wojskowych konstrukcji II wojny światowej.

Żmudne poszukiwania

Sturmgewehr był bronią absolutnie przełomową. Jego pojawienie się w 1943 r. oznaczało zakończenie mozolnych i długoletnich prac nad stworzeniem uniwersalnego uzbrojenia dla zwykłego piechura, i zwiastowało nadejście nowej ery w historii broni strzeleckiej. Pomysł zbudowania automatycznego karabinu, o masie i gabarytach umożliwiających swobodne manewrowanie nim na polu walki, a zatem przydatnego dla pojedynczego strzelca, nie był nowy i sięgał korzeniami okresu poprzedzającego I wojnę światową. Już w jej trakcie znalazł swoje urzeczywistnienie w postaci rosyjskiego karabinu skonstruowanego przez znakomitego rusznikarza i wizjonera Władimira Fiodorowa. Broń oznaczona wzorem 1916 działała na zasadzie krótkiego odrzutu lufy, i dostosowana była do japońskiego naboju karabinowego 6,5×50,5 mm; będąc konstrukcją pionierską obarczona była szeregiem wad i trudno uznać ją za udaną (choć używano jej jeszcze w czasie II wojny). Warto tutaj wspomnieć także o innym „automacie" – amerykańskim karabinie BAR (Browning Automatic Rifle), dziele genialnego Johna Mosesa Browninga, który pojawił się w okopach Flandrii w 1918 r., ale z uwagi na gabaryty i masę bardziej przypominał erkaem, aniżeli broń indywidualną.

Zespół broni odnaleziony przez saperów w 2010 r. na Podkarpaciu. W środku Sturmgewehr.

Prace kontynuowano w okresie dwudziestolecia międzywojennego, m.in. w ZSRR, gdzie uczeń Fiodorowa, Siergiej Simonow, zbudował karabin automatyczny (AWS 36) działający na zasadzie odprowadzania gazów przez boczny otwór w lufie, i strzelający standardowym nabojem karabinowym Mosina 7,62×54 mm. Podobnie jak poprzednik okazał się nieudany i bardzo zawodny, co spowodowało szybkie wycofanie go z uzbrojenia. Wreszcie, w czasie II wojny światowej Niemcy wyposażyli część swoich spadochroniarzy w karabin FG 42, który pomimo teoretycznie znakomitej konstrukcji, również nie sprostał pokładanym w nim nadziejom.

Jedną z przyczyn niepowodzeń prac nad stworzeniem indywidualnej broni automatycznej, była amunicja. Okazało się, że zbudowanie lekkiego karabinu, który umożliwiałby żołnierzowi prowadzenie efektywnego ognia ciągłego, i byłby dostosowany do standardowej amunicji karabinowej, jest po pro-

Stg 44 ze zbiorów MWP stanowi dobry przykład dla porównania ze „szturmem" odnalezionym w Łodzi. Prezentowany egzemplarz trafił już do pracowni konserwacji metalu, gdzie jest oczyszczany i zabezpieczany.

... widok z prawej strony...

Sturmgewehr 44 odnaleziony w Łodzi, widok z lewej strony...

stu niemożliwe. Klasycznym przykładem takiego, z góry skazanego na porażkę projektu, był niemiecki FG 42 opracowany z myślą o wojskach powietrznodesantowych i zasilany amunicją 7,92×57 mm. Nabój taki doskonale sprawdzał się w długich karabinach powtarzalnych oraz zespołowej broni maszynowej (o długich, ciężkich lufach i podstawach stabilizujących), ale zupełnie nie nadawał się do indywidualnej broni automatycznej. Był zbyt silny i powodował nadmierny odrzut, podrzut, nieprawidłowe działanie mechanizmu, a nawet uszkodzenia części. Kluczowe okazało się opracowanie naboju pośredniego o mocy mniejszej od karabinowego, ale większej niż amunicja pistoletowa. Dokonano tego w niemieckiej firmie POLTE z Magdeburga, gdzie w latach 1938-41 powstał nabój pośredni 7,92×33 mm Kurtz, o charakterystycznej butelkowatej łusce z wtokiem. Równolegle z pracami nad nabojem trwało przygotowywanie broni, która miała być dostosowana do nowego naboju. Odbywało się to w dwóch konkurujących ze sobą firmach: Haenel i Walther. W efekcie, w 1942 r. gotowe były prototypy broni ochrzczonej mianem MKb, czyli Maschinenkarabiner (karabinek maszynowy). Doświadczenia poligonowe i frontowe zaowocowały powstaniem dopracowanej broni stanowiącej kompilację obu konstrukcji. MP 43 zadebiutował w 1943 r., ale masowa produkcja ruszyła dopiero w roku następnym (MP 44). Nazwa MP czyli Maschinenpistole, była nieadekwatna (karabin w zasadzie w niczym nie przypominał peemu) i ostatecznie, na żądanie samego Hitlera, zmieniono ją na Sturmgewehr 44, czyli karabin szturmowy wzór 1944.

Wyjątkowa broń

Stg 44 był bronią samoczynno-samopowtarzalną, wyposażoną w przełącznik rodzaju ognia (automatyczny/pojedynczy) i działającą na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie; strzelał przy zamku zamkniętym (w MKb otwartym), zaryglowanym. W momencie strzału część gazów uchodziła otworem w ściance i przedostawała się do komory gazowej, działając na tłok stanowiący integralną część suwadła; to z kolei, cofając, sprzęgało się z trzonem zamkowym, powodując jego odryglowanie (przekoszenie w płaszczyźnie pionowej) i ruch w tył. Następowało wówczas wyrzucenie pustej łuski, a cały zespół osiągnąwszy skrajne, tylne położenie, rozpoczynał, dzięki umieszczonej w kolbie sprężynie, drogę powrotną wybierając ze szczęk magazynka kolejny nabój i wprowadzając go do komory. Zasilanie odbywało się z magazynka łukowego o pojemności 30 nabojów. Broń zaopatrzono w skrzydełkowy bezpiecznik i płytkę osłaniającą okno wyrzutowe łusek odchylane podczas odwodzenia suwadła. Masa broni z pełnym magazynkiem wynosiła około 5,5 kg, a szybkostrzelność teoretyczna sięgała 500 strz./min. Karabin był typową konstrukcją czasu wojny, oszczędną do granic możliwości. Poza żywotnymi częściami, a więc lufą, suwadłem, trzonem zamkowym, wykonywano go metodą głębokiego tłoczenia – doskonale widać to zwłaszcza na komorze zamkowej.

... i w całości, z odnalezionymi dwoma magazynkami.

Magazynek.

Nowa broń uzyskała bardzo dobrą ocenę, a bojowe testy wykazały jej dużą perspektywiczność. Chwalono dostateczną siłę rażenia na dystansach do 600 m (celownik wyskalowany był do 800 m) przy ogniu pojedynczym, a także wystarczającą stabilność przy strzelaniu serią do 300 m. Dla przeciętnego piechura było to w zupełności wystarczające i umożliwiające skuteczne użycie broni, niezależnie od warunków pola walki. W przyszłości planowano wyposażyć w ten karabin wszystkich żołnierzy piechoty, jednak na to było już za późno. Niemiecka zbrojeniówka borykała się z coraz większymi problemami spowodowanymi brakami materiałowymi i bombardowaniami, a produkcja nowej broni bardzo się ślimaczyła (bolączką był także deficyt odpowiedniej amunicji). Dopiero w drugiej połowie 1944 r. nadeszły zadowalające rezultaty, osiągając w listopadzie najwyższy poziom – przeszło 55 tys. Stg 44. Łącznie, do końca wojny zmontowano do 500 tys. tych karabinów.

Sturmgewehr, choć stanowił w rękach niemieckiego żołnierza duży atut w walce z tradycyjnie uzbrojonymi przeciwnikami (karabiny i karabiny samopowtarzalne), nie mógł zmienić przebiegu wojny. Przede wszystkim nowa broń trafiała do oddziałów partiami i w ograniczonej ilości, dochodziły również straty. Wciąż także poszukiwano właściwej koncepcji użycia karabinu, kierując broń do plutonów szturmowych w dywizjach piechoty (wg organizacji z końca 1944 r.).

Broń została jednak zauważona przez obce biura konstrukcyjne, i zwycięskie kraje wzięły „szturma" na warsztat. Jego niezaprzeczalne zalety i duża uniwersalność oznaczały koniec epoki powtarzalnego karabinu, zakończyły też krótką karierę wojskowego pistoletu maszynowego. Stg 44 wyznaczył nowe standardy, stając się inspiracją dla wielu powojennych karabinów, choćby radzieckiego AK (który przyjął jego ogólny układ i zasadę działania, będąc jednak w znacznej mierze oryginalną radziecką konstrukcją), czy belgijskiego FN FAL.

Kto, kiedy i po co?

Odnajdowane niekiedy w ziemi Sturmgewehry, z uwagi na swoją budowę (w znacznej mierze jest to „blaszana wytłoczka"), najczęściej rozsypują się dłoniach tuż po wydobyciu. W 2010 r. do MWP trafił ciekawy zespół broni odnaleziony przez saperów na Podkarpaciu. Obiekty po konserwacji okazały się być w pełni sprawne mechanicznie i wyglądają teraz niezwykle efektownie; wszystkie, oprócz jednego – Stg 44 właśnie.

Numer seryjny – 8336 E.

Oznaczenie wzoru broni na komorze zamkowej – MP 44.

Spód komory zamkowej – widoczny kod producenta „bnz" (Steyr).

Z karabinka udało się uratować zaledwie kilka elementów, reszta była niemal zupełnie „zjedzona" przez korozję.

Tymczasem karabinek odnaleziony w Łodzi przetrwał w doskonałym stanie technicznym. Broń oznaczona symbolem MP 44, o numerze seryjnym 8336 E, wyprodukowana została w austriackich zakładach zbrojeniowych w Steyr (kod producenta „bnz") w 1944 roku. W komplecie są dwa magazynki (oba zawierały po 30 naboi) i parciany pas nośny. Ten ostatni jest szczególnie cenny, bowiem oryginalne pasy parciane są wyjątkowo rzadkie (do karabinka stosowano standardowo skórzane, takie jak w Mauserze 98k).

Jedną z najbardziej intrygujących zagadek jest to: kto i kiedy schował na poddaszu kamienicy niemiecką broń? Teza o wycofujących się Niemcach wydaje się być mało prawdopodobna. Okupant opuszczał Łódź w pośpiechu i chyba trudno przypuszczać, aby jakiś żołnierz znalazł czas na pieczołowite zabezpieczenie karabinka i ukrycie go w tak zmyślnym, jak się okazało, schowku. Zresztą, nawiasem mówiąc, po cóż miałby to robić? Planował wrócić do miasta po ostatecznej „zwycięskiej kontrofensywie"?

Bardziej prawdopodobne wydaje się, iż broń porzucono w trakcie ucieczki, i ktoś się nią „zaopiekował". Pośrednio świadczyć może o tym sposób zabezpieczenia – strzępy starych szmat, kawałki nogawek gabardynowych spodni (w dodatku łatane), cienki karton. Gdyby broń chował Niemiec, zapewne zawinąłby ją w płaszcz, kurtkę, może celtę. Jeśli przyjmiemy, że

W środku nabój 7,92×33 mm; po lewej standardowy mauserowki nabój karabinowy 7,92×57 mm, a po prawej pistoletowy 9×19 mm Para.

„Opakowanie" łódzkiego karabinka...

Żołnierze 1. AWP, Odra, wiosna 1945 rok. Dwaj z tyłu uzbrojeni w karabiny Stg 44.

karabinek ukrył Polak, od razu nasuwa się pytanie: kiedy i po co? Czy tuż po wycofaniu się Niemców, w chaosie styczniowych dni 1945 r.? Czy może później, po tym, jak użyto jej w walkach z nową władzą? Ta ostatnia hipoteza wydaje się niezwykle kusząca, zwłaszcza że Sturmgewehr był dość licznie reprezentowany w arsenale powojennej partyzantki. W latach 1944-45 polskie podziemie raczej rzadko miało okazję zmierzyć się z pełnowartościowymi, niemieckimi formacjami frontowymi, więc i możliwość zdobycia tej broni była ograniczona (np. nie jest znane choćby jedno zdjęcie Stg 44 z okresu Powstania Warszawskiego). Jednak uciekająca panicznie przed Armią Czerwoną armia niemiecka pozostawiła po sobie spore ilości uzbrojenia, które wpadło w polskie ręce. Do czasu wyczerpania się zapasów oryginalnej niemieckiej amunicji 7,92×33 mm, „szturmów" chętnie używano w walce z oddziałami radzieckimi i formacjami podporządkowanymi nowej władzy.

W tej chwili na żadne z pytań dotyczących okoliczności ukrycia broni nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Ale łódzka perełka stanowi punkt wyjścia dla dalszych poszukiwań i muzealnicy bez wątpienia podejmą próbę zebrania dodatkowych informacji. O ewentualnych nowych ustaleniach bezwzględnie poinformujemy.

Michał Mackiewicz

Absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, od 2007 r. pracownik Działu Historii Wojskowości MWP w Warszawie. Swoje zainteresowania koncentruje wokół zagadnień związanych z archeologią militarną oraz ewolucją broni strzeleckiej. Autor licznych artykułów bronioznawczych (m.in. dodatki historyczne „Rzeczpospolitej", „Mówią Wieki", „Strzał", „Arsenał", Pamięć.pl) i wykładów poświęconych uzbrojeniu. Inicjator i kierownik badań archeologicznych pobojowiska pod Maciejowicami. Współautor książki „VIS wz.35" (wyd.2012).

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Góra św. Anny ciąg dalszy…

Tajemnicze sztolnie

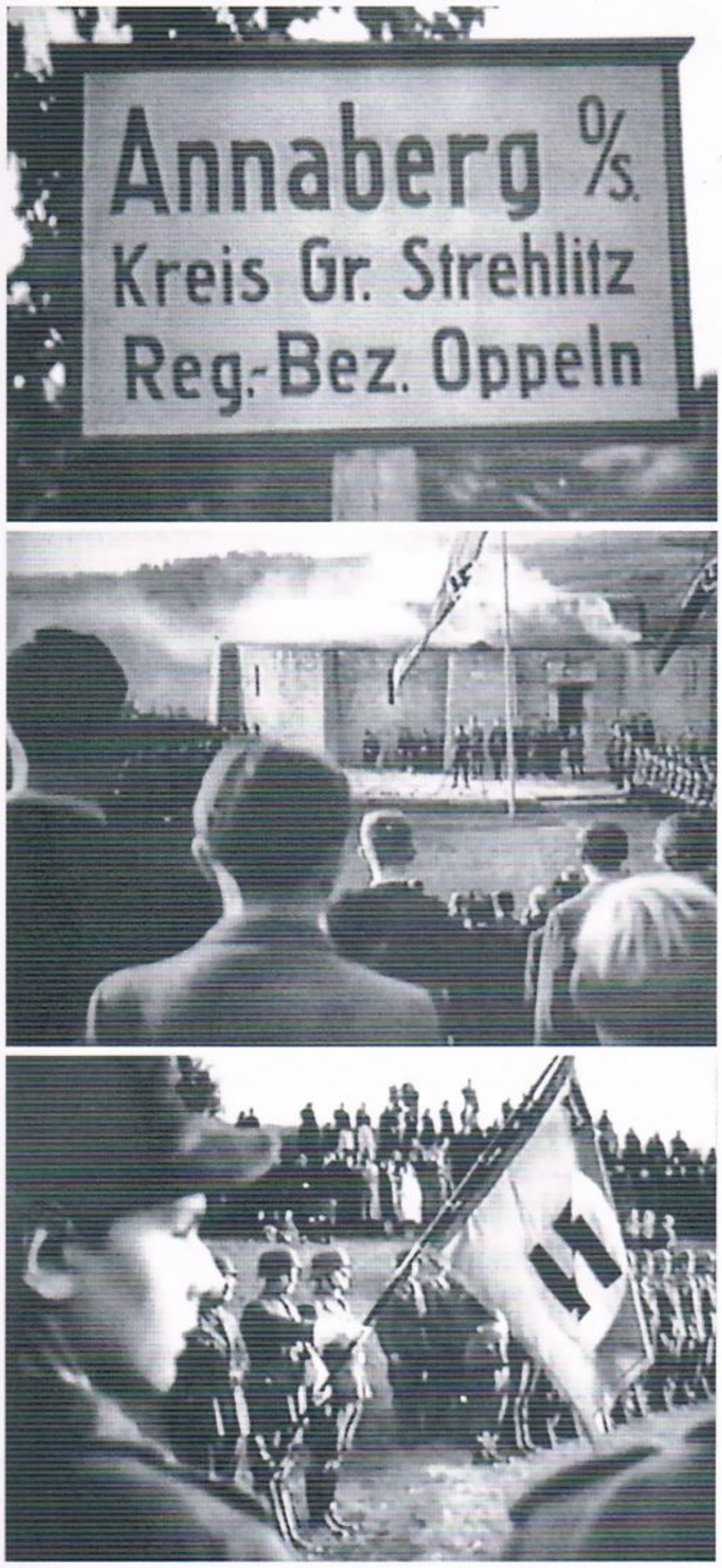

Trzy kadry z kroniki filmowej „Die Deutsche Wochenschau" z hitlerowskiej manifestacji na Górze św. Anny, w drugiej połowie października 1944 roku.

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA

Czytając cykl artykułów p. Dariusza Pietruchy o Górze św. Anny („Odkrywca" nr: 5, 6 i 7 z 2013 roku), chciałbym uzupełnić te wyjątkowe materiały o informacje, które zainteresują zapewne każdego odkrywcę i eksploratora. Dużo czasu poświęciłem na zgłębienie jednej z tajemnic tej mitycznej góry i wiem, że kryje ona w sobie tajemnicze sztolnie…

Hitlerowska kronika filmowa „Die Deutsche Wochenschau" w wydaniu 738., które do niemieckich kin trafiło pod koniec października 1944 roku, pomieściła blok materiałów o powstającym akurat Volkssturmie, wraz z fragmentem przemówienia ministra spraw wewnętrznych Rzeszy Reichsführera SS Heinricha Himmlera. 18 października wygłosił je w Bartenstein (Bartoszycach) w Prusach Wschodnich do trzynastu pierwszych kompanii powstającej armii dzieci i starców. Następne kadry kroniki przenoszą widzów na Annaberg, na plac przed Reichsfeierstätte, jak podczas wojny nazywano mauzoleum ku czci poległych tu w 1921 roku bojowników Selbstschutzu. W tym historycznym miejscu swój polityczny chrzest przeszedł górnośląski Volkssturm, co na światłoczułej taśmie utrwalił operator hitlerowskiej kroniki.

W przygotowywanej akurat do druku książce, która stanowić będzie zbiór głównie sensacyjnych historii z wojennych dziejów Górnego Śląska (w znaczeniu prowincji górnośląskiej Trzeciej Rzeszy, do której włączono także ziemie nieśląskie), nie mogło zabraknąć rozdziału o Górze św. Anny. I chociaż podczas wojny prawdopodobnie nie działy się na niej jakieś nadzwyczajne wydarzenia, może poza pokazanym przez kronikę chrztem Volkssturmu, warto było poświęcić jej nieco miejsca, cofając się także poza ramy czasowe, które sobie w książce wyznaczyłem (lata 1939-1945). Od ładnych kilku lat bowiem dysponuję materiałem, przede wszystkim ikonograficznym, który sytuuje Górę św. Anny na czele tajemniczych miejsc Górnego Śląska. Rzeczywiście tajemniczych.

By tę historię nieco przybliżyć Czytelnikom „Odkrywcy", postanowiłem z gotowego już rozdziału „Amfiteatr w strugach deszczu" zacytować jego końcowy fragment. Oto on.

Widok na zakłady koksownicze w Zdzieszowicach ze stoków Góry św. Anny. Podczas wojny w tym miejscu pracowały wielokrotnie bombardowane przez Amerykanów, zakłady Schaffgotsch Benzin Werke GmbH.

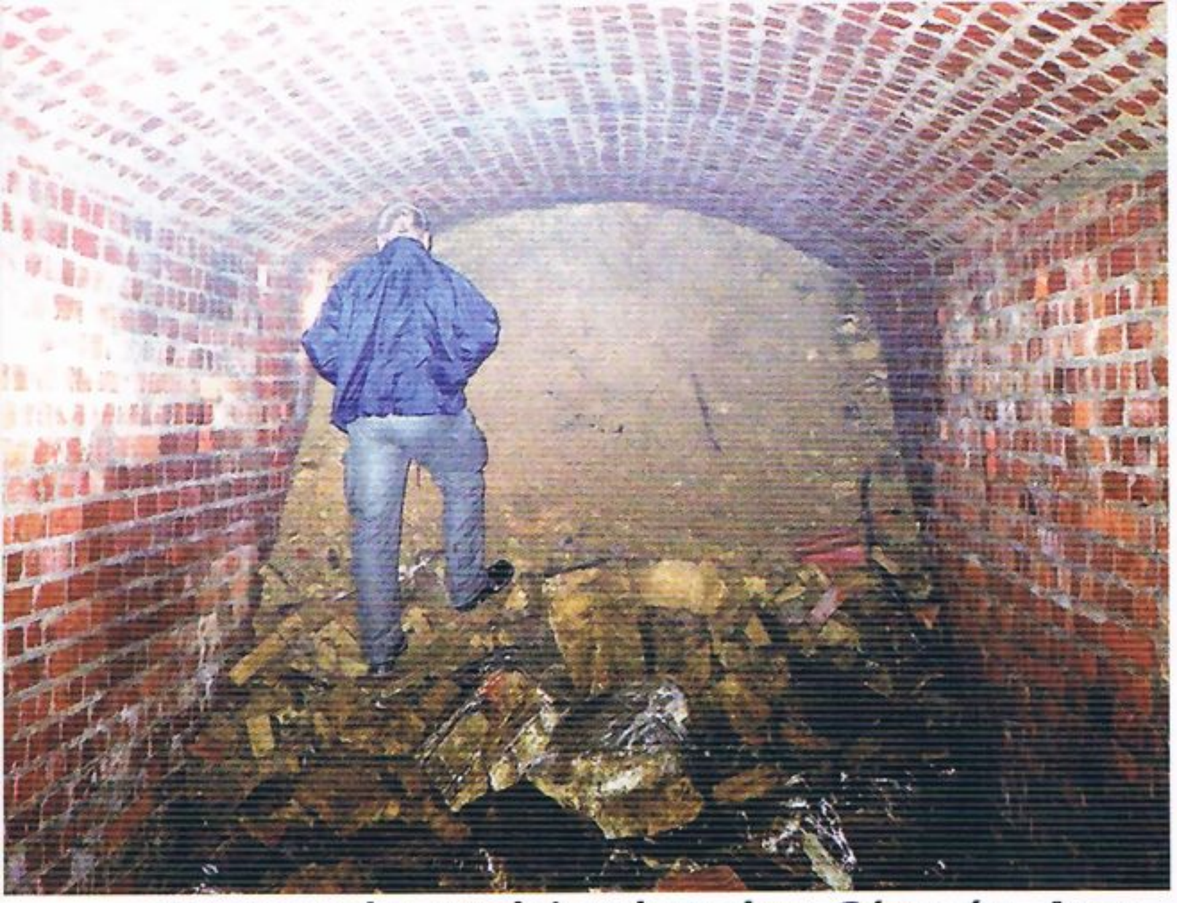

Wnętrza obu sztolni wykutych w Górze św. Anny. Na zdjęciach Paweł Piątkiewicz. 2006 rok.

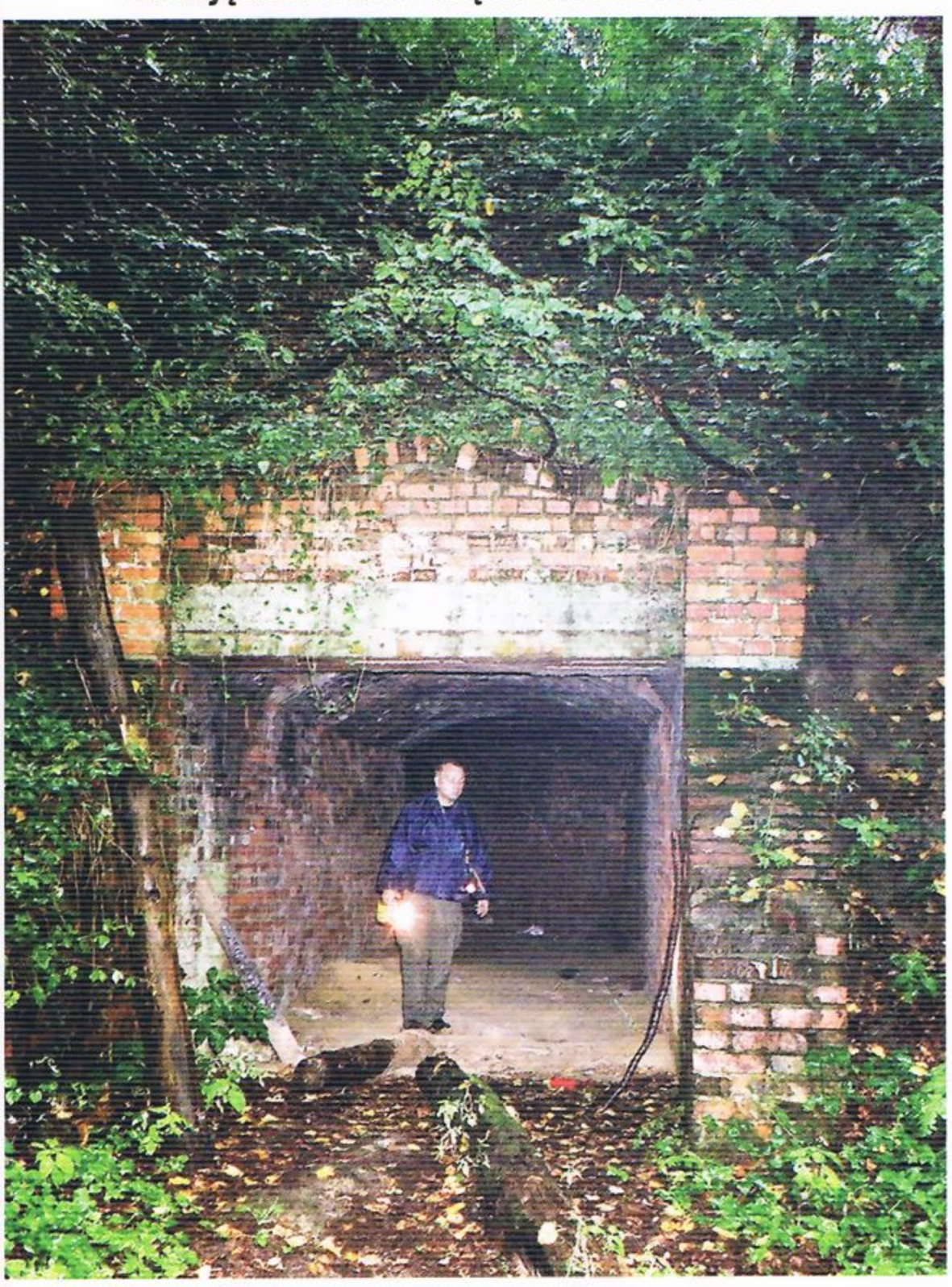

Jedno z wejść do sztolni w masywie Góry św. Anny na zdjęciu z 2006 roku.

„Amfiteatr w strugach deszczu" (fragment):

Minęło 61 lat od tamtej tragicznej dla tysięcy Ślązaków ostatniej wojennej zimy. Był deszczowy dzień końca sierpnia 2006 roku. W towarzystwie eksploratora Pawła Piątkiewicza przyjechałem na Górę św. Anny, by zobaczyć i sfotografować to, co wcześniej już widział Paweł, a mianowicie tajemniczy obiekt, który pozostał tu z czasów II wojny światowej. Polacy, którzy wiosną 1945 roku przejęli administrację na Opolszczyźnie, pozostawili amfiteatr i monumentalną wieżę w jego pobliżu, natomiast jesienią tegoż roku, rozebrali mauzoleum. Prawdopodobnie niektóre jego elementy wysadzono w powietrze, a resztę rozebrali jeńcy wojenni. Do lżejszych prac zagoniono okolicznych mieszkańców, a ściślej – mieszkanki, bo mężczyźni albo zginęli, albo przebywali w niewoli lub też wywiezieni przez czerwonoarmistów pracowali w kopalniach, gdzieś na wschodzie Związku Radzieckiego. Dziesięć lat po wojnie w miejscu hitlerowskiego mauzoleum stanął pomnik Czynu Powstańczego, monumentalne dzieło wybitnego rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego. Pod nim pozostały jednak rozległe podziemia, które do 1945 roku stanowiły fragment Totenhalle, czyli Hali Zmarłych. Ale nie do tych podziemi prowadził mnie Piątkiewicz…

Mniej więcej kilometr od pomnika Dunikowskiego w kierunku południowym znajduje się podziemny kompleks, do którego w tamten deszczowy, sierpniowy dzień zmierzaliśmy najkrótszą drogą, a więc nie od strony amfiteatru, lecz od niedalekiej szosy z Góry św. Anny do Zdzieszowic, w pobliżu której zaparkowaliśmy samochód. I nagle, jak spod ziemi, wyrosło przed nami wejście do wykutej w górze sztolni. Włączyliśmy latarki i ostrożnie weszliśmy do obudowanego cegłą tunelu. Po około 20 metrach chodnik lekko skręca w lewo, i po dalszych 20 metrach sztolnia kończy się zwałami piasku. Czy kryje on rozległy zawał, tego nie udało się nam ustalić.

– *Obok jest druga sztolnia* – powiedział Paweł, gdy obejrzeliśmy już wszystko, co obejrzeć się dało. Po około 50 metrach rzeczywiście natrafiliśmy na wejście do tunelu, którego wnętrze jest jakby kopią tej sztolni zwiedzanej przed chwilą: około 20 metrów prosto, lekki łuk w lewo i po 20 metrach znowu zwały piachu, ale tu piasek zmieszany jest z gruzem. Nad jednym z wejść widać było napis „Hamburg". I stąd wzięła się nazwa tych sztolni – „Hamburgi", wymyślona przez eksploratorów prawdopodobnie już po naszym tu pobycie, bo w 2006 roku z tą nazwą nigdzie się nie spotkałem, a pozbawione mniej lub bardziej głupawych napisów ściany wnętrza obiektu świadczyły o tym, że niewiele osób o nim wiedziało.

– *Kiedyś te dwie sztolnie pod ziemią chyba łączyły się w jeden większy obiekt, który prawdopodobnie spełniał rolę schronu przeciwlotniczego* – mówię ni do siebie, ni do Piątkiewicza.

Schron przeciwlotniczy tu, na tym odludziu, w tych leśnych chaszczach? Nie jest to wcale bezzasadne pytanie jeśli zważy się, że schrony przeciwlotnicze budowano w pobliżu miejsca pracy lub zamieszkania tych, którzy w razie nalotu będą się w nich chronić. Tymczasem w przypadku obiektu we wnętrzu Góry św. Anny, wszędzie jest daleko. Do wioski, to co najmniej kilometr. Ładnych kilka kilometrów było stąd do Odertal i zakładów Schaffgotsch Benzin Werke GmbH. Wymieniam tę fabrykę benzyny syntetycznej tylko dlatego, że jedna z hipotez głosi, że był to schron dla załogi właśnie tych zakładów. I wbrew pozorom, może to być prawda.

W przypadku ogłoszenia alarmu przeciwlotniczego, a zakłady w Odertal (...) były w drugiej połowie 1944 roku wielokrotnie bombardowane, pracownicy nie mieli żadnych szans, by dobiec do tego schronu przed rozpoczęciem nalotu. Droga liczy kilka kilometrów, i to pod górkę. I chociaż czas, który minął od zakończenia wojny, oraz przyroda i ludzie zatarli tu wiele śladów, ukształtowanie terenu nieopodal schronu sugeruje jednak inne rozwiązanie. W pobliżu mógł być jakiś mały obóz (kilka baraków) dla cudzoziemskich robotników przymusowych zatrudnionych w Schaffgotsch Benzin Werke GmbH. Jeśli lokalizacja obozów pracy będących filiami obozów koncentracyjnych oraz obozów jenieckich jest na ogół dość dobrze znana, to w przypadku obozów dla robotników przymusowych, gdzie nie obowiązywała większość rygorów znanych z tych pierwszych, wiedza ta jest mocno dziurawa. To – w potocznym rozumowaniu – nie były miejsca kaźni i badacze się nimi na ogół mało zajmowali.

Pozostała jeszcze wiedza świadków, przede wszystkim okolicznej ludności, która często widziała i wiedziała dużo więcej, niż się powszechnie sądzi. Sporą część tych ludzi wysiedlono do okupowanych Niemiec w latach 1946-1947, a wielokrotnie ponawiane próby porozmawiania z autochtonami lub ich potomkami, którzy mieszkają w tej okolicy, spełzły na niczym. Z Polakami interesującymi się czasami II wojny światowej na te tematy oni nie rozmawiają. O żadnych schronach nie słyszeli, nic nie wiedzą – to najczęściej spotykane odpowiedzi. I wielkie oczy na widok fotografii, które wykonałem latem 2006 roku. Chcąc ułatwić odpowiedzi, w czerwcu 2013 roku, podczas kolejnego pobytu na Górze św. Anny, moim rozmówcom pokazywałem te fotki. Nie, nigdy tam nie byli i uprzejmie dziwili się, że coś takiego jest w pobliżu. Pierwszy raz widzę…

Również Paweł Piątkiewicz przez kilka lat prowadził swoje „śledztwo" w sprawie interesujących nas sztolni, odwiedzając nie tylko mieszkańców Góry św. Anny, ale także różne instytucje województwa opolskiego, jak choćby muzea czy archiwa. Niczego się nie dowiedział.

Natomiast jeden z internautów zwrócił uwagę, że bardzo podobny schron do tego z Góry św. Anny znajduje się, a raczej znajdował, na Bobrku, który od 1951 roku jest dzielnicą Bytomia. I schron ów też wykuto w skałach niezbyt wysokiego wzgórza, a eksploratorzy nazwali go również „Hamburgiem". Niestety, nie przetrwał on do czasów współczesnych. Według opowieści krążących po Bytomiu, wysadzili go w powietrze Rosjanie, wcześniej w jednej ze sztolni gromadząc jakieś niebezpieczne dla otoczenia niewybuchy i tym podobne przedmioty. Według innej relacji, podczas walk o Bobrek w styczniu 1945 roku w schron uderzył pocisk artyleryjski, którego eksplozja spowodowała duże zniszczenia i śmierć wielu ludzi. Ślady tych walk jeszcze w latach 90. XX wieku były widoczne na zachowanym fragmencie schronu: wejściu do tunelu i kilkumetrowym odcinku chodnika. Z wykonanych wówczas zdjęć, które umieszczono w internecie, można wysnuć następujący wniosek. Oba schrony były podobne do siebie, ale nie identyczne. Ten z Góry św. Anny ma sklepienie ceglane łukowatego kształtu, a ten z Bobrka, miał równe sklepienie żelbetowe.

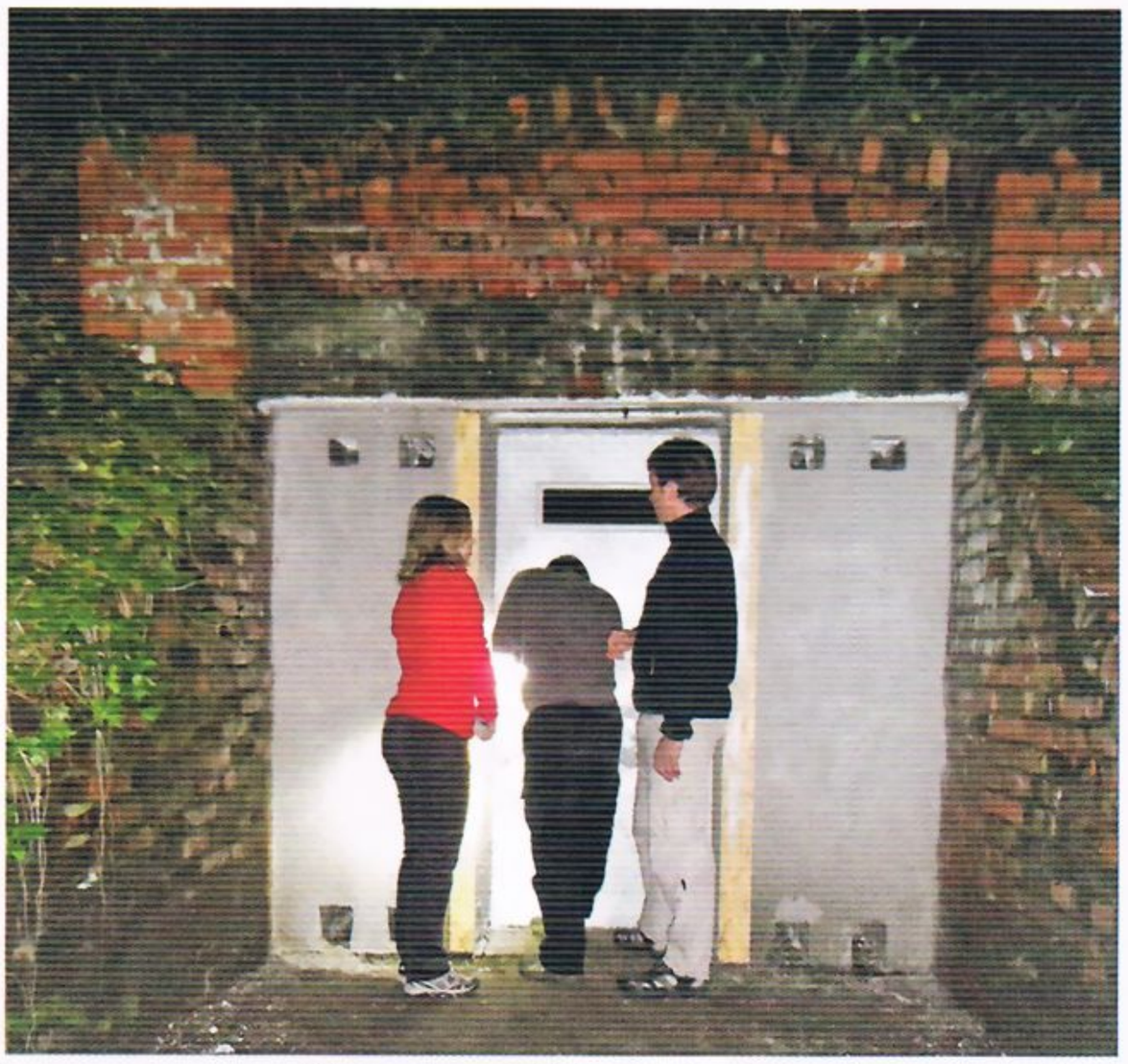

Zamurowane wejście do sztolni w Górze św. Anny na zdjęciu z połowy czerwca 2013 roku.

Dla eksploratorów, odkrywców i łowców tajemnic wojennych nie tylko bytomski „Hamburg" praktycznie już nie istnieje. Nie wejdziemy też do sztolni w Górze św. Anny. Gdy w połowie czerwca 2013 roku – jak już wspomniałem – przebywałem w tej okolicy, postanowiłem raz jeszcze je zobaczyć i dokładnie spenetrować. Tym razem dotarłem doń od strony amfiteatru i jakież było moje zdziwienie, gdy po dwudziestominutowym spacerze stanąłem przed… świeżo postawioną ścianą z otworami do wlotu i wylotu nietoperzy. Równie solidnie zamurowano też wejście do drugiej sztolni. W powietrzu unosił się jeszcze zapach zaprawy murarskiej…

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej. Ostatnio na rynku wydawniczym ukazała się kolejna pozycja autora bestsellerów „Zmierz bogów w Posen" i „Łuny nad jeziorami. Agonia Prus Wschodnich", „Dymy nad Gdańskiem. Agonia Prus Zachodnich".

REKLAMA

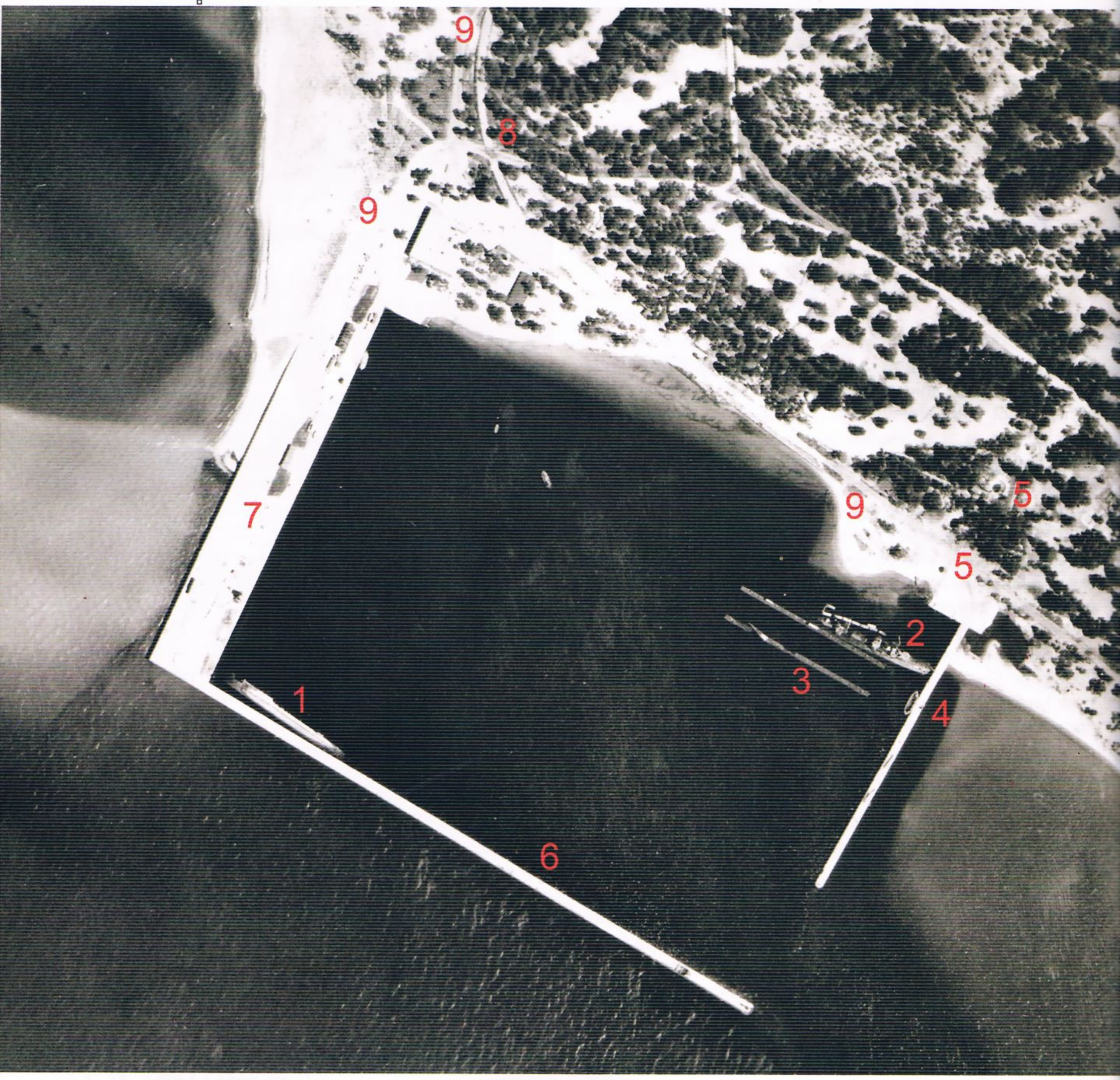

Opis techniczny zdjęcia:

Lokalizacja: Hel, Jurata, Jastarnia, Kuźnica, Władysławowo, Cetniewo, Puck – powiat pucki, województwo pomorskie.
Format zdjęcia: 18×18 cm, kamera – Rb18, ogniskowa kamery – 200 mm.
Data wykonania zdjęcia: 1939 lub 1940, godzina 10:00
Skala: 1:9700, wysokość lotu (przybliżona): 6500 m
Informacje dodatkowe: na tyłach zdjęcia można znaleźć pieczęć Ministerstwa Lotnictwa Rzeszy (niem. Reichsluftfahrtministerium) z datą przyjęcia do zasobu – 7 października 1940 rok.

Opis zdjęcia:

1 – Wrak ORP „Wicher".
2 – Wrak ORP „Gryf".
3 – Zatopiony dok pływający.
4 – Miejsce trafienia bomby lotniczej w żelbetową skrzynię falochronu.
5– Niektóre miejsca trafienia bomb lotniczych.
6 – Miejsce trafień pocisków z niemieckich okrętów w falochron.
7– Nabrzeże obsługowe portu.
8 – Skrzyżowanie torów wojskowej kolejki wąskotorowej.
9 – Tory wojskowej kolejki wąskotorowej.

Widziane z góry (cz. 2)

Helski port wojenny

AUTOR: SEBASTIAN RÓŻYCKI
ZDJĘCIE: S. RÓŻYCKI/NARA

Prezentowane zdjęcie helskiego portu wojennego, to drugie, po Wilczym Szańcu (patrz „Odkrywca" nr 7/2013), zdjęcie lotnicze z cyklu publikowanego na łamach „Odkrywcy". Dotyczy on opisu, bądź interpretacji, wybranych zdjęć, wykonanych przez lotników niemieckich dla obszaru Polski w latach 1939-1945. Fotogramy niemieckie z okresu II wojny światowej są aktualnie najłatwiejszym do uzyskania archiwalnym materiałem fotograficznym, udostępnianym w Narodowym Archiwum w Stanach Zjednoczonych. Do opisania kilku fotogramów z mojego zbioru zaprosiłem osoby, które w swoich badaniach lub publikacjach wykorzystują i doceniają wartość archiwalnych zdjęć lotniczych.

Zdjęcia niemieckie są dość specyficznym materiałem, wynikającym z zadań postawionych rozpoznaniu lotniczemu Luftwaffe – zadań o charakterze taktycznym. Z tego powodu rzadko spotykamy dokładnie odfotografowane lotniska, czy kompleksy przemysłowe (co ma miejsce w znacznej części dostępnych zdjęć rozpoznania alianckiego). W 80% loty rekonesansowe odbywały się głównie wzdłuż linii komunikacyjnych lub ponad rejonami toczonych walk. Zbiory te są również słabo opisane. W przypadku, gdy nie dysponujemy datą zdjęć (a zdarza się to dość często) bardzo trudno domyślić się, w jakim celu wykonywano dany lot. Jakość zdjęć niemieckich jest gorsza od fotogramów alianckich, z powodu ich papierowej postaci. Mimo upływających 70 lat są jednak dobrze zachowane, choć na niektórych widać rysy czy pęknięcia emulsji. Mimo tych wad (dla niektórych mogą być to zalety), jest to fantastyczny materiał, który chciałem Państwu w wielkim skrócie zaprezentować.

Zaproszone do współpracy osoby, to muzealnicy, historycy, ale również pasjonaci historii. Ich różne spojrzenie na czarno-białe fotogramy, połączone z ogromną wiedzą i pasją, powinny być dla Państwa ciekawym materiałem.

Zapraszam serdecznie do lektury.

Prezentowany fragment zdjęcia pochodzi z nalotu rekonesansowego, wykonanego przez lotników Luftwaffe. Zbiór składa się z serii ok. 100 fotogramów i jest jedynym zachowanym w archiwum w USA śladem niemieckiego rozpoznania lotniczego dla całego wybrzeża polskiego z lat 1939-1945[1]. Polskie wybrzeże jest dobrze odfotografowane tylko na zdjęciach alianckich.

Data zdjęć z tego lotu nie jest znana. Można przypuszczać, że zostały wykonane późną jesienią 1939 lub wczesną wiosną 1940 roku.

Zdjęcia niemieckie zrobiono prawdopodobnie w celu stworzenia fotomapy najważniejszych miejscowości na Półwyspie Helskim. Świadczyć o tym mogą ręcznie zaznaczone na fotogramach punkty, będące naturalnymi szczegółami terenowymi, które wykorzystano do stworzenia fotoplanu. Samolot wykonywał od dwóch do trzech szeregów nad każdą z miejscowości (Hel, Jurata, Jastarnia, Kuźnica, Władysławowo, Cetniewo, Puck), wykonując około 5 zdjęć w szeregu.

W sieci można znaleźć kilka niemieckich zdjęć lotniczych z 1939 roku dla Półwyspu Helskiego. Fotogramy te pochodzą z albumu „Der Überfall auf Polen, September 1939 – Beispiele zur taktischen Luftaufklärung"[2]. Album był własnością p. Erwina Volmara (w czasie wojny służył w jednostce interpretacji zdjęć lotniczych), a po jego śmierci został odkupiony przez niemiecką firmę zajmującą się zdjęciami archiwalnymi.

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

○ ○ ○

AUTOR: WŁADYSŁAW SZARSKI

Obrona Helu trwała 32 dni. Już 3 września zostały zatopione w helskim porcie największe okręty Rzeczypospolitej: stawiacz min ORP „Gryf" (103 m) i kontrtorpedowiec (w obecnej terminologii – niszczyciel) ORP „Wicher" (107 m). „Wicher" trafiony bombami, które rozdarły poszycie, wywrócił się na prawą burtę, a „Gryf" – po bombardowaniach – zapalił się i osiadł na dnie na równej stępce. Bombardowanie i ostrzał okrętów niemieckich tylko nieznacznie uszkodziły falochrony portowe zrobione z żelbetowych skrzyń, wykonywanych w Gdyni i przyholowanych od Helu w 1933 roku.

Po zatopieniu „Gryfa", obrońcy Helu wymontowali z niego dwie armaty (jednodziałową i dwudziałową), i w warunkach bojowych stworzyli z nich baterię nadbrzeżną, która do zakończenia obrony Helu zdążyła oddać tylko strzały próbne.

Po zakończeniu Kampanii Wrześniowej Niemcy zlikwidowali sieć przeciwtorpedową w wejściu do portu, oraz wyprowadzili z helskiego portu wszystkie mniejsze jednostki, jak również dźwig pływający potrzebny w porcie w Gdyni. Widoczne w helskim porcie wraki „Wichra" i „Gryfa" oraz zatopiony dok pływający udało się im usunąć z portu dużo później. Helski port uzupełniony o drewniane pirsy wewnętrzne stał się dla Niemców cenna bazą – przede wszystkim dla okrętów podwodnych.

Przypisy:

[1] wyniki przeprowadzonej kwerendy mówią jeszcze o dosłownie kilku niemieckich zdjęciach dla okolic Kołobrzegu (m. in. dla miejscowości Bagicz), jednak na dzień dzisiejszy ich dostępność w Archiwum nie została potwierdzona.

[2] Ciekawy wątek o tym albumie można znaleźć na forum internetowym „Odkrywcy".

Władysław Szarski

Urodzony w Krakowie w 1945 roku. Z wykształcenia inżynier, pracował większość życia jako informatyk. Od 2006 r. jest wicedyrektorem i jednym z twórców MOW-Muzeum Obrony Wybrzeża Stowarzyszenia „Przyjaciele Helu". Autor wielu artykułów do prasy lokalnej o historii Helu, autor pięciu „Zeszytów helskich" (wyd. MOW) o tematyce militarnej związanej z obroną polskiego wybrzeża.

Transporter widmo

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI,
K. KRZYŻAŃSKA

Ta wiadomość pod koniec czerwca br. zelektryzowała na kilka dni mieszkańców Dolnego Śląska. Oto bowiem w lokalnych mediach pojawiła się informacja o planowanych poszukiwaniach niemieckiego transportera opancerzonego. Oczywiście na miejscu akcji nie mogło nas zabraknąć.

Sd.Kfz 251 półgąsienicowy transporter opancerzony produkcji niemieckiej (na zdjęciu, na darłowskim zlocie, w powojennej czechosłowackiej wersji OT-810). Czy taki pojazd zalega na dnie zalanego kamieniołomu?

Siedlimowice, nieopodal Żarowa na Dolnym Śląsku. Niewielkie, zalane co najmniej od lat 30. XX wieku wyrobisko dawno nieczynnego kamieniołomu. Ukryte pośród drzew, wygląda klasycznie tajemniczo, spełniając wszelkie eksploracyjne standardy jeziorka kryjącego skarby. W tym wypadku nie jest to jednak tylko wrażenie. 28 czerwca br. pracownicy Żarowskiej Izby Historycznej, wspólnie z ekipą Centralnego Ośrodka Nurkowego w Wałbrzychu, w oparciu o liczne relacje i przesłanki, postanowili zweryfikować krążącą od lat po okolicy historię. Mimo że informacje pochodziły z różnych źródeł, konsekwentnie prowadziły w jedno konkretne miejsce. – *O zatopionym tam pod koniec wojny pojeździe wspominał, wystarczająco wiarygodnie, bezpośredni świadek tego zdarzenia, nieżyjący już niestety mieszkaniec pobliskich Siedlimowic. Dodatkowo relacja ta potwierdzona została w 2002 i 2004 roku przez dwie niezależne ekipy nurków. Uczestnicy obu akcji opisali dokładnie układ dna zalanego kamieniołomu, oraz namierzyli zalegający pod wodą obiekt, który określili, jako wrak półgąsienicowego transportera opancerzonego. Podjęta też została próba jego wydobycia. Lecz z opowiadań wynika, że zakończyła się niepowodzeniem. W efekcie tych działań pojazd zamiast znaleźć się na powierzchni, opadł ze stosunkowo płytko położonej skalnej półki na samo dno* – opowiada Bogdan Mucha, inicjator poszukiwań i specjalista ds. zbiorów muzealnych prowadzący Żarowską Izbę Historyczną. – *Naszym zadaniem jest więc jego ponowne namierzenie, uważamy bowiem, że może to być niemiecki Sd.Kfz. 250 lub 251* – podsumowuje krótko. Smaczku tej opowieści dodaje fakt, że podczas jednego z nurkowań sprzed 10 lat, udało się odnaleźć we wnętrzu transportera skrzynki z nieznaną zawartością. Podobno wyciągnięto tylko dwie. Podobno było ich tam znacznie więcej…

Drugowojenna historia okolicy nie była zbyt burzliwa, chociaż w pobliskim Żarowie (niem. Saarau) funkcjonowały ośrodki przemysłu zbrojeniowego. Już w drugiej połowie XIX wieku powstało w mieście zrzeszenie zakładów chemicznych Silesia Verein Chemischer Fabrik in Saarau, które w latach 30. XX wieku nawiązało bliską współpracę z niemieckim potentatem chemicznym IG Farbenindustrie. Mariaż ten wpłynął na znaczne unowocześnienie miejscowej fabryki i powstanie w 1937 spółki „Thiokol", która rozpoczęła produkcję sztucznego kauczuku, zaś po wybuchu II wojny światowej również nowo opracowanego włókna lateksowego, wykorzystywanego m.in. do produkcji lotniczej. Zapewne ok. roku 1942 lub 1943 przeniesiono do Saarau, ewakuowane z Austrii i głębi Niemiec, filie zakładów Elin und Schorch-Werke AG Rheydt (silniki elektryczne i elektrody spawalnicze), co czyniło z niewielkiej miejscowości całkiem już spore centrum przemysłowe. Produkcja trwała więc nie-

REKLAMA

Inicjator akcji Bogdan Mucha z Żarowskiej Izby Historycznej.

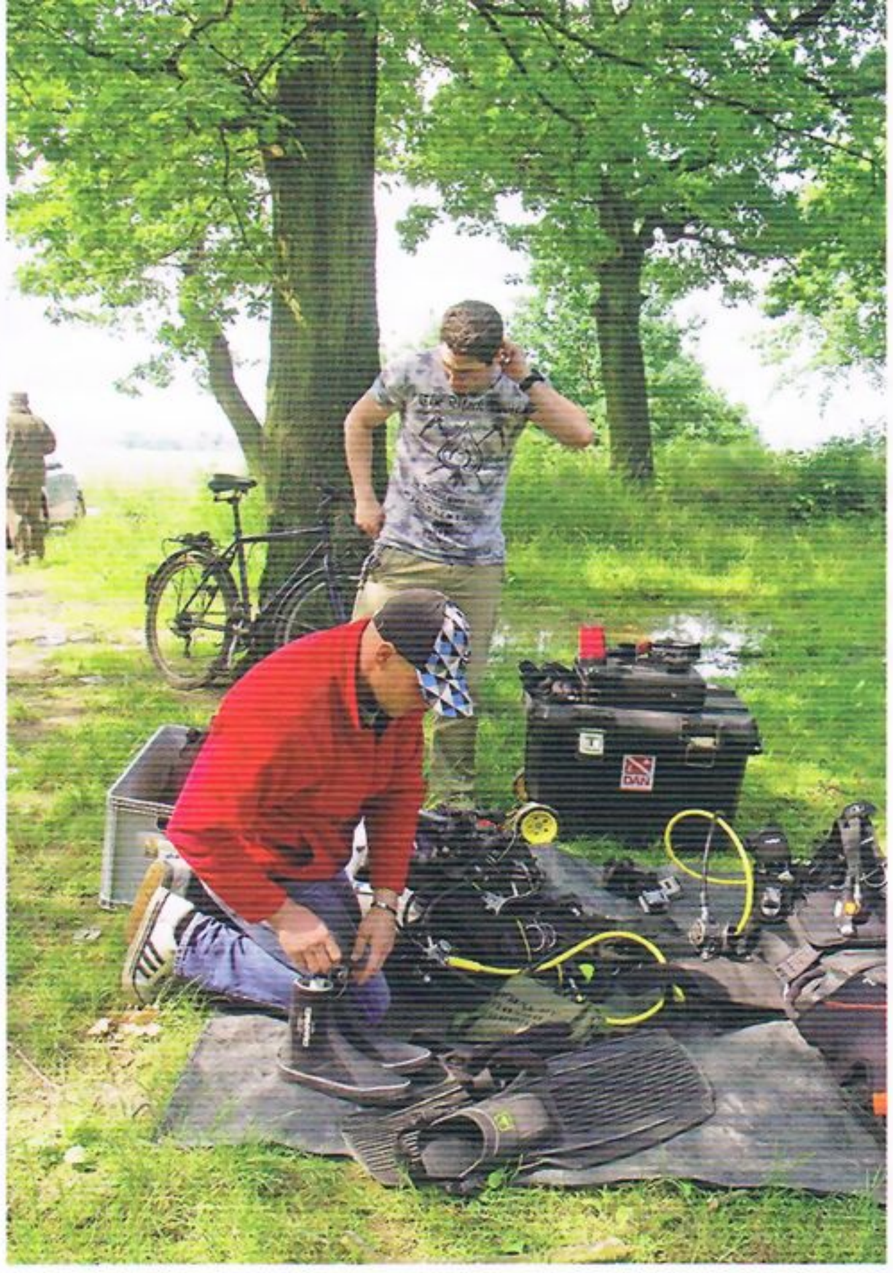

Płetwonurkowie szykują się do akcji.

Na powierzchni widać już tylko pęcherzyki powietrza.

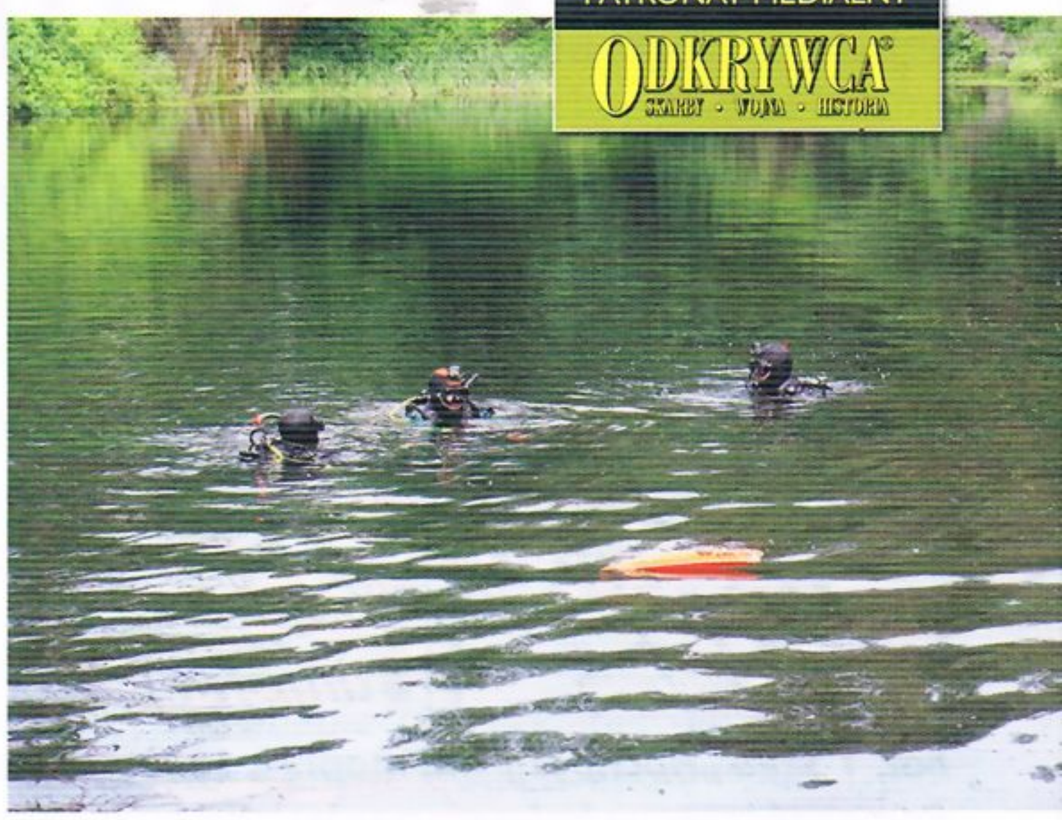

przerwanie do 1945 roku, kiedy wyposażenie fabryk w Żarowie zostało częściowo ewakuowane przez Niemców, którzy wywozili także dokumentację techniczną wraz z projektami zaawansowanych technologii rozwijanych w tamtejszych laboratoriach. Istnieje teoria, że jeden z pojazdów wywożących z miasta tego typu materiały, został celowo zatopiony wraz z ładunkiem w pobliskim kamieniołomie…

Tydzień, na który zaplanowana została akcja, obfitował w intensywne opady deszczu, co stawiało realizację przedsięwzięcia pod znakiem zapytania. Na szczęście ostatni czerwcowy piątek okazał się wyjątkowo pogodny. Na miejsce zjeżdżali się powoli organizatorzy i uczestnicy akcji, licznie zaproszone media, okoliczni pasjonaci historii i mieszkańcy pobliskich miejscowości. Tylu osób w tym odludnym miejscu chyba dawno nie było. Gdy płetwonurkowie szykowali się powoli do pierwszego zejścia pod wodę, nad jeziorkiem echem roznosił się gwar rozmów, pełnych tajemniczych opowieści i przeróżnych hipotez. Jesteśmy wszak na Dolnym Śląsku, gdzie niemal każda wieś i miasteczko kryje jakąś historię „skarbową", lub tajemnice związane z II wojną światową. Czas więc miło upływa na pogawędkach, lecz te cichną, gdy ekipa mająca zejść pod wodę zanurza się w toń zalanego kamieniołomu. Na tafli zbiornika widać już tylko pęcherzyki powietrza. Mijają nerwowo kolejne minuty akcji, gdy pojawiają się pierwsze informacje. Warunki są niestety fatalne, widoczność – ze względu na silne zamulenie – jest praktycznie zerowa. To jednak nie wszystko. Na domiar złego pojawił się kolejny, nieprzewidziany problem w postaci zalegającej na dnie grubej warstwy przegniłych liści. Szybki rzut okiem na okoliczne drzewa i wszystko staje się jasne. Ponowne zejście pod wodę, również nie przynosi rezultatów. Nawet jeżeli jakikolwiek obiekt znajduje się w toni, jego namierzenie bez specjalistycznej aparatury, będzie każdorazowo szukaniem igły w stogu siana. Zapada więc rozsądna decyzja przerwania akcji, która w zaistniałych warunkach całkowicie straciła sens. Emocje powoli opadają, ale zdecydowanie było warto. Choć nie udało się namierzyć pojazdu, opis ukształtowania dna, znany z poprzednich nurkowań, potwierdził się niemal w całości. Zwiastuje to, że reszta również może być prawdą.

Płetwonurkowie z Wałbrzycha postanowili ponownie spróbować poszukiwań zimą, gdy przejrzystość akwenu będzie znacznie lepsza. Zapewne wówczas wykorzystany zostanie podwodny detektor, w celu namierzenia jakiegokolwiek zalegającego na dnie metalu. Zatem nie żegnamy się, a jedynie mówimy – do zobaczenia za kilka miesięcy.

Firmie GRALmarine dziękujemy za możliwość wsparcia nurków biorących udział w akcji dodatkowym oświetleniem i rejestratorem.

Ekipa z Centralnego Ośrodka Nurkowego omawia warunki, jakie panują pod wodą.

W czerwcowym numerze podjęliśmy karkołomną próbę powiązania historii ukrytych w czasie wojny na polecenie Hansa Franka cennych dzieł sztuki, w tym tytułowego „Chrystusa upadającego na krzyżu" Rubensa, z możliwą skrytką zlokalizowaną w kopalni. Ponieważ współczesne dokumenty bezsprzecznie potwierdzają, że szkic flamandzkiego mistrza trafił do dolnośląskiego Sichowa, a jego dalsze losy nie są jasne, podjęliśmy, w ramach działań Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca", próbę spenetrowania kopalni „Carl Friedrich Gustaw" zlokalizowanej w pobliskiej wsi Stanisławów. Tym samym chcieliśmy rozstrzygnąć, czy byłoby możliwe ukrycie czegokolwiek w takim miejscu. W części 1 opisaliśmy pokrótce historię zaginionych dzieł sztuki oraz historię kopalni do końca 1945 roku. Po 68 latach od zakończenia wydobycia przez niemieckich górników, zbadaliśmy wszystkie możliwe wejścia do jej wnętrza.

Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 2)

Badanie „Hochberga"

TEKST: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK
ZDJĘCIA: AUTORZY

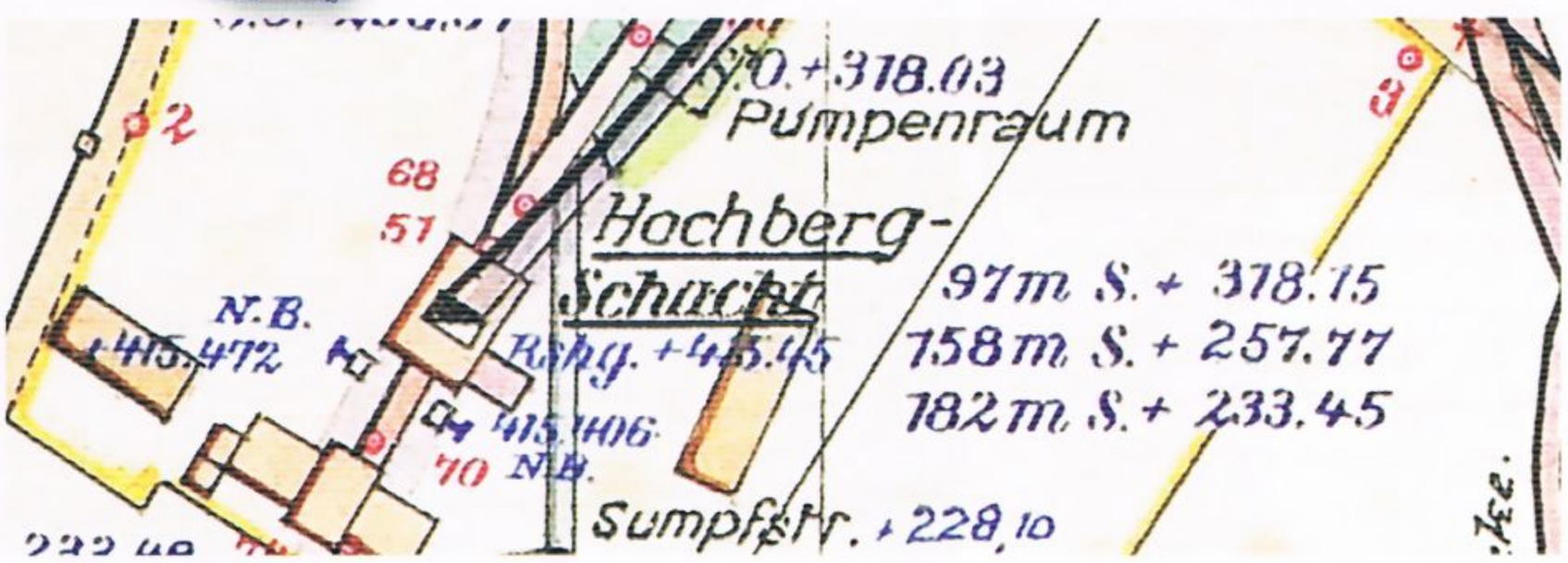

Fot. 1 Szyb „Hochberg" na mapie z 1899 r., aktualizowanej do lat 40. XX wieku. Pomarańczowym kolorem naniesiono budynki znajdujące się wokół szybu, z których do dziś pozostały jedynie resztki fundamentów. Po prawej stronie szybu nazwy poziomów (S.=Sohle) oraz ich głębokości.

Eksplorację kopalni postanowiliśmy rozpocząć od rzeczy najprostszej, jaką wydawało się zbadanie szybu „Graf Hochberg", na mapach górniczych nazywanego także po prostu „Hochberg". Głębienie szybu rozpoczęto po optymistycznych wynikach badań złóż w 1938 roku, gdy kierownictwo kopalni postanowiło udostępnić złoża rud żelaza pionowym szybem zlokalizowanym w pobliżu zabudowań ówczesnego Willmansdorf, czyli Stanisławowa. Zrąb szybu, zwany przez górników „poziomem, gdzie świat widać", znalazł się na wysokości 415,5 m n.p.m., sam zaś szyb osiągnął dość imponującą głębokość. Na arkuszu mapy mierniczy nanieśli precyzyjne pomiary: pierwszy poziom znajdował się 97 m poniżej zrębu, kolejny, 61 m niżej, nazwany poziomem „158", najniższy zaś schodził kolejne 24 m w głąb ziemi do poziomu „182" (zdj. nr 1). Wiedzieliśmy więc, że do 1945 r. szyb miał co najmniej 182 m głębokości. Co działo się z szybem po zakończeniu wojny? – *Byłam jeszcze małym dzieckiem, kiedy tu przyjechałam* – opowiada nam pani Korolewska, właścicielka łąki, na której znajduje się zakryty otwór szybu. – *Pamiętam, że nad szybem stała jeszcze drewniana konstrukcja wieży, skręcona potężnymi śrubami, a na niej widać było duże koło napędowe i liny. Obok był taki taśmociąg, którym można było transportować rudę… Ludzie rozebrali wszystko krótko po wojnie i wieża znikła.* Zadajemy serię pytań, a pani Korolewska słucha uważnie. – *Nie wiem, jaki głęboki był szyb. Na pewno jednak był głęboki, bo rzucony kamień spadał i spadał. Nie wiem, czy się zawalił. Przyjeżdżali tu tacy różni badacze i sprawdzali go.*

Jest marzec, mroźno, a wszystkie pola wokół Stanisławowa pokrywa śnieg. Podchodzimy do krawędzi szybu. Z czeluści wydobywa się para – ogrzane powietrze z głębin ziemi, wypychane prawami fizyki do góry. Szyb jest zabezpieczony betonową pokrywą, w której ktoś wykuł szczelinę, na tyle wielką, że zmieści się w niej człowiek. Kładziemy się na ziemi i świecimy latarką. Wewnątrz szyb jest prostokątny, obetonowany i zupełnie pozbawiony jakiegokolwiek zbrojenia: nie ma schodów, drabin i innych konstrukcji szybu. W snopie światła widać jednak pozostałości po takiej zabudowie. Przypomina mi się opracowanie dr. Madziarza, w którym wspomina, że w latach 70. XX w. zbadano szyb i stwierdzono, że *„lustro wody znajduje się na głębokości ok. 100 metrów od powierzchni"*. Na dole odnaleziono rzekomo niewybuchy z czasów zaciekłych walk o pobliskie wzgórze Rosocha. Kalkulujemy, że owe *„około 100 metrów"*, to z pewnością poziom położony wg mapy 97 m niżej, na głębokości 318,15 m n.p.m. Z plecaka wyciągamy plik map z 1943 roku. Nie ulega wątpliwości, że ten właśnie poziom łączył się z poziomem sztolni „Carnall", oznaczonej na mapie jaskrawym, żółtym kolorem. Jeśli więc relacja z lat 70. jest prawdziwa, a nie ma podstaw sądzić, że jest inaczej, ten poziom był najpewniej zalany na całym odcinku – od szybu „Hochberg", aż do wylotu sztolni „Carnall", niemal kilometr dalej (!). Tłumaczyłoby to nietypowe zjawisko, które zaobserwowaliśmy przy wylocie „Carnalla", o czym za chwilę. Czy uda się nam zejść na poziom – 97?

W mroźnych okolicznościach uwija się ekipa GEMO. Z terenowego auta wyciągamy czarną walizeczkę, która skrywa specjalną kamerę (zdj. nr 2). Kamera zostaje przymocowana do długiej linki, ta z kolei do przedłużacza. Na walizce ląduje ekran, który transmituje obraz na żywo. Wkładamy urządzenie przez szczelinę do czeluści szybu i powoli opuszczamy w dół. Słońce odbija

się w śniegu i razi oczy, więc narzucamy na siebie czarny koc i obserwujemy z zaciekawieniem przekaz spod ziemi. Obraz trzech facetów stojących na zaśnieżonym polu pod czarnym kocem, żywo komentujących obraz w niewielkim monitorze, był zapewne widokiem iście surrealistycznym. Kamera kręci się wokół osi, więc szybko dostajemy zawrotu głowy, ściany szybu wirują, kończy się beton, zaczyna lita skała, a światło kamery wciąż przebija się przez czerń szybu. Linka opada w dół metr za metrem. Nagle majaczą kształty, widać cegłę, starą reklamówkę, jakiś plastik, szkło. Kamera opiera się o podłoże, linka wiotczeje. Od razu wiemy, że nie było to 100 m, odkładamy na chwilę dokładne liczenie. Kucając pod kocem nie jesteśmy zadowoleni, bo to co zobaczyliśmy, niewiele nam mówi. Kombinujemy w inny sposób: wyciągamy kamerę i ustawiamy poziomo, opuszczamy ją jeszcze raz, obserwując ściany szybu. Teraz jest ciekawiej: z innej, horyzontalnej perspektywy obserwujemy dokładnie betonową obudowę, dziwaczne żelazne klamry i ślady po obudowie, potem litą skałę. Gdzieniegdzie widać różnego rodzaju szczeliny i spękania. Na samym dole, w miejscu, gdzie kamera dociera do „dna", widać przeróżne, współczesne śmieci. Szyb jest w tym miejscu jakby poszerzony, wytężamy wzrok manewrując jednocześnie liną kamery. Na wypadek gdybyśmy coś przeoczyli, wszystko nagrywa się na twardy dysk. Kamera idzie do góry, a my skrupulatnie liczmy metry liny: 5, 10, 20, 30 metrów… nawet nie, dokładnie 28 metrów. Na tej głębokości nie powinno być żadnego poziomu, skąd więc zablokowane światło szybu? Hipoteza robocza postawiona na marcowym śniegu: dawne zbrojenie szybu zwaliło się w dół i utknęło 30 m poniżej. Pod zwałami drewna i żelaza 70-metrowa pustka. Na belki zrzucano po wojnie śmieci i wojenne „żelastwo", na koniec trafiły tam śmieci okolicznych mieszkańców. Co kryje się poniżej „korka" – brak w tej chwili możliwości eksploracji.

Pięć bezimiennych szybów

Nie zniechęceni przygodą z „Hochbergiem" przystąpiliśmy do kolejnego etapu badania kopalni. Analizując stare mapy zauważyliśmy, że prócz głównego ciągu wyrobisk na niektórych mapach zaznaczono inne, ciekawe obiekty – bezimienne szyby różnej głębokości, rozrzucone po okolicznym terenie, istotny szczegół, który był do tej pory pomijany przez badaczy tego terenu. Z opisów umieszczonych na mapach można było wnioskować, że wykonano je około 1900 r., najpewniej w okresie, kiedy w kopalni sprawdzano przebieg hematytowych żył rud żelaza. Podliczamy wszystkie szyby: jest ich pięć sztuk, rozrzucone w różnych miejscach dookoła Stanisławowa. Porównujemy więc stare mapy do tych współczesnych, topograficznych, aby zlokalizować je w terenie. Nie jest to łatwe, bo niektóre szyby zlokalizowano z dala od dróg i punktów orientacyjnych, więc pozostaje mozolne przenoszenie odległości z archiwalnych dokumentów. Według naszej oceny, wskazanie ma dokładność około 10-20 m, tak więc powinniśmy bez trudu odnaleźć je w terenie. Z każdym kolejnym szybem, naniesionym na współczesny plan terenu, czujemy podniecenie; trzeba jechać, szukać, znajdować!

Na pierwszy rzut bierzemy się za szyb nr 3, ponieważ jest największy, a prace badawcze prowadzono w nim od lutego do czerwca 1900 roku. Widoczny jest aż na dwóch arkuszach, niedaleko szosy ze Stanisławowa do Kondratowa i nieczynnej kopalni barytu. W strugach deszczu ruszamy w stronę lasu. Moknący kawałek papieru prowadzi nas błotnistą drogą w kierunku zachodnim, obliczamy odległość, rozglądamy się i… jest, zaskakująco łatwo i motywująco szybko. W miejscu starego szybu widzimy wyraźną hałdę, warpę, fragmenty betonu, resztki cegieł i drutu (zdj. nr 3). Najciekawsze jest pod naszymi stopami, niedostępne i ukryte, nie wiadomo od jak dawna.

Zachęceni tym szybkim odkryciem ruszamy na poszukiwanie szybu nr 1: na mapie bez podanej głębokości, za to jednym krótkim chodnikiem i jednym bocznym. Powinien być niedaleko dawnej radiostacji, około 100 m od polnej drogi do Leszczyny. Deszcz przestał już padać, ale teraz dopadły nas potężne komary i cierniste krzaki, które skutecznie zarosły akurat to miejsce, które wytypowaliśmy jako właściwe… Przedzieramy się przez zarośla, teren się zmienia, pojawiają się drobne kamyki i niewielka hałda. Drapiemy się po głowach, trochę od komarów, trochę z braku zdecydowania, ponieważ, co jak co, ale nie chcemy zagubić zdrowego rozsądku wszędzie dookoła widząc szyby kopalniane, ponieważ szybko zdiagnozują u nas paranoję górniczą. Niby jest hałda, ale jakaś taka… mizerna. Każdy z nas przedstawia swoją opinię, swoje obiektywne zdanie na temat zastanych okoliczności. Tak, to prawdopodobnie to miejsce, stwierdzamy demokratycznie. Zostają trzy kolejne szyby.

Szyb nr 2, wg map oddalony od całej reszty, powinien być blisko zabudowań Leszczyny, wsi położonej na zachód od Stanisławowa. Okoliczności są już przyjemniejsze, akcja dzieje się w czerwcu, pogoda jest piękna, komarów jakby mniej. Nasza lokalizacja mozolnie wyliczona w komputerze, jest precyzyjna: w wyznaczonym miejscu są duże war-

Fot. 2 W zimowej scenerii do szybu „Hochberg" opuszczana jest kamera GRALmarine. Obraz można śledzić na żywo, na niewielkim monitorze. Obok operatora – ciemna czeluść szybu, który przed wojną miał 182 m głębokości.

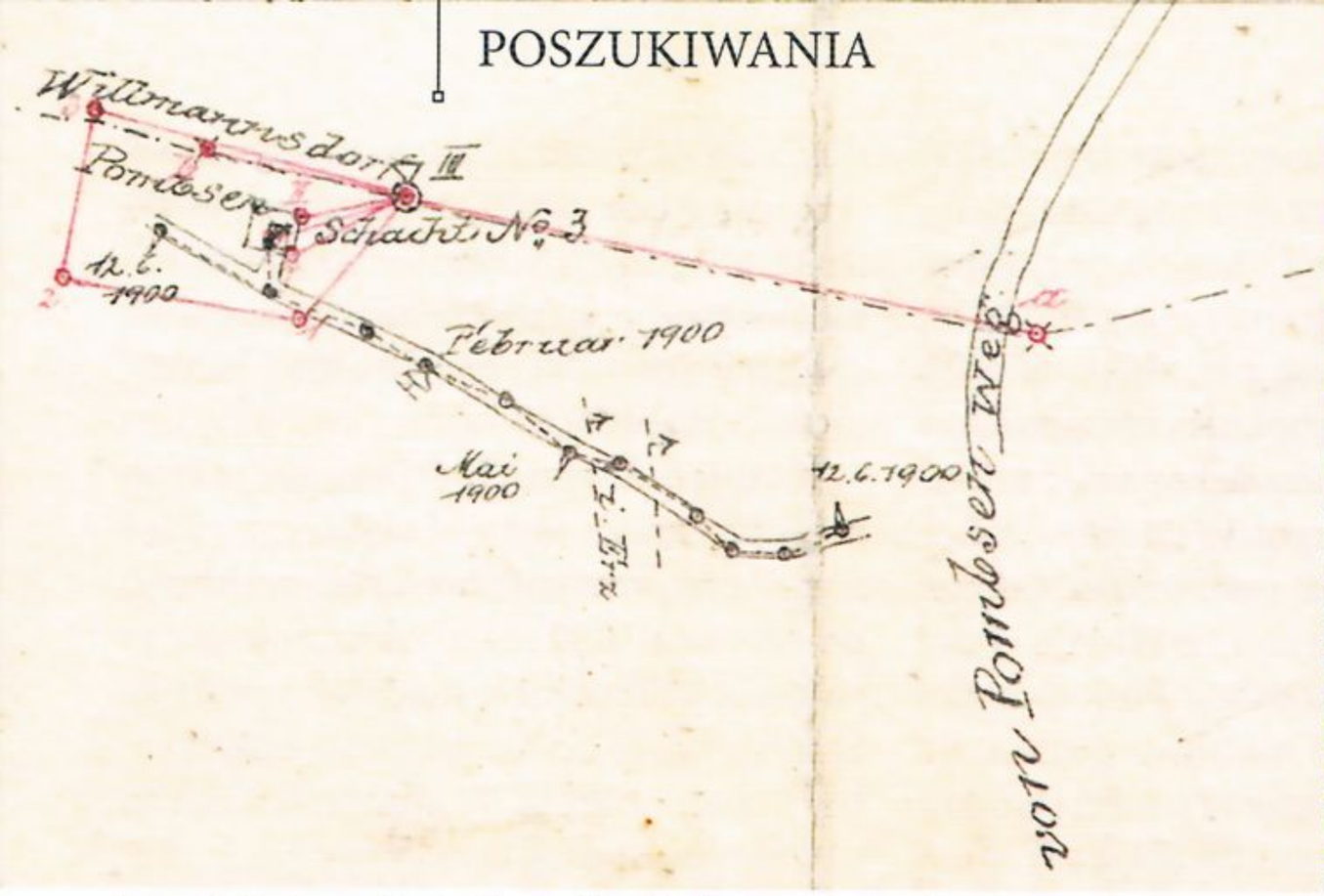

Fot. 3 Po lewej – jeden z bezimiennych szybów, oznaczonych nr 3. Po prawej – pozostałości po warpie dokładnie w miejscu naniesionym na mapie. Szyb znajdował się na południe od Stanisławowa, w lesie przy drodze prowadzącej do Kondratowa.

py, fizyczne potwierdzenie na obecność szybu i podziemnych wyrobisk. Zadowoleni oznaczamy znalezisko na mapie i robimy pamiątkowe zdjęcia. Zagadka z pozoru rozwiązana, ale… Wracając do bazy, owa zagadka nieco się gmatwa: raptem 100 m dalej jest… kolejne wyrobisko i spora hałda, a kiedy ledwie dajemy radę zebrać się nad jej skrajem, widzimy już następne wyrobisko i… następne (!). Przez chwilę nie wiemy co fotografować, mamy istny nadmiar tajemniczych wyrobisk, a gęby ucieszone, jak mali chłopcy na widok lizaków. Zapis w notatniku: *„Wyrobisk więcej niż zakładano"*. Z takimi gębami idziemy szukać dwóch ostatnich szybów.

Pierwszego z nich („nr 5") – nie udaje się odszukać. Miał mieć 21 m, a więc i warpa powinna być słusznych rozmiarów, jednak w terenie go nie widać. Owszem, są doły i wykroty, ale nic pewnego, co mogłoby nas przekonać, więc werdykt brzmi – „nie odnaleziony". Kolejny, nazwany na mapie „nr 4", wydaje się najciekawszy z wszystkich wcześniejszych. Miał 17 m głębokości i łączył się z poziomą sztolnią wychodzącą na powierzchnię. Nasze „przenosiny" tego miejsca na mapę współczesną zdają się to tylko potwierdzać: w tym miejscu jest obniżenie terenu, niewielka dolinka przecięta skromnym strumyczkiem: idealne miejsce na wylot małej, niepozornej sztolni… Szukamy więc wzdłuż i wszerz, rozszerzamy nasze pole działania przeczesując las dalej i dalej i… nic. Werdykt zależny od podejścia poszukiwacza: może czas całkowicie zatarł ślad sztolni, może jest zamaskowana, a może po prostu przeszliśmy nieświadomie obok niej, odganiając komary sprzed oczu.

Sztolnia „Carnall"

Skoro szyb „Hocherg" nie był drożny, a pięciu starych szybów nie dało się spenetrować, pozostał „atak" na najbardziej rokujące wejścia do kopalni. Pierwsze z nich to sztolnia „Carnall", nazwana tak na pamiątkę autora jednego z pierwszych opracowań niemieckich o złożach polimetalicznych Sudetów, tajnego radcę górniczego i dyrektora Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu Rudolfa von Carnalla. Wlot tej sztolni znajduje się najdalej na północ od Stanisławowa, u wylotu doliny, z której rozpościera się ładna panorama na położne kilka kilometrów dalej zabudowania Sichowa. Jej eksplorację zaczęliśmy, jak zawsze, od poznania historii. Drążenie rozpoczęto przed 1860 r. z zamiarem zbudowania sztolni odwadniająco-transportowej. Według dr. Madziarza, jej budowa szła wyjątkowo szybko, ponieważ wykorzystano naturalne szczeliny w górotworze, które biegły równolegle do warstw skalnych, dzięki czemu niemal dwukrotnie zmniejszono koszty budowy. W 1876 r. sztolnia dotarła do głównej części złoża, zwanego „Hauptlager", by dalej eksploatować partie złoża położone nad i pod nią. „Carnall" biegł dalej w kierunku południowym, osiągając imponującą długość ponad 900 m, dochodząc pod ziemią do pierwszych zabudowań Stanisławowa, a ujmując to precyzyjniej, do szybu „Hochberg", łącząc się z nim na wspomnianym już poziomie 97 m, do którego próbowaliśmy dotrzeć kamerą. W takim stanie wyrobisko działało do końca wojny, jednak nas interesowało najbardziej, co działo się z nią dalej.

W maju i czerwcu 1945 r., w okolicy Sichowa i Jawora stacjonowały wojska I Frontu Ukraińskiego. To żołnierze

Fot. 6 Nad sztolnią „Carnall" odnajdujemy zapadnięty lej z wybijającą wodą. Wyrobisko poniżej musi być zalane na długim odcinku wodą, która pod ciśnieniem wypływa na powierzchnię.

tej jednostki, jako pierwsi mieli możliwość spenetrowania porzuconych w lesie sztolni i szybów, choć na ten temat brakuje jakichkolwiek materiałów. Wiemy natomiast z dokumentów archiwalnych, że w połowie czerwca 1945 r. Rosjanie postanowili przekazać kopalnię w ręce Grupy Operacyjnej Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów na Dolny Śląsk, organizacji mającej za zadanie zabezpieczenia cennych obiektów i zakładów na zajmowanych terenach. Do Komendy Rosyjskiej udał się w tej sprawie pełnomocnik powiatowy Grupy, obywatel Adam Was. Komendant I Frontu przekazał formalnie kopalnię, zaznaczając jednocześnie, że nie przekaże kolejnych zakładów i przedsiębiorstw bez szczegółowych rozkazów, co mogłoby sugerować, że w miesiąc po zakończeniu działań wojennych kopalnia żelaza nie przedstawiała dla Rosjan większej wartości. Kilka dni po przekazaniu kopalni, Was udał się na rekonesans w rejon Sichowa, o czym raportował 23 VI 1945 r. (pisownia oryginalna): *„W związku z przekazaniem mi rozkazu, otrzymanego z armji 1. Ukraińskiego frontu, donoszę, że (…)* [kopalnia rudy żelaza] *znajduje się w Willmannsdorf* (Stanisławów – przyp. K.K., D.W.), *do której to nie dotarliśmy, z powodu silnie zaminowanej drogi polnej, prowadzącej do tej miejscowości. Zebrałem jedynie informacje, że kopalnia jest zatopiona".* Wizja zdradliwych min skutecznie odstraszała nie tylko ważnych pełnomocników, ale z pewnością także okolicznych mieszkańców, stąd najpewniej kopalnią nie interesowano się przez kilka najbliższych lat. Dopiero

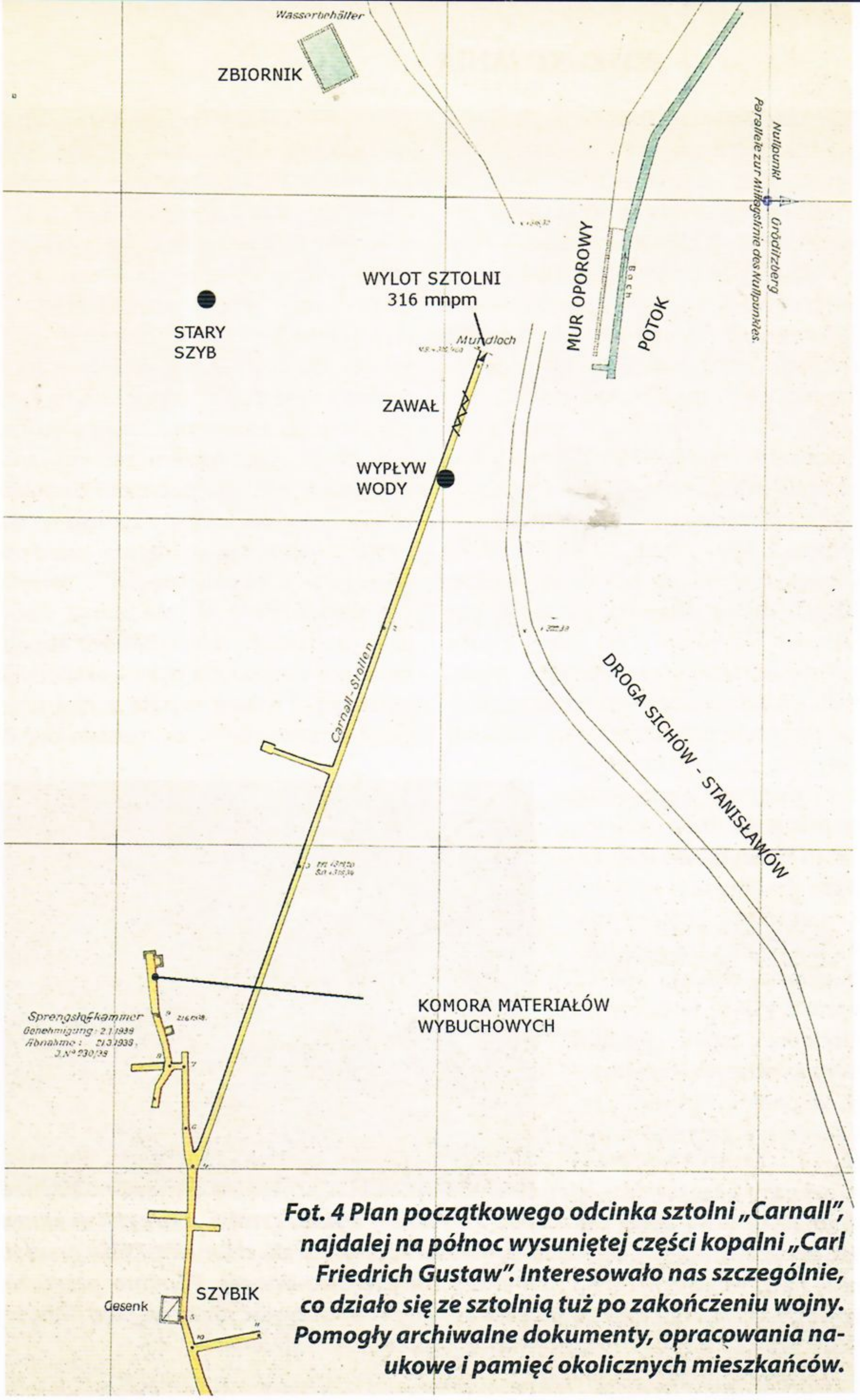

Fot. 4 Plan początkowego odcinka sztolni „Carnall", najdalej na północ wysuniętej części kopalni „Carl Friedrich Gustaw". Interesowało nas szczególnie, co działo się ze sztolnią tuż po zakończeniu wojny. Pomogły archiwalne dokumenty, opracowania naukowe i pamięć okolicznych mieszkańców.

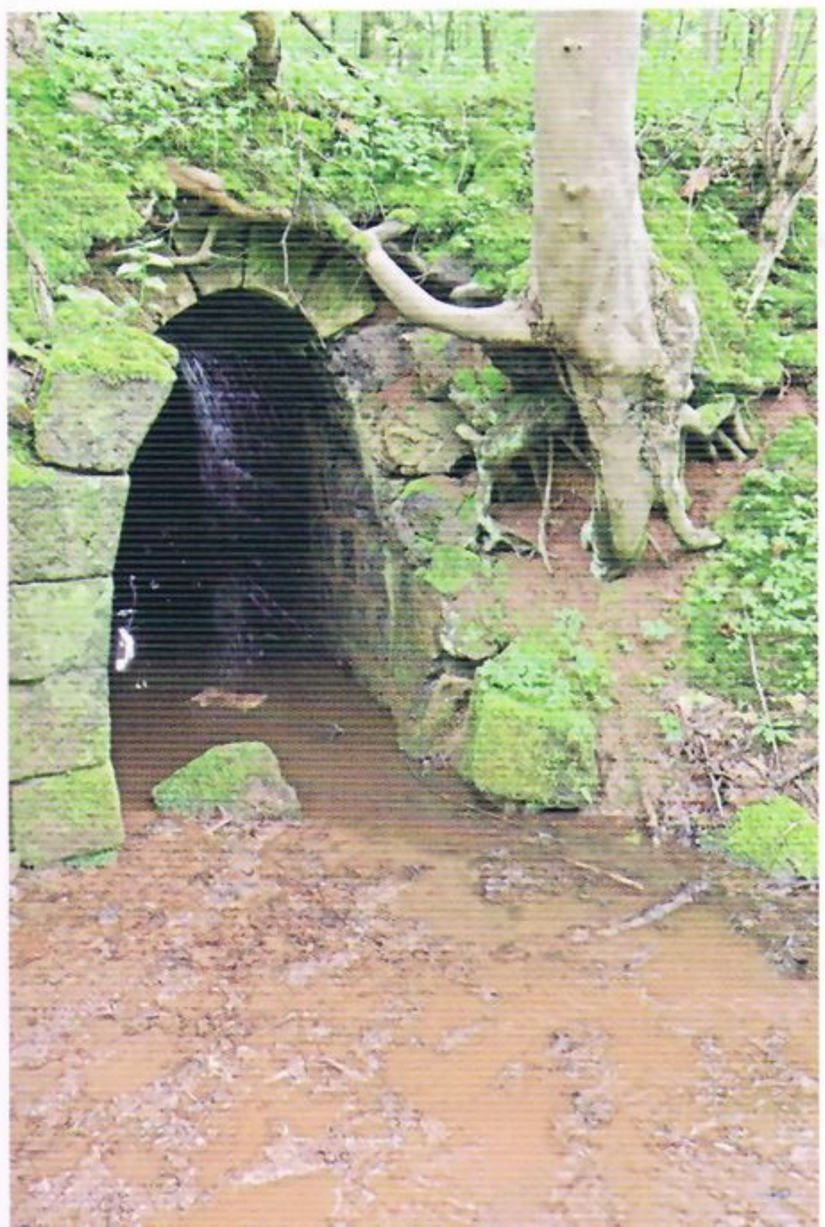

Fot. 5 Wylot sztolni „Carnall", stan współczesny. W czasie funkcjonowania kopalni można było tędy przejść aż do szybu „Hochberg", który jest oddalony od tego miejsca niemal kilometr.

w 1948 r. przyjechali do niej radzieccy pracownicy zakładów R-1 w Kowarach, w ramach poszukiwań mineralizacji uranowej. Opis tego wydarzenia przytacza materiał dr. Madziarza: *„prace rewizyjne prowadzono na powierzchni, w szybikach, na hałdach oraz w odbudowanych wyrobiskach podziemnych – sztolniach, chodnikach i wcinkach (…). Łączna długość zbadanych w ten sposób wyrobisk wyniosła 1000 metrów".* Prace zakończono w 1950 r., kiedy to uznano złoże za nieperspektywiczne pod względem występowania pierwiastków promieniotwórczych. Bardzo interesowało nas owe *„1000 metrów zbadanych wyrobisk"*, ponieważ mogło to oznaczać, że sztolnia była dostępna po wojnie, a to dawało pole do przeróżnych hipotez, także tych związanych z ukrywaniem w jej wnętrzu dóbr kultury i możliwością dotarcia do niej. Z drugiej strony, każda informacja, że we wnętrzu sztolni działali Rosjanie, geolodzy czy ktokolwiek inny, zmniejszał szanse na istnienie nieodnalezionej „skrytki", już nie tylko ta-

kiej z dziełami sztuki, ale jakiegokolwiek miejsca, gdzie mogło znajdować się coś cennego lub – powiedzmy – zabytkowego. Informację o dostępności sztolni potwierdziła nam pani Korolewska. – *Przyjechałam do wsi jako mała dziewczynka. Mój brat był odważniejszy i wchodził w te różne sztolnie. Do tej na dole* (sztolnia „Carnall" – przyp. K.K., D.W.) *też wchodził. Opowiadał, że szedł daleko, daleko, brodząc w wodzie, aż dochodził do bocznych chodników skrzyżowania. Tam było już na tyle dużo wody, że bał się iść dalej.*

Przyglądamy się wspólnie planom kopalni z 1944 r. (zdj. nr 4). Od wlotu sztolnia biegnie na południe prostym odcinkiem na długości około 100 m i dociera do komory, do której można było wejść krótkim korytarzem. Raczej mało prawdopodobne, by było to miejsce określone przez brata pani Korolewskiej jako „boczne chodniki skrzyżowania". Wydaje się, że przeszedł dalej, kolejne 150 m korytarza do miejsca, gdzie niemieccy górnicy zorganizowali komorę materiałów wybuchowych. Według mapy działała ona od marca 1938 r., w bocznym chodniku sztolni „Carnall", który w razie nieszczęśliwego wypadku, eksplozji i zawalenia nie zagrażał samej sztolni. – *Sztolnia na pewno była drożna* – zapewnia pani Korolewska, – *nie wiem jednak dokładnie, kiedy zawaliła się zaraz za wlotem. To na pewno było kilka dobrych lat po wojnie.*

Fot. 10 Poniżej wylotu sztolni „Carnall" znajdował się zbiornik oczyszczający. Jarek, członek GEMO, przeszukuje akwen metodą magnesowo-linową. Pomimo przerażających opowieści o tym, co spoczywać może na jego dnie, wyciąga tylko wodorosty. Fot.: P. Piątkiewicz.

Zawalenie się sztolni „Carnall", było kolejną zagadką do rozstrzygnięcia, która pozwoliłaby stwierdzić, jaką rolę mogło pełnić to miejsce w naszej „skarbowej" historii. Po naukowcach szukających uranu z Kowar, w 1950 r. do Stanisławowa przybyli geologowie, zdaje się zupełnie nieświadomi wcześniejszej aktywności radzieckich naukowców w tym miejscu. *„Kopalnia została zupełnie zrujnowana, wszystkie budynki naokoło szybu leżą w gruzach, a szyb jest niedostępny. Do złoża istnieje jednak nadal dostęp od północnej strony, poprzez sztolnię…"* – tak wspominał tę ekspedycję geolog Zwierzycki w swoim sprawozdaniu z prac terenowych. Naszym zdaniem chodziło z pewnością o „Carnalla", bowiem inna sztolnia udostępniająca złoże – „Carl" – była z pewnością niedostępna przed wojną, o czym jeszcze wspomnimy. W 1951 r. kilku robotników podjęło się próby „odbudowy" sztolni, i choć znów brak szczegółów czego mogła ona dotyczyć, należy sądzić, że było to daleko w głębi wyrobiska, skoro 2 lata wcześniej można było penetrować wyrobiska na łącznej długości kilometra. Kolejny jednak raz pojawił się problem zaminowania, ponieważ *„kiedy w pobliskim Sichowie, w wyniku wybuchu miny zginęła krowa, zaprzestano robót w obawie przed zaminowaniem terenu kopalni"* – przytacza opracowanie dr. Madziarza. Pomijając już fakt, że min w środku kopalni raczej na pewno nie było – ekspedycja radziecka z Kowar wyszła z niej przecież bez szwanku – coś musiało być na rzeczy z niebezpiecznymi powojennymi artefaktami, skoro nawet współczesne mapy topograficzne określają rejon lasu pomiędzy Sichowem a Stanisławowem rzadko spotykaną nazwą… Miny. Kto nie wierzy, niech sprawdzi.

Przyszedł czas na zbadanie samej sztolni, której odnalezienie nie nastręcza żadnego kłopotu, nawet dla średnio zaawansowanych poszukiwaczy. Z urokliwego kamiennego wlotu wypływa obficie czerwonawo zabarwiona woda, my przyglądamy się jednak na początku obiektom w sąsiedztwie sztolni: przed nami dawny zbiornik oczyszczający, który powiększył się znacznie i wygląda jak niewielki stawik. Państwo Korolewscy, którzy przyjechali tu z nami „na zwiady", przerzucają się bliżej nieweryfikowalnymi informacjami: że kiedyś było mniej wody, że utopił tu się jeleń, że w wodzie są trupy wrzucone w czasie lub po wojnie… Na wszelki wypadek przyjaciele z GEMO z rozmachem wrzucają do zbiornika neodymowy magnes uczepiony na lince (zdj. nr 10). W skwierczącym słońcu ciągną ciężarek powoli po dnie zbiornika… Nie ma nic. Szukamy dalej. Po prawej stronie szeroka platforma zarośnięta młodymi drzewami. To tutaj wyjeżdżał urobek z wnętrza kopalni, gdzie był przekładany z wózków na ciężarówki wiozące rudę dalej. Jakby na potwierdzenie, pan Korolewski rusza coś nogą, kopie, i schyla się w pokrzywy. Wyciąga tryumfalnie kawał zardzewiałej blachy: ma regularne kształty, jakby krzyż czy literę X. To oryginalny rozjazd kopalnianej kolejki, która działała tu prawie 70 lat temu. Nieco dalej obręcz od obrotnicy, resztki infrastruktury podziemnej kolejki. Wrzucamy znaleziska na ciągnik pana Korolewskiego, aby zrobić im dokładne zdjęcia w naszym obozowisku (zdj. nr 7 i 8).

Wracamy pod wlot sztolni. Z daleka wszystko wygląda obiecująco, ponieważ ciemna czeluść wysokości 1,5 metra, biegnąca w głąb wzgórza w kierunku Stanisławowa, zachęca do wodnej eksploracji, lecz zawód przychodzi bardzo szybko, już po zajrzeniu w pierwsze metry korytarza. Kilkanaście metrów za wlotem widać wpadające przez zawalony strop światło, w miejscu, gdzie powstał długi, liniowy zawał. Patrząc z góry na zawalony odcinek sztolni, ma się nieodparte wrażenie, że to zaplanowana, górnicza robota, odstrzelenie sztolni prowadzącej w głąb starej kopalni. Musiało to nastąpić po badaniach Zwierzyckiego, ewentualnie to ta ekspedycja odstrzeliła sztolnię, choć sprawozdanie nic o tym nie wspomina. Nie pamiętają tego zdarzenia także Państwo Korolewscy, i choć często jeździli koło tego miejsca, nie potrafią precyzyjnie potwierdzić od kiedy sztolnia jest zawalona; sami Autorzy pamiętają wlot w takim stanie od co najmniej 20 lat. Wspomnijmy jeszcze

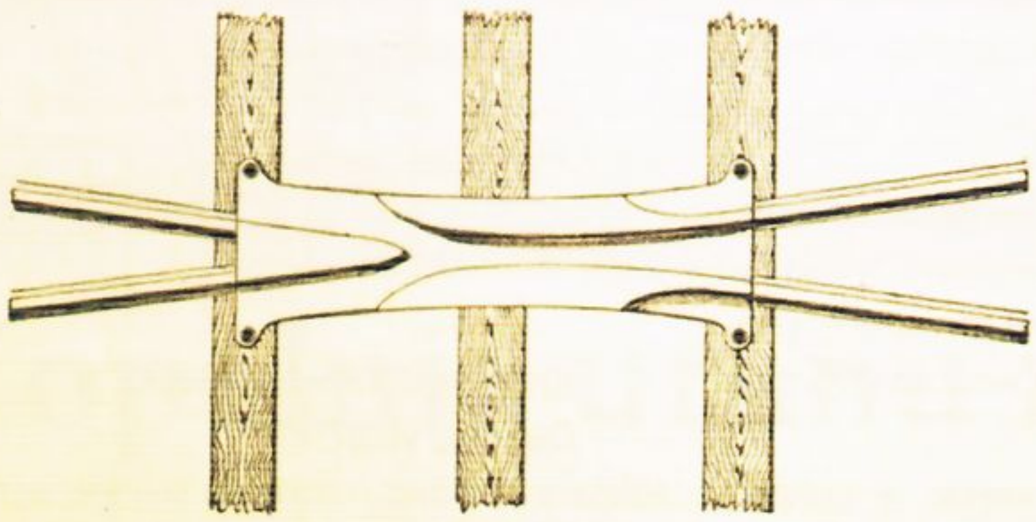

Abb. 475. Herzstück aus Stahlguß.

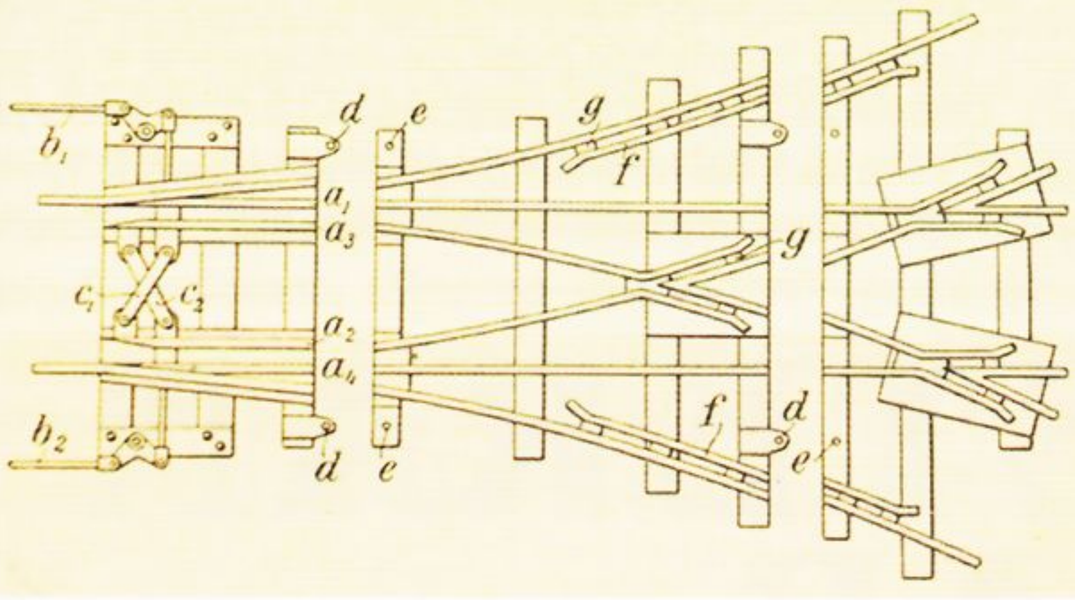

Fot. 7 Na platformie przed wlotem sztolni „Carnall" odnajdujemy starą krzyżownicę, czyli rozjazd kopalnianej kolejki. Poniżej schemat takiego rozjazdu z przedwojennej książki o górnictwie i jej zastosowanie przy budowie podziemnych torowisk.

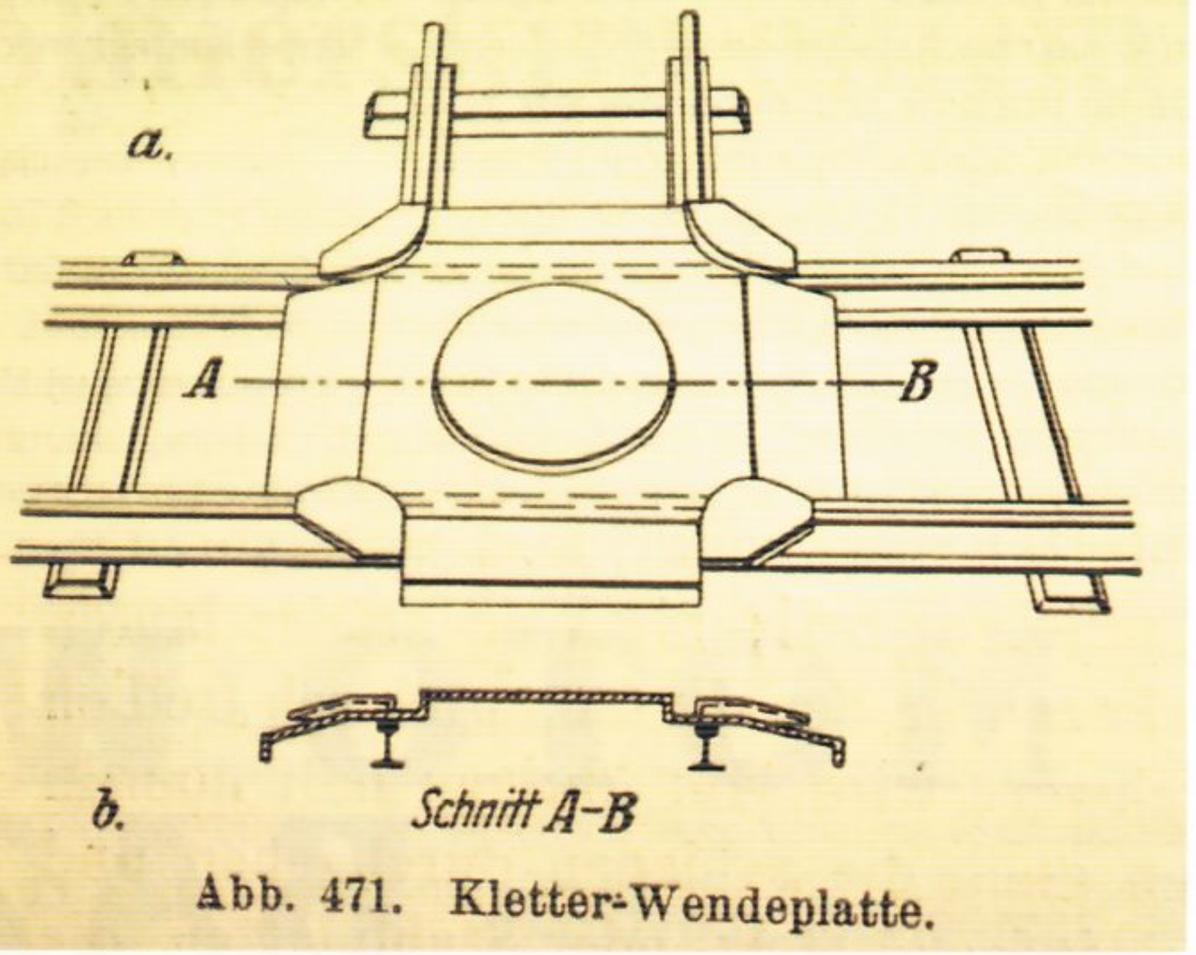

Abb. 471. Kletter-Wendeplatte.

Fot. 8 Tuż obok kolejne znalezisko – fragment płyty zwrotniczej. Dzięki konstrukcji, jak na grafice poniżej, w ciasnym korytarzu można było wygodnie obrócić kopalniany wózek w kierunku wylotu.

Fot. 9 Ekipa poszukiwawcza, od prawej: Paweł, Wojtek, Darek, Grzegorz, Krzysztof, Karol (kask biały), Marek (kask a 'la Lord Vader), Sven i Krzysztof. Fot.: P. Trzęsicki.

o nietypowym zjawisku, o którym pisaliśmy przy okazji szybu „Hochberg". Tuż za wylotem sztolni, przy drodze, zauważyć można, że z góry spływa dość pokaźna ilość wody, która zdążyła już sobie wyżłobić wcięcie w zboczu. Zaintrygowani tym wypływem, wchodzimy pod górę, aby stwierdzić skąd owa woda pędzi. Kilkanaście metrów od drogi znajdujemy spory lej kilkumetrowej średnicy, zapełniony śmieciami, w którym wyraźnie wybija woda, spływająca następnie w stronę wylotu sztolni (zdj. nr 6). Rozglądamy się dookoła: przed nami w dole widzimy wlot sztolni „Carnall", za nim długi parów z odstrzelonym fragmentem, który blokuje dostęp do podziemi i dokładnie na przedłużeniu tych dwóch punktów nasz buchający wodą lej. Szacujemy, że do poziomu sztolni poniżej jest 7-10 metrów. Spróbujmy sobie to wyobrazić: jeśli sztolnia zachowała się w dobrym stanie, a jako sztolnia transportowa powinna, to stoimy na końcu wąskiego wyrobiska prowadzącego niemal kilometr pod szyb „Hochberg". To wyrobisko jest zapewne całkowicie wypełnione wodą, bo jakież inne ciśnienie pchałoby wodę tak wysoko?

Ta konkluzja przynosi nasze wnioski co do sztolni „Carnall". Po pierwsze, nikłe są szanse, aby niższe poziomy kopalni „Carl Friedrich Gustaw" były dostępne. Wszystko poniżej miejsca gdzie stoimy, zalane jest wodą. Po drugie, została nam ostatnia możliwość, aby dostać się do wnętrza kopalni – to leżąca 400 m dalej sztolnia „Carl". O przygodach i odkryciach, które tam dokonaliśmy, napiszemy w ostatniej odsłonie naszej opowieści. Cdn.

Jeśli ktoś z Czytelników posiada informacje na temat kopalni lub innych faktów związanych z powyższym tematem, prosimy o kontakt: mediator.wroclaw@wp.pl

Autorzy dziękują za pomoc w opracowaniu artykułu: P. Trzęsickiemu, K. Mrozowi, G. Czechowi, W. Cichockiemu, M. Arjanowi, K. Budakiewiczowi, S. Strękowi oraz Grupie Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca". Dziękujemy także za gościnność Państwu Korolewskim ze Stanisławowa.

Działania GEMO wspomagane są przez stale współpracujące z GEMO firmy specjalistyczne:

Dräger GRALmarine HELIKON-TEX.com ARPOL

Literatura:
1. M. Madziarz, „Historyczna technika eksploatacji rud żelaza na przykładzie kopalni »Carl Friedrich Gustaw« w Stanisławowie [w:] „Dzieje Górnictwa – element europejskiego dziedzictwa kultury" pod red. P. Zagożdzona i M. Madziarza, t.2, Wrocław 2009

Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik

Miłośnicy górnictwa i wszelakich podziemi wytworzonych przez ludzi. Obszar głównego zainteresowania: historyczne kopalnie w Sudetach. W ciągu 10 lat swojej działalności zbadali setki obiektów głównie na Dolnym Śląsku, a swoją pasję opisali w kilku książkach oraz ponad 100 publikacjach prasowych i naukowych. Prywatnie: prawnik–humanista i ekonomista – umysł ścisły.

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR

samochody zabytkowe i klasyczne

motocykle zabytkowe i współczesne

części

renowacja pojazdów

pojazdy wojskowe

akcesoria

dawna technika

militaria

literatura

starocie

gadżety

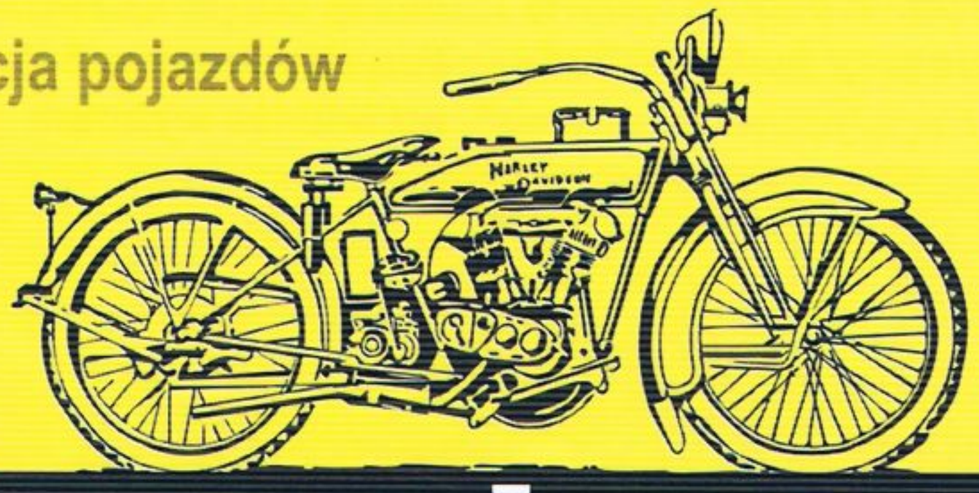

7-8 WRZEŚNIA 2013

ŁÓDŹ - STADION "START" - UL. TERESY 56

PONAD 50 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia giełdy 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 20-letnia tradycja.
Zapraszamy do Łodzi! Informacje - tel.: 42 205 44 33, 602 328 837
www.motoweteranbazar.com

Wyludniona Janowa Góra – ponad pół wieku po likwidacji kopalni uranu. Fot.: Autor

Kopalnia uranu żołnierskim okiem

TEKST: TOMASZ RZECZYCKI

Major Pasztaleniec musiał poczuć się nieswojo. On, dowódca 75. Batalionu WOP w Stroniu Śląskim, gospodarz terenu, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić, chyba po raz pierwszy od dłuższego czasu spotkał się z takim upokorzeniem. Wyjazd do kopalni w Siennej zakończył się fiaskiem – odmówiono mu wszelkich informacji o tym, co wydobywa się w kopalni, zasłaniając się tajemnicą. Musiał z pokorą uznać, że to nie on jest panem terenu, lecz Rosjanie kierujący pracami w kopalni.

Poszukiwania rud uranu prowadzone przez radzieckich geologów na terenie Sudetów, w 1948 r. uwieńczone zostały sukcesem w Masywie Śnieżnika. Tam, w bardzo starych wyrobiskach, znaleziono obiecujące złoże rudy i z miejsca przystąpiono do urządzania kopalni.

Dzieje wydobycia uranu w Polsce Ludowej doczekały się syntezy w postaci interesującej monografii dr. Roberta Klementowskiego, pt. „W cieniu sudeckiego uranu. Kopalnictwo rud uranu w Polsce w latach 1948-1973", opublikowanej w 2010 roku. Autor, historyk IPN, w oparciu o odtajnione źródła archiwalne, zgromadził obszerny materiał badawczy na temat historii tej gałęzi górnictwa. To jednak tylko część, co prawda znaczna, wszystkich wytworzonych dokumentów źródłowych odnoszących się do wydobycia uranu. Niezwykle ciekawy materiał stanowi lektura codziennych meldunków sytuacyjnych 50. komendy odcinka Wojsk Ochrony Pogranicza w Stroniu Śląskim, przeformowanych 25 kwietnia 1948 r. w 75. Batalion Ochrony Pogranicza. Można z nich dowiedzieć się, jak wyglądały początki wydobycia uranu w górskich okolicach Stronia Śląskiego w 1948 roku.

W pierwszych latach po II wojnie światowej żołnierskie meldunki WOP-istów powiadamiały nie tylko o naruszeniach granicy, przemytnikach, ucieczkach i pościgach. W codziennych meldunkach znaleźć można także informacje o mniej lub bardziej istotnych wydarzeniach, do jakich dochodziło w przygranicznych miejscowościach. Wybryki pensjonariuszy pobliskiego uzdrowiska, bijatyka na dożynkach, założenie koła Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Lądku-Zdroju, czy renowacja schodów wieży widokowej na Śnieżniku – o takich m.in. sprawach można przeczytać w codziennych meldunkach poszczególnych komend, a później batalionów WOP. Nic więc dziwnego, że gdy nagle, zimą 1948 r. przyjechali na ten teren geolodzy i wkrótce błyskawicznie zaczęła powstawać kopalnia, ten fakt znalazł odzwierciedlenie i poczytne miejsce w żołnierskich dokumentach.

Pierwszy ślad znajdujemy w meldunku sytuacyjnym nr 55 za dzień 24 lutego 1948 roku. Tego dnia, na teren podległy pięćdziesiątej komendzie odcinka WOP, dotarła z Kowar 12-osobowa ekipa górników pod kierunkiem p. Kisiela. Górnicy przybyli na polecenie Ministerstwa Przemysłu *„celem poszukiwania złóż żelaznych, które prawdopodobnie znajdują się w naszym rejonie w miejscowości Sianokosy"*. Była to oczywiście wierutna bzdura, w którą trudno było uwierzyć. Tym bardziej zaskakuje próba wprowadzenia w błąd WOP-istów. Od samego początku celem poszukiwań był promieniotwórczy uran, w Polsce praktycznie nie przydatny, a nie żelazo, metal o dużym znaczeniu gospodarczym, materiał niezbędny dla odbudowującej się po zniszczeniach wojennych Polsce. Nazwę Sianokosy nosiła wtedy wieś Sienna w Masywie Śnieżnika, pół wieku później rozsławiona w okolicy za sprawą wyciągu krze-

Jedno z wyrobisk kopalni uranu w Kletnie. Fot.: Autor.

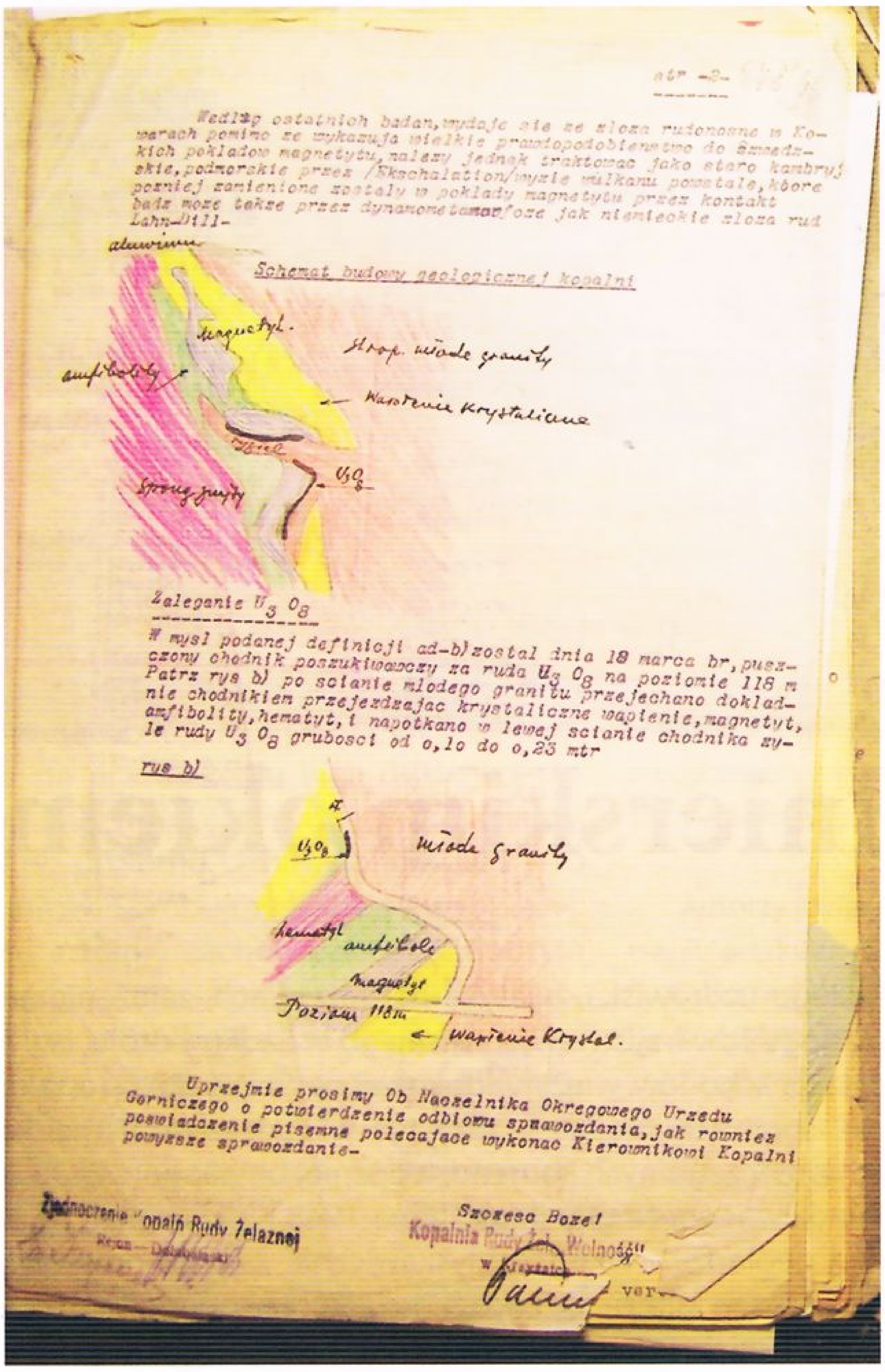

str -2-

Według ostatnich badan, wydaje sie ze zloza rudonosne w Kowarach pomimo ze wykazuja wielkie prawdopodobienstwo do Šmiedzkich pokladow magnetytu, nalezy jednak traktowac jako staro kambryjskie, podmorskie przez /Ekschalation/wyzie wulkanu powstale, ktore pozniej zamienione zostaly w poklady magnetytu przez kontakt badz moze takze przez dynamometamorfoze jak niemieckie zloza rud Lahn-Dill-

Zaleganie U_3 O_8

W mysl podanej definicji ad-b) zostal dnia 18 marca br, puszczony chodnik poszukiwawczy za ruda U_3 O_8 na poziomie 118 m Patrz rys b) po scianie mlodego granitu przejechano dokladnie chodnikiem przejezdzajac krystaliczne wapienie, magnetyt, amfibolity, hematyt, i napotkano w lewej scianie chodnika zyle rudy U_3 O_8 grubosci od o,lo do o,23 mtr

rys b)

Uprzejmie prosimy Ob Naczelnika Okregowego Urzedu Gorniczego o potwierdzenie odbioru sprawozdania, jak rowniez poswiadczenie pisemne polecajace wykonac Kierownikowi Kopalni powyzsze sprawozdanie-

Zjednoczenie Kopalń Rudy Żelaznej

Szczesc Boze!

Kopalnia Rudy Żel. „Wolność"

ver-

Fragment pisma Kopalni Rudy Żelaznej „Wolność" w Kowarach do Okręgowego Urzędu Górniczego w Wałbrzychu z dn. 28 V 1946 r. Mowa jest o rozpoczętych 19 III 1946 r. robotach poszukiwawczych rudy uranu. Zb. Archiwum Państwowego w Kamieńcu Ząbkowickim (patrz: „Odkrywca" nr 10/2008).

sełkowego na Czarną Górę, jedynego tego rodzaju wyciągu od Chorzowa po Karpacz. Ale wtedy nikt nie myślał o turystycznych walorach okolicy.

Rozpoczęcie prac górniczych w pobliżu strefy nadgranicznej wzbudziło zrozumiałe zainteresowanie w komendzie odcinka WOP w Stroniu Śląskim. Napływ nowych pracowników w te strony, mógł przecież mieć wpływ na bezpieczeństwo granicy. Zapewne dlatego 15 marca 1948 r. dowódca 50. odcinka mjr Pasztaleniec, wraz z oficerem polityczno-wychowawczym, wyjechali o godzinie 9:30 do miejscowości Janowa Góra i Sianokosy *„celem zorientowania się prac, jakie wykonują w kopalni przy wydobywaniu uranu. W rozmowie z inżynierem prowadzącym prace oznajmił, iż kilka kawałków uranu odnaleziono z warstwy kamienia leżącej na powierzchni ziemi. Obecnie jest wszczęta praca na[d] przebudowaniem sklepień oraz oczyszczania chodników. W liczbie pracuje 18 osób dzień i noc na trzy zmiany. Przeciętnie robotnik pracujący w głębi otrzymuje 1000 złotych dziennie, na powierzchni 500 złotych dziennie"*. W cytowanym meldunku (pisownia oryginalna), oprócz tragicznej polszczyzny, zwracają uwagę dwie kwestie. Pierwsza, to pełna jawność działań w kopalni – inżynier górnik nie widział powodów, aby ukrywać przed oficerami WOP prawdę o istocie prowadzonych prac górniczych. Druga dotyczy ogromnego tempa robót. Trzyzmianowy system pracy wprowadzano tam, gdzie decydentom szczególnie zależało na czasie…

Do końca 1948 r. jeszcze w kilkunastu meldunkach dziennych znajdziemy informacje dotyczące kopalni, której położenie określano jako: znajdującej się w Sianokosach (czyli Siennej) lub w Janowej Górze. W istocie Janowa Góra i Sienna, to dwie bardzo blisko siebie położone miejscowości w północnej części Masywu Śnieżnika. Jak się później miało okazać, wbrew pokładanym nadziejom, złoże w Janowej Górze odkryte tam w dawnej kopalni żelaza, było zbyt mało wydajne i zostało porzucone. Uranowe Eldorado miało się rozpocząć w pobliskim Kletnie, noszącym wówczas nazwę Kopaliny. Ale o tym na razie nie było ani słowa.

WOP-iści odnotowali za to inne wydarzenia. W godzinach rannych 11 kwietnia 1948 r. przybył do Siennej oddział Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, liczący około 35 osób, skierowany tam do ochrony kopalni. KBW był formacją wojskową przeznaczoną do zadań specjalnych, podlegającą w tamtym czasie Ministrowi Bezpieczeństwa Publicznego. Z ich przybycia można więc było wnioskować, że nowa kopalnia jest obiektem strategicznym, pod szczególnym nadzorem. W meldunku z 22 kwietnia 1948 r. czytamy, że w ostatnich dniach miesiąca do kopalni w Janowej Górze przybyła, licząca około 30 osób, grupa górników wraz z rodzinami. Poza tym *„w m. Bolesławowie zostały wszczęte prace przez ekipę górników nad poszukiwaniem złóż rudy żelaznej"*. To kolejne kłamstwo, bo oczywiście celem był uran. Po raz wtóry można się zastanawiać, jaki sens miało wprowadzanie w błąd WOP-istów, skoro wytwarzane przez funkcjonariuszy KBW dokumenty, miały charakter tajny i przeznaczone były tylko do użytku służbowego… A kopalnia rozwijała się błyskawicznie. Tydzień później odnotowano przybycie kolejnej grupy górników z rodzinami, tym razem w liczbie 12 osób, które zamieszkały w Janowej Górze. Była to niewielka miejscowość położona na dosyć stromym zboczu górskim, w której poza kopalnią i domami mieszkalnymi nie było praktycznie żadnych rozrywek. Zatem obecność zagranicznych fachowców nie stanowiła dla nikogo żadnej tajemnicy. W meldunku z 21 maja 1948 r., (pisownia oryginalna) można przeczytać: *„Nowo uruchomiona kopalnia rudy żelaznej, w której częściowo znajduje się uran, pracuje ekipa techników radzieckich i polskich. Obecnie w/w kopalni pracuje około 200 pracowników. W związku z rozbudowaniem się kopalni zostały zaprojektowane plany rozbudowania linii kolejowej wąsko torowej łączącej stację kolejową z kopalnią"*. Kilkanaście dni później, ta sama informacja o planie budowy wąskotorówki powtórzona została z zaznaczeniem, iż pochodzi ona z prywatnych rozmów z technikami radzieckimi prowadzącymi prace kopalniane.

Zapowiadana linia kolejowa ze Stronia Śląskiego do Siennej nigdy nie powstała. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że szkoda, bo po likwidacji kopalni mogłaby stanowić znakomity środek transportu ułatwiający rozwój ruchu turystycznego w tej okolicy. Stało się inaczej…

Na przełomie maja i czerwca 1948 r. w żołnierskich dokumentach odnotowano dalszy rozwój kopalni i napływ kolejnych pracowników. Znalazło się w nich także nieco eufemistyczne określenie mówiące, że rejon Siennej został obdarzony „*szczególną opieką*". Chodzi rzecz jasna o wzmożo-

Sztolnia nr 19 w kopalni w Podgórzu koło Kowar. Fot.: zb. Roberta Borzęckiego, Muzeum Minerałów w Nowej Rudzie (patrz: „Odkrywca" nr 8/2008).

Resztki bramy kontrolnej w sztolni w Kletnie. Fot.: zb. Roberta Borzęckiego, Muzeum Minerałów w Nowej Rudzie (patrz: „Odkrywca" nr 8/2008).

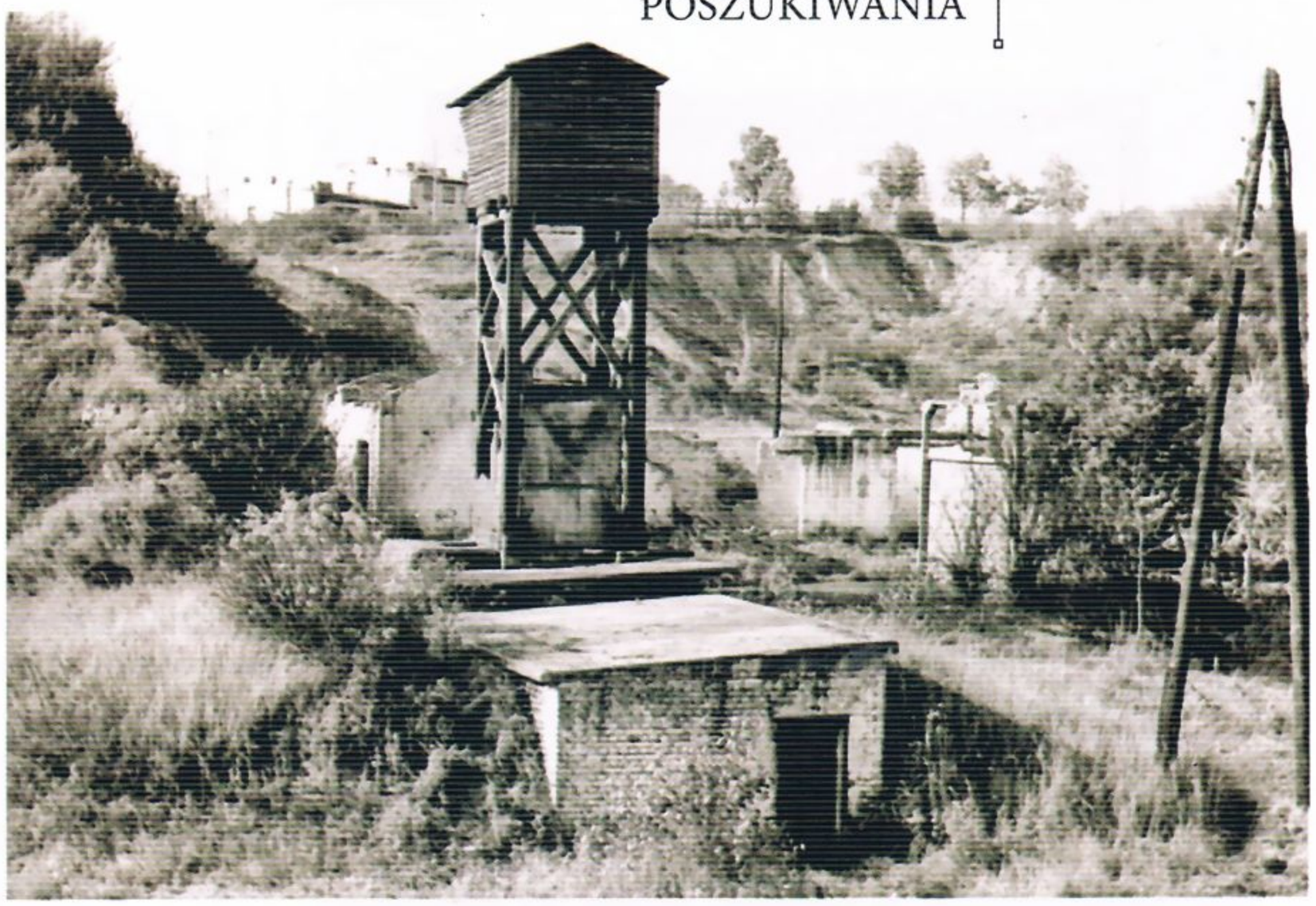

Szyb wentylacyjny kopalni w Rudkach w latach powojennych. Fot.: zb. Roberta Borzęckiego, Muzeum Minerałów w Nowej Rudzie (patrz: „Odkrywca" nr 8/2008).

Wylot jednej z niemieckich sztolni w Kowarach. Fot.: zb. Roberta Borzęckiego, Muzeum Minerałów w Nowej Rudzie (patrz: „Odkrywca" nr 8/2008).

ny nadzór ze strony Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Nie wszyscy górnicy mieszkali w Janowej Górze. Duża część zamieszkiwała inne miejscowości gminy Stronie Śląskie. Dlatego codziennie o 6:00 rano samochód ciężarowy zabierał pracowników z punktów zbiórki, i dowoził ich do kopalni. Po pracy odwożeni byli ciężarówką z powrotem.

Znamienny incydent miał miejsce 10 czerwca 1948 roku. Tego dnia o godzinie 11:00 wyjechał do kopalni w Siennej dowódca 75. Batalionu Ochrony Pogranicza mjr Pasztaleniec, *„celem zebrania wiadomości od władz kierowniczych co do wykonywania robót, ilości zatrudnionych osób i innych rzeczy związanych z wykonywanymi pracami, oraz zamiarami na przyszłość"*. I tu zaskoczenie – dowódca spotkał się z odmową! *„Władze kierownicze odmówiły wszelkich informacji zaznaczając, iż wszystko jest tajne i nie wolno im tego mówić, tylko za zgodą wojewódzkiego wydziału kopalnianego, który może te dane udzielić. Z rozmów indywidualnych z pracownikami, jakie zostały prowadzone, wnioskuje się wydobywanie uranu, o którym dokładnie sami robotnicy nie wiedzą, ponieważ to jest objęte tajemnicą"*. Cóż, pełniący kierownicze funkcje oficer WOP potraktowany został przez kierownictwo kopalni, jako osoba niegodna zaufania. Jednak pomimo zakazów, udało mu się zebrać informacje pozwalające zorientować się w charakterze kopalni. O czym to świadczy? Na pewno o indolencji funkcjonariuszy KBW, którzy nie byli w stanie zapobiec wyciekowi informacji. Bo też nierealne było przekonanie, że uda się utrzymać w tajemnicy prowadzenie robót poszukiwawczych uranu w znacznie zaludnionej okolicy. Dlatego też w meldunku WOP z 19 czerwca 1948 r. można przeczytać o intensywnych pracach poszukiwawczych wszczętych przez radziecko-polskich techników w rejonie wsi Bolesławów i Ludwików. Tą drugą nazwą w pierwszych latach powojennych określana była Lutynia, miejscowość w Górach Złotych położona przy trasie z Lądka-Zdroju do czeskiego Javornika.

Napływający górnicy zajmowali puste budynki opuszczone i wysiedlone przez Niemców. Bolesławów, Stronie Śląskie i Strachocin, były tymi miejscowościami, gdzie dało się zauważyć największy napływ górników. Wrześniowe meldunki sytuacyjne przynoszą sporo szczegółowych informacji na temat miejscowej kopalni uranu. Przy kopalni Janowa Góra otwarta została spółdzielnia spożywców – co odnotowano w meldunku WOP z 3 września 1948 roku. Istniały też związki zawodowe, których zebranie poświęcone sprawom kopalni i spółdzielczości odbyło się 12 września 1948 r. o godzinie 10:00. Natomiast kwestie dotyczące przyjmowania nowych pracowników do kopalni, i ich meldowania w ciągu 24 godzin od momentu przybycia, poruszane były 18 września 1948 r. na konferencji w zarządzie gminy Stronie Śląskie, w której uczestniczył m.in. starosta powiatu bystrzyckiego Józef Krzesak.

Nie uszła uwadze WOP-u zmiana kierownika kopalni Janowa Góra, do jakiej doszło 25 września 1948 r., być może z powodów ideologicznych. Nowy kierownik został delegowany przez szefostwo w Kowarach. Na tym nie skończyły się porządki w zakładzie górniczym. *„Celem należytego zabezpiecze-*

REKLAMA

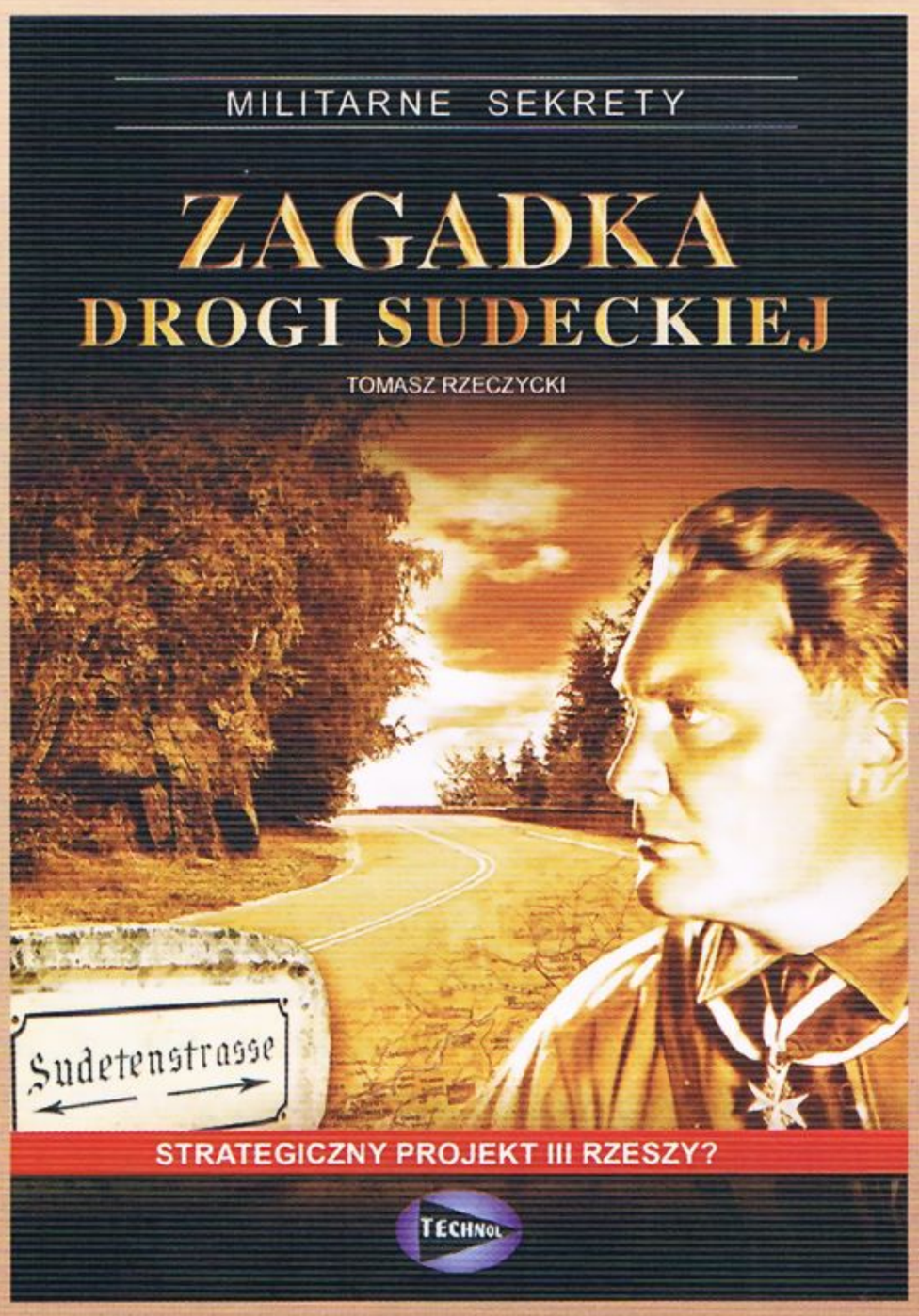

„Zagadka Drogi Sudeckiej. Strategiczny projekt III Rzeszy?"

TOMASZ RZECZYCKI

Spośród szeregu nigdy nieukończonych przedsięwzięć budowlanych III Rzeszy, na pierwszy plan wysuwa się Droga Sudecka. Chociaż Niemcom udało się zbudować tylko kilka niepowiązanych ze sobą odcinków, to możemy przypuszczać, że trasa ta prowadząca zasadniczo wzdłuż granicy czechosłowackiej, miała być nie mniejszą inwestycją od powstających wtedy autostrad. Książka zawiera opis powojennych dziejów tego nigdy nie porzuconego projektu, zapoczątkowanego przez III Rzeszę – projektu budowy drogi wiodącej wzdłuż pasm górskich Sudetów. W czasach Polski Ludowej, ta wizjonerska koncepcja została rozwinięta w sposób minimalistyczny pod względem planowanych nakładów, a jednocześnie ogromny, jeśli brać pod uwagę jej zasięg geograficzny.

Omawiając losy tej fascynującej inwestycji nie można było pominąć powojennych spekulacji na temat przeznaczenia Drogi Sudeckiej, a także towarzyszących jej obiektów militarnych. W podsumowaniu książki Czytelnik znajdzie rzetelną odpowiedź na pytanie: czy Droga Sudecka miała być turystyczną trasą widokową, czy też wykorzystywano ją jako drogę strategiczną? Odpowiedź jest podwójnie zaskakująca…

Wydawnictwo Technol
www. technol.anv.pl
Książka dostępna tylko w wybranych księgarniach!

nia porządku wewnętrznego w kopalni zostało delegowanych z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego kilku prze[d]*stawicieli, którzy z dniem 27.09.1948 r. rozpoczęli swą pracę"*. Fakt, iż władze resortu Bezpieczeństwa Publicznego zaostrzyły kontrolę nad kopalnią uranu wcale nie znaczyło, że zakład został odcięty od świata zewnętrznego. Wręcz przeciwnie, personel kopalni uczestniczył np. w gminnych uroczystościach. Gdy 29 września 1948 r. odbyło się pożegnanie żołnierzy odchodzących do rezerwy, na zorganizowanym z tej okazji obiedzie przemawiali radzieccy technicy z kopalni Janowa Góra. O ile obiad był imprezą zamkniętą, to zupełnie inaczej rzecz się miała z obchodzoną 4 grudnia 1948 r. Barbórką. *„O godzinie 10:00 przemaszerował pochód około 600 górników z transparentami przez miasto, któremu przygrywała orkiestra wojskowa. Cały pochód udał się do hotelu »Bałtyk«, gdzie odbywała się akademia. (…) W czasie akademii wręczono dyplom górnikowi obchodzącemu 25-lecie pracy w górnictwie. Ponadto przodownikom pracy udzielono upominki oraz udzielono pochwały przez Rady Zakładowe kopalni. Po akademii odbyło się wspólne śniadanie, następnie miejscowy zespół amatorski odegrał krótką komedyjkę, walki bokserskie, w godzinach wieczornych odbyła się zabawa górników"*.

Nawet informacje o górniczej tragedii wydostały się poza pilnie strzeżone bramy kopalni. W meldunku sytuacyjnym nr 345 odnotowany został wypadek śmiertelny, jedyny w tamtym roku zapisany w dokumentach strońskiego WOP-u (pisownia oryginalna): *„W dniu 9.12.1948 r. o godzinie 16.20 uległ śmiertelnemu wypadkowi górnik miejscowej kopalni, który został zabity na śmierć przez swą nieostrożność w pracy i nie przestrzeganie regulaminu pracy"*. Między bajki można więc włożyć opowieści o tym, jakoby, rzekomo od samego początku istnienia kopalń uranu, pracujący w nich górnicy ginęli bez śladu. Prawdą jest natomiast, że oprócz górników polski uran wydobywali także żołnierze. Niekiedy robili to w czynie społecznym, jak miało to miejsce 12 grudnia 1948 roku. Tego dnia przez 8 godzin 80 żołnierzy ze strażnic 75. Batalionu Ochrony Pogranicza pracowało, wraz z górnikami kopalni Janowa Góra, dla uczczenia kongresu zjednoczeniowego partii komunistycznej PPR i partii socjalistycznej PPS.

Lektura żołnierskich meldunków z 1948 r. po raz kolejny obala obiegowe, fałszywe przekonanie, jakoby wydobycie uranu w polskich Sudetach było tak niezwykle ściśle tajne, że zupełnie nikt nic nie wiedział o tym, co fedrowali górnicy. Nie do końca tak było. Od samego początku informacje o odnalezieniu uranu przekazywane były poza bramy kopalni, czego dowodem są przytoczone meldunki WOP. Także istnienia kopalni nie dało się ukryć przed mieszkańcami okolic, o czym świadczą m.in. huczne obchody święta górniczego w 1948 r. Jednak naiwnością byłoby sądzić, że wszelkie informacje, jak dane techniczne, czy też dane o liczbie wydobytych ton sudeckiego uranu, były wówczas jawne i dostępne bez żadnych ograniczeń. Tak nie było, istniała cenzura prewencyjna, starano się zachować poufność, o czym również świadczą zapisy w żołnierskich dokumentach.

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 1)

TEKST: JANUSZ SKOWROŃSKI, ANDRZEJ KUŹNIAR

Turów – wielką, odkrywkową kopalnię węgla brunatnego w południowo-zachodniej Polsce znamy wszyscy. Pracuje do dzisiaj. Jednak niewiele wiadomo o innych kopalniach węgla brunatnego, jakie działały po wschodniej stronie Nysy Łużyckiej, na obszarze zwanym Górnymi Łużycami. Co ciekawe, tenże węgiel brunatny nie wydobywano tu metodą odkrywkową, a głębinową. Wiązano z nim nadzieje o szybkim bogactwie i amerykańskim śnie, bez konieczności wyjazdu na drugą półkulę. Szacowano, że węgla miało wystarczyć do lat 30. XX wieku. Historia pokazała, że wystarczyło na dłużej. Wydobywano go wiele lat po zakończeniu II wojny światowej. Podążmy śladami brunatnego skarbu i tego, co po nim zostało.

Brykiet salonowy z węgla brunatnego. Widoczny napis „Lichtenau".

„Żadna z wsi w ostatnich 80-ciu latach nie doświadczyła tak radykalnych przemian, jak Zaręba… – tak pisano o niewielkiej wsi na Łużycach nieopodal Lubania jeszcze w roku 1929. *Opadnięte wzgórza, otwarte doliny, potoki o nowych korytach, dawne, osuszone stawy, obok nowopowstałe i często dosyć głębokie. To na tej ziemi w jednych miejscach domy znikały, by w innych powstawały nowe. Ta ziemia pokryła się ranami i bliznami"*[1]. A wszystkiemu był winien węgiel, w dodatku brunatny, i okoliczne kopalnie głębinowe, które rosły tu, jak grzyby po deszczu. Ruchy górotwórcze w trzeciorzędzie, na terenie między Nysą Łużycką a Kwisą, spowodowały wytworzenie się swoistej niecki. W tym okresie ery rozwijająca się bujnie tropikalna roślinność, przez tysiąclecia obumierała. Jej szczątkami powoli wypełniała się niecka. Nagromadzone przed milionami lat warstwy roślin, odcięte od dopływu powietrza przez glinę i piaski, które się na nich osadziły, zamieniły się w pokłady węgla brunatnego. Około miliona lat temu, ciśnienie lodowca spiętrzyło i nasunęło warstwy węgla na siebie, tworząc zwarty pokład, o grubości 9-30 metrów. Nie zalegał on jednak na jednym poziomie. Lodowiec sfałdował go tak, że na głębokości 35-75 m węglowy pokład utworzył muldy i siodła. W niektórych miejscach brzegi siodeł dochodząc tuż pod powierzchnię ziemi powodowały, że miejscowi dokonywali dosłownie węglowych odkryć. Pierwsze eksploatacje odbywały się metodą odkrywkową. Szybko trzeba było zejść głębiej, pod ziemię.

Był rok 1842, kiedy właściciel Górnej Zaręby, hrabia Vitzthum von Eckstädt, nakazał na łące, pierwotnie zaplanowanej pod strzelnicę, porobić odwierty w poszukiwaniu węgla. W pierwszych odwiertach uczestniczyło 20 robotników. Węgiel brunatny był znany chłopom w Lichtenau (bo tak nazywała się wówczas Zaręba) już wcześniej, choćby przy budowie piwnic czy karczowaniu drzew. Okazyjne odkrywki zdarzały się nawet przy codziennej orce. W połowie XIX w. małe odkrywki należały do okolicznych mieszkańców, nastawione na zaspokajanie potrzeb gospodarstw domowych. Znane są choćby „Karl" (należąca w l. 1861-64 do I.G. Speera), czy „Lenove" (J.G.G. Seibta z l. 1863-65), gdzie wydobywano od kilku do kilkunastu ton węgla rocznie. Z liczącymi się poszukiwaniami węgla należało zejść głębiej, pod ziemię.

W roku 1853 w pobliżu miejscowego kościoła zaczęto pogłębiać, a rok później rozpoczął pracę pierwszy szyb „Cesarz Wilhelm". Zbudował go Juliusz Bierbaum, właściciel dóbr ziemskich w Zarębie, który od syna von Eckstädt odkupił dziedziczone dobra. Szyb osiągnął 25 m głębokości, zjeżdżano nim do pracy i wyciągano na górę węgiel. Skonstruowaną „wyciągarkę" obsługiwały zaprzęgnięte cztery konie, chodzące po okręgu. Szyb pracował do 1865 roku. Zastąpił go inny szyb – „Else", przy którym powstała dosyć prymitywna brykietownia, wytwarzająca suszone na powietrzu brykiety o kształcie cegły. Córka Bierbauma Luiza wyszła za mąż za barona Bruno von Steinäckera. Miał on na Górnych Łużycach, w latach 1838-1847, dobra szlacheckie

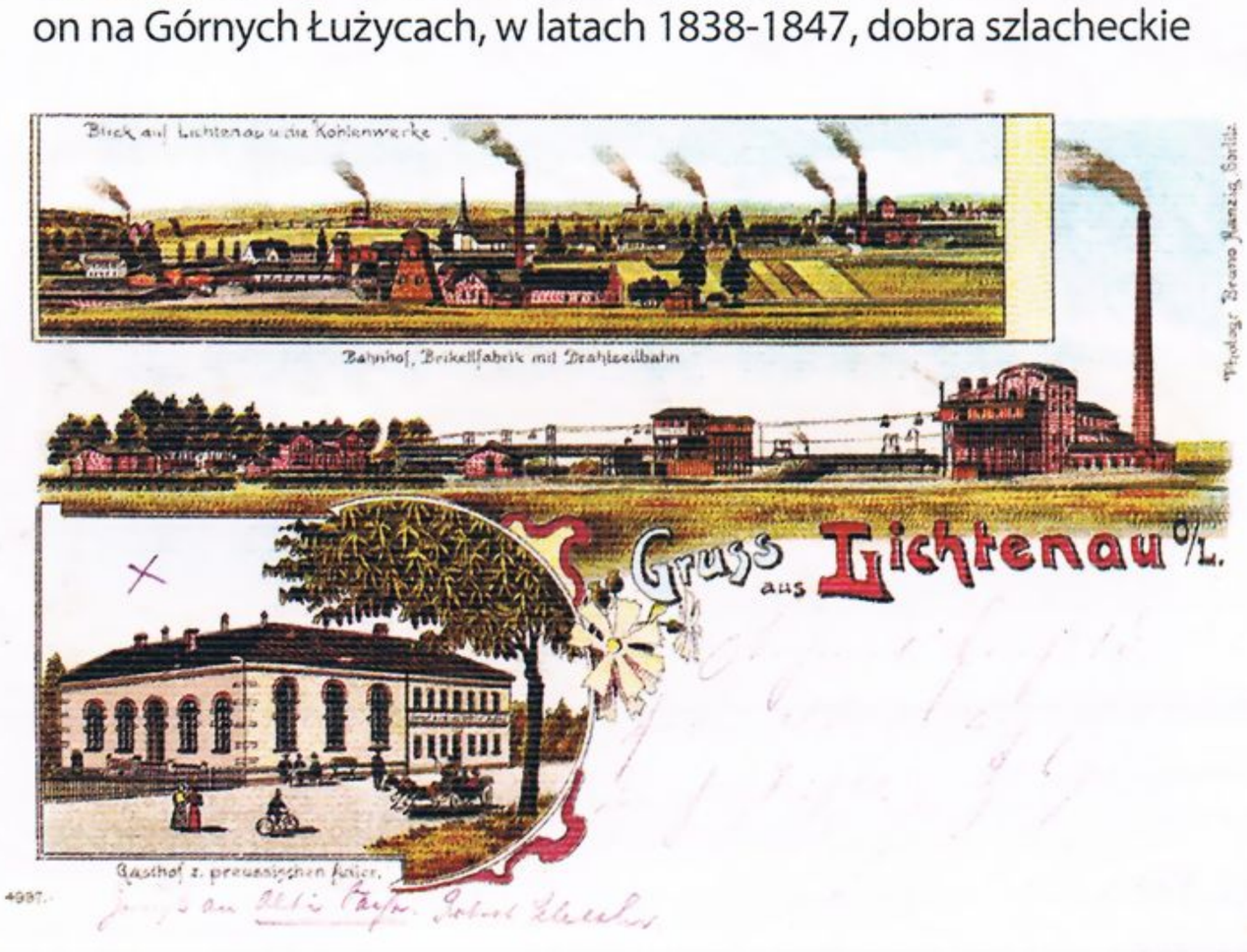

Zaręba na początku XX w. Widok na uprzemysłowioną górniczą wieś. Widoczne szyby górnicze, brykietownia z dworcem kolejowym i napowietrzna kolejka transportowa.

w Kunnersdorfie i Ebersbach. Teraz w Zarębie od roku 1867 oboje małżonkowie z powodzeniem kontynuowali działalność górniczą. Przy pierwszej kopalni pracowało 20 górników.

W 1871 roku Steinäckerom wiedzie się zupełnie nieźle. Nazwę „Cesarz Wilhelm" nadają całej kopalni. Mimo to w okolicy pojawia się konkurencja. Posiadacz ziemskich majątków w nieodległej Olszynie, niejaki Hugo von Döbschütz, będący tam również właścicielem kopalni i najstarszej brykietowni w Niemczech, zakłada w Zarębie spółkę akcyjną „Glückauf" („Szczęść Boże") – dla eksploatacji węgla brunatnego (Aktiengesellschaft für Braunkohlervertung). Dwa lata później spółka ta odkupuje pracującą od 1864 roku na pograniczu Zaręby i Siekierczyna kopalnię „Szczęście" (Vereinsglückgrube), założoną przez przedsiębiorców drezdeńskich. W 1877 roku Döbschütz zamyka tę kopalnię, przenosząc się do nowego szybu „Sattig" w Zarębie Górnej w pobliżu pałacu… Steinäckerów! Spółka „Glückauf" w tejże miejscowości nabywa kilka zasobnych w węgiel pól.

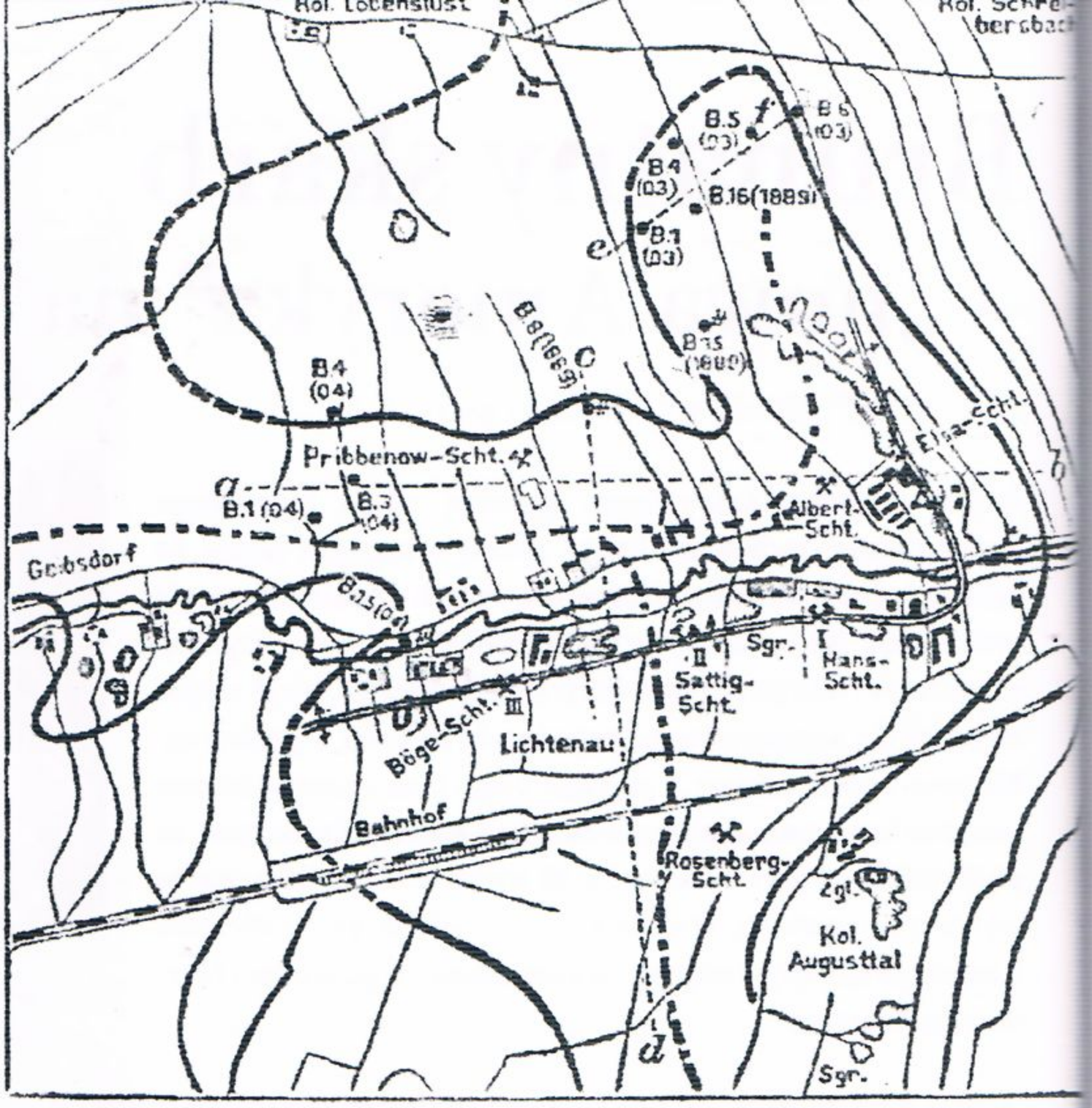

Pocz. XX wieku. Na planie widoczne kolejne szyby górnicze: „Hans", „Sattig", „Böge", „Elsa", „Albert", „Pribbenow", „Rosenberg".

Plan z 1887 r. Lokalizacja pierwszych szybów górniczych. Z lewej – „Albert Schacht", z prawej – „Kaiser Wilhelm Grube". Na dole planu – „Rosenberg Schacht".

Szyb „Robert Gumpert" w roku 1925. Górnicy przy pracy.

Na lata 1875-1899 przypada okres ostrej konkurencji w górnictwie między kopalnią „Kaiser Wilhelm", a spółką „Glückauf". Steinäckerowie uruchamiają dwa kolejne szyby swojej kopalni: „Ferdynand" (1875, w Ponikowie, wówczas Augustental, na skraju Zaręby) oraz szyb „Rosenberg". Konkurencyjny „Glückauf" w 1884 roku wznawia wydobycie na wcześniej zamkniętym, a teraz pogłębionym, szybie „Böge" w Zarębie. Obok tego szybu powstaną główne budynki dyrekcji i kopalnianej administracji. Przetrwają okres II wojny światowej, i aż do 1958 roku służyć będą… Polakom, kiedy ostatecznie zostanie zlikwidowana głębinowa kopalnia węgla brunatnego[2].

W roku 1890 rusza wydobycie węgla brunatnego w szybie „Albert" kopalni „Kaiser Wilhelm" w Zarębie. Warunki górnicze stają się coraz trudniejsze, węgiel zalega na głębokości już ponad 50 metrów. Szyb „Albert" spłonął w 1894 roku. Po odbudowie pracował aż do 1929 roku, kiedy zaprzestano w nim działalności. Steinäcker, który w swej kopalni zatrudniał około 780 osób, uruchomił prasy i stworzył lokalną brykietownię węglową, gdzie zatrudniał 100-150 osób. Konkurencja szybko odpowiada na to wyzwanie. 5 X 1892 roku spółka „Glückauf" rozpoczyna produkcję brykietów węglowych. Te długie, z napisem „Lichtenau", nazywane „salonowymi", będą miały zastosowanie w ogrzewaniu mieszkań i opalaniu kominków. Eksportowano je nawet do Anglii. Brykiety krótkie (ze znaczkiem „L") miały znaczenie przemysłowe, głównie w przemyśle włókienniczym, ceramicznym, hutnictwie szkła i cegielniach. Brykietownia powstaje przy stacji kolejowej Zaręba, połączona z najważniejszymi szybami napowietrzną kolejką linową. Potem w następstwie powstało jeszcze 8 szybów obu przedsiębiorców.

Dalsza wzajemna konkurencja i wyniszczanie się nie miało sensu. Lokalna prasa donosiła nawet o „psuciu" cen na węgiel. Konkurencji nie wytrzymali Steinäckerowie. 6 VI 1899 roku spółka „Glückauf" wykupiła konkurencyjną kopalnię „Kaiser Wilhelm" i w wiek XX wkroczyła jako monopolista na zarębiańsko-siekierczyńskim obszarze zagłębia węgla brunatnego. Dla połączonego przedsiębiorstwa zostaje zachowana nazwa „Szczęść Boże" („Glückauf") Spółka Akcyjna. Doszło do likwidacji zbędnych szybów, te zaś, które pozostały, nie były z sobą połączone. W 1904 roku rozpoczyna pracę mała brykietownia przy szybie „Böge", zaopatrując na lokalny rynek. Docelowo aż 5 brykietowni będzie przerabiać miał węglowy na brykiety. Od początku XX w. następuje, tu i na całych Górnych Łużycach, dynamiczny rozwój głębinowego górnictwa węgla brunatnego.

Widok na ten sam szyb „z góry".

Wobec wyczerpywania się złoża w Zarębie, jego wydobycie przesuwa się na zachód, na teren wsi Geibsdorf (Siekierczyn).

Prawdziwy boom węglowy ogarnia Górne Łużyce po roku 1918. Wielki kapitał wykupywał od chłopów węglonośne pola, rozbudowując istniejące, i budując nowe kopalnie. Wielu wyzbywając się ziemi kosztem utraty ojcowizny, stawało się nagle ludźmi bogatymi. Zjawisko to osiągnęło takie rozmiary, że zaczęto mówić o „nowej Ameryce na Łużycach", przyrównując je do słynnej amerykańskiej gorączki złota. Nie ominęło ono Zaręby, Siekierczyna, a nawet położonego nieco na północ Starego Węglińca (Kohlfurt). Bo aż tam sięgały pokłady brunatnego skarbu. Wzrastający popyt na węgiel i brykiety, intensywna eksploatacja złóż, spowodowała konieczność poszukiwania wciąż nowych pokładów. A na te natrafiono w zachodniej części niecki węglowej. W 1920 roku spółka rozpoczęła budowę nowego szybu – „Robert Gumpert" – w pobliżu drogi Siekierczyn-Wesołówka (wówczas Lebenlust). Pięć lat później, ten wyposażony w najnowocześniejsze, jak na owe czasy, maszyny i urządzenia górnicze szyb, rozpoczął regularne wydobycie. W roku 1926 osiągnął wydajność 100 tys. ton rocznie. Zarębiańsko-siekierczyński węgiel z twardej i zbitej górnej części pokładu zawierał doskonałe parametry, dając 2500-2600 kcal ciepła, zaś po przetworzeniu na brykiety nawet 4700 kcal, pozostawiając śladowe, bo zaledwie 5-procentowe ilości popiołu.

W roku 1925 lubański nauczyciel i regionalista Fritz Bertram, w towarzystwie fotografa Pfeiffera zjechał na dół szybu „Robert Gumpert". Tak zapisał tamtą wizytę: *„Wchodzimy do przebieralni, gdzie otrzymujemy ubrania robocze. Obok stosów drewna i szybu górniczego, który dostarcza górnikom powietrze, dochodzimy do wieży nad szybem. Kilku ubrudzonych górników odwzajemnia nasze »Szczęść Boże!« i pożycza nam lampy acetylenowe. Ze względu na nasze aparaty fotograficzne nie schodzimy po drabinie, jak górnicy, lecz zjeżdżamy w dół wagonikiem. Wkrótce jesteśmy na dnie 50-metrowego murowanego szybu. Za naszym przewodnikiem wchodzimy do sztolni wydobywczej, murowanego chodnika o wysokości ok. 3 metrów, oświetlonego światłem elektrycznym. Widać szyny, rozjazdy, maszynę napędzaną elektrycznie, która za pomocą liny nośnej porusza wagoniki. Kieruje tym nastawiacz. Za przewodnikiem idziemy równo w dół. Światło coraz słabsze, przydają się otrzymane lampki. W pewnym miejscu kończy się obmurowany chodnik, dalej jest wzmocniony tylko belkami. Dwie, ustawione prawie skośnie tzw. stemple, podtrzymują*

Pieniądze zastępcze, tzw. notgeldy emitowane przez kopalnię.

z góry trzecią, poprzeczną. Dodatkowo zabezpiecza ona deskami przed obsunięciem pionowy strop z węglem. Na środku jednej z belek liczba, np. 2,80 m wskazuje na grubość węgla nad chodnikiem (…). Tempo uderzeń kilofów i zgrzyt łopat oznajmiają bliskość przodka. To dwóch skromnie ubranych górników, jest tu gorąco i odzież krępuje ruchy. Jeden z nich, rębacz, silnymi uderzeniami kilofa odrywa duże kawały węgla, drugi, ładowacz, szybko wrzuca urobek do wagoników. Spieszą się, bo pracują na akord. »Czas to pieniądz« – to określenie obowiązuje nie tylko w Ameryce. Tu także"[3].

W roku 1926 w trzech funkcjonujących szybach („Glückauf", „Böge" i „Robert Gumpert") odnotowano wydobycie 250 tys. ton węgla rocznie, rok później przekroczono już 300 tys. ton. Urobek transportowano na stację kolejową i do brykietowni w Zarębie trzema linowymi kolejkami napowietrznymi. Niestety, nie były to warunki bezpieczne dla pracujących pod ziemią ludzi. Bertram przestrzegał: *„Kopalnia ma sztolnie usytuowane na różnych poziomach odpowiednio do układu warstw węgla. Niektóre z nich, tam gdzie węgiel jest twardy, nie mają wcale zabezpieczenia. Schodzimy po drabinie w dół. Chodnik rozszerza się do rozmiarów hali. Część stempli usunięto. Gdzieniegdzie przez węgiel prześwituje glinka, której kawałki co chwilę odrywają się od stropu. Memento, że może tąpnąć. »Martwy mąż« – tak nazywają górnicy takie miejsca (…). Dowiadujemy się, jakie inne niebezpieczeństwo czyha na górników. W opuszczonych i już nie wentylowanych sztolniach gromadzi się trujący gaz węglowy. Górnicy mówią na niego »śmierdzące powietrze«. Ostrzega przed nim lampa acetylenowa. Jeżeli pali się słabym płomieniem lub gaśnie, nieomylny to znak, że* [trujący gaz] *jest i trzeba uciekać. Innym zagrożeniem życia jest nagłe wtargnięcie wody i płynnego piasku. W drodze powrotnej oglądamy przepompownię, której zadaniem jest usuwanie gromadzącej się w kopalni wody. Pracuje strasznie głośno ale to od niej zależy bezpieczeństwo kopalni i górników".*

Pojedyncze wypadki śmiertelne odnotowano w zarębiańskiej kopalni w latach 1911 i 1912. W Nowy Rok 1913 zginęło dwóch górników, podobnie 25 VIII 1915 na kopalni „Böge". Na „Rosenbergu" jednego dnia (8 I 1917) życie straciło trzech górników. Niedługo potem miał miejsce najtragiczniejszy wypadek. Jednego dnia (25 II 1917) śmierć na „Böge" poniosło aż 5 górników. Od zatrucia gazem węglowym wydobywającym się z nieczynnej części kopalni.

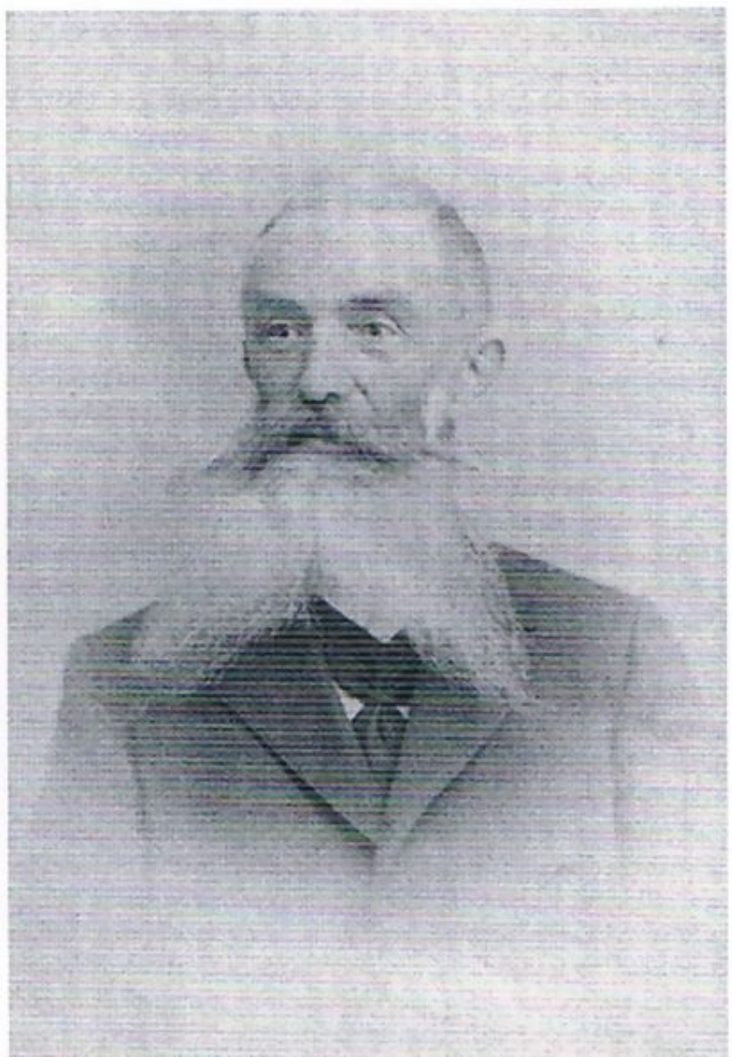

Luiza Bierbaum (1847-1929) (córka Juliusza Bierbauma) i jej mąż baron Bruno Franz Wilhelm Steinaecker (1938-1901) jako pierwsi rozpoczęli w Zarębie wydobywanie węgla na skalę przemysłową

Ogółem do roku 1926 w zarębiańskich kopalniach odnotowano 26 ofiar. Taka była cena ciężkiej pracy.

A jak kształtowało się wynagrodzenie na kopalni? Rosło wraz z trudnościami w wydobyciu węgla. Na samym początku (1842) wynagrodzenie liczono prosto: górnik otrzymywał dziennie 50 fenigów, dziesięć lat później (1852) – od 60 fenigów aż do 1 marki, w roku 1860 rębacz na zmianie otrzymywał 1,80 marki a holowniczy – 1,20 marki. *„Dziś (1929) szychta dzienna wynosi od 5,30 do 8 marek"* – donosiła ówczesna prasa.

W okresie I wojny światowej, tuż po niej, i w czasach wielkiej inflacji 1923 roku pojawiły się pieniądze zastępcze, tzw. notgeldy. Wykonane z żelaza, bądź cyny, monety zdawkowe, a także banknoty o wysokich nominałach emitowały miasta, gminy, fabryki i spółki akcyjne. Honorowane były na ściśle określonym terenie, zastępując pieniądz państwowy, których dotkliwy brak uniemożliwiał funkcjonowanie rynku. Spółka Akcyjna „Glückauf" była jedną z tych przedsiębiorstw, które wyemitowało własny pieniądz. Dokonała tego w pięciu seriach. Monety z motywem górniczym emitowano w latach 1917, 1918 i 1920 (nominały 1, 2, 5, 10, 20 i 50 fenigów). Były to monety cynkowe, żelazne i niklowane. Później z brązu, miedzi i mosiądzu. W roku 1923, kiedy hiperinflacja osiągnęła swoje apogeum, kopalnia wyemitowała dwukrotnie banknoty o bardzo wysokich nominałach. Najpierw, 1 VIII – 1 i 3 mln marek, później, 30 X – 5, 10, 20 i 50… miliardów marek! Górnikom płacono nimi wynagrodzenie. Górnicza spółka emitowała również akcje. Jak widać, kopalnia radziła sobie z inflacją dosyć skutecznie.

Kiedy pod koniec lat 20. sytuacja gospodarcza wyraźnie wzrosła, o kopalni pisano dosyć optymistycznie: *„oblicza się, że złoża węgla powinno wystarczyć na 8-10 lat"*. Czyli do około 1937-1939 roku. Dla tych, którzy mieliby odejść z górnictwa, *„nowe miejsca pracy zaoferował zakład bazaltu"* – uspokajał „Niederschlesische Heimatblätter". Tymczasem koniunktura na węgiel brunatny trwała nadal. Spółka Akcyjna „Glückauf" w latach 1935-37 podjęła się budowy i wydobycia węgla na granicy Siekierczyna i Wesołówki w jeszcze jednej kopalni. Otrzymała ona również nazwę „Glückauf", taką samą, jak całe dobrze prosperujące górnicze przedsięwzięcie. Cdn.

Fotografie ze zb. Autorów, dokumenty Bergarchiv Freiberg, Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Lubaniu. Autorzy dziękują za udzieloną wszechstronną pomoc Panu Joachimowi Neumannowi (Görlitz).

Przypisy:
[1] W. Stiller, „O kopalni węgla Zaręba" [w:] „Niederschlesische Heimatblätter", 29.12.1929
[2] Znana pod nazwą „Lubań - Kaławsk". Więcej o tym, w kolejnej części artykułu.
[3] F. Bertram, „Das Heimatbuch des Kreises Lauban", Marklissa 1928

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

Andrzej Kuźniar
Nauczyciel historii na emeryturze, badacz dziejów Gminy Siekierczyn na Dolnym Śląsku. Aktualnie pracuje w polsko-niemieckiej grupie nad nową monografią regionu, w tym historią głębinowego górnictwa węgla brunatnego na polskich Łużycach (Siekierczyn-Zaręba-Wesołówka i Zielonka).

REKLAMA

„U bram »Riese«"
ROMUALD OWCZAREK

Jak wiadomo miłośnikom wojennej historii Dolnego Śląska, w czasie II wojny światowej w ramach projektu o kryptonimie „Riese" ,III Rzesza prowadziła w Górach Sowich budowę ogromnych podziemnych obiektów. W tym samym okresie do okolicznych miejscowości ukradkiem przenoszono wiele niemieckich zakładów zbrojeniowych. Część badaczy, łącząc powyższe informacje, spekuluje o ewentualnych powiązaniach projektu „Riese" z przemysłem zbrojeniowym III Rzeszy – zwłaszcza tym ściśle tajnym. Jedna z hipotez głosi, że na skutek niepowodzeń na frontach, na biurkach niemieckich planistów powstała koncepcja, aby podziemne obiekty „Riese" wykorzystać, jako centrum montażu tajnych broni, w tym legendarnej Wunderwaffe. Romuald Owczarek postanowił zweryfikować te przypuszczenia oraz dać odpowiedź na kluczowe dla sprawy pytanie: co naprawdę działo się tuż za strefą specjalną – zona „Riese"?

Książka „ U bram „Riese»", to efekt wielu lat mozolnego śledztwa, które było prowadzone przede wszystkim w archiwach, ale również w terenie. Publikacja przedstawia zupełnie nieznaną historię wojennych zmagań niemieckich koncernów zbrojeniowych w rejonie Gór Sowich oraz ich powojenne losy.

Romuald Owczarek wielokrotnie publikował na łamach „Odkrywcy" artykuły, jako Roman Owidzki. Znany jest z dociekliwości i wytrwałości. Czy wałbrzyskiemu badaczowi udało się dotrzeć do zapomnianych dokumentów oraz świadków, którzy odsłonili przed nim kulisy ukrytej w rejonie Gór Sowich tajnej produkcji zbrojeniowej III Rzeszy? Czy natrafił na poszukiwany od lat DOLNOŚLĄSKI ŚLAD WUNDERWAFFE? Tego nie zdradzimy. Czytelnik sięgający po najnowszą książkę z serii „Militarne Sekrety", może być jednak pewny, że znajdzie w niej szereg pasjonujących i nieznanych wcześniej informacji.

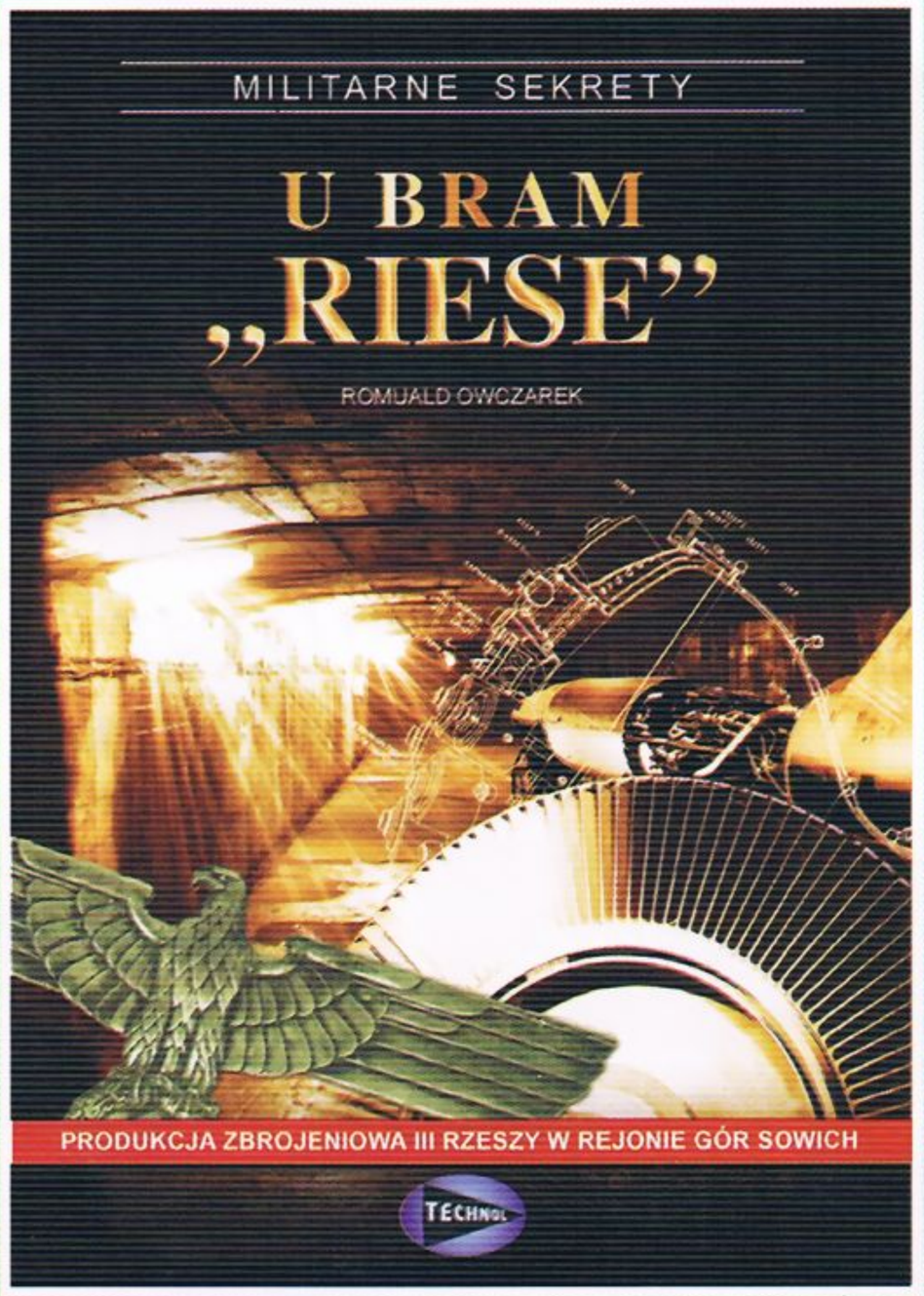

Wydawnictwo Technol
www. technol.anv.pl

Książka dostępna tylko w wybranych księgarniach!

Toszecki szpital – przemilczana historia tragedii

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Nad Toszkiem góruje bryła zamku, która przyciąga wzrok amatorów zwiedzania. Zauroczeni widokiem, kierują się w jego stronę, mijając po drodze pochodzące z końca XIX wieku budynki toszeckiego szpitala psychiatrycznego. Pewnie zwracają na nie uwagę, ale bardziej przyciąga ich zamek. To zrozumiałe. Tak naprawdę jednak, mroczna historia tego miejsca wiąże się właśnie ze szpitalem. To fatum, które, mam wrażenie, zawisło nad Toszkiem i za żadne skarby nie chce odejść.

Wieża toszeckiego zamku…

… i budynek przedbramny. Fot.: Autor.

Toszek (niem. Tost), to bez wątpienia miasto o piastowskim rodowodzie. Zostało założone gdzieś w drugiej połowie XII w. przez księcia Bolesława I Wysokiego (1127-1201). Mamy pewność, że w 1201 r. już istniało, gdyż papież Innocenty III (1161-1216) wymieniał je w swojej bulli wspominając o kościele pod wezwaniem św. Piotra. Ówczesna nazwa miejscowości była pisana jako Tossecz. W 1235 r. Toszek otrzymał prawa miejskie. Od tego momentu możemy datować jego rozwój. Były to jednak trudne czasy, związane z okresem rozbicia dzielnicowego, gdy Śląsk dzielił się na coraz mniejsze części i pomału wypadał z orbity wpływów polskich. W tym okresie posiadłości śląskich Piastów ulegały kolejnym podziałom, a także zmieniała się ich konstelacja polityczna. Toszek, chcąc nie chcąc, brał w tym wszystkim udział. W pierwszej połowie XIII w. wchodził w skład tzw. księstwa górnośląskiego, a od 1281 r. do połowy XIV w. księstwa kozielsko-bytomskiego. W latach 1303-1328 był nawet stolicą księstwa toszeckiego. W latach 1357-1414 ziemia toszecka stanowiła część księstwa cieszyńskiego, następnie znowu weszła w skład księstwa opolskiego. W 1532 r. Toszek, wskutek bezpotomnej śmierci Jana II Dobrego, wraz z księstwem opolsko-raciborskim, jako lenno królów czeskich, przeszedł w ręce Habsburgów i pozostał pod ich panowaniem aż do 1742 roku. Wtedy, tzw. wojna śląska rzuciła go w objęcia pruskich Hohenzollernów. W ramach państwa pruskiego, a później niemieckiego, pozostał aż do 1945 roku.

Pozostałością po tamtych czasach jest zamek w Toszku, znajdujący się w centrum miasta. Jest wizytówką przyciągającą wielu turystów. Średniowieczna budowla powstała na bazie grodu, który prawdopodobnie istniał już w X w., co całą chronologię powstania osady przesuwa nam mocno w czasie. Od XII w. była to siedziba kasztelanii. Murowany zamek, który ocalał do dnia dzisiejszego, został wybudowany przez księcia toszeckiego Przemysława (zm. 1484) w XV wieku. Jego charakterystyczną i bardzo malowniczą cechą jest to, że brama do zamku została poprzedzona budynkiem przedbramnym, co nadaje jego bryle niebywałego kolorytu. W 1429 r. został dość poważnie zniszczony podczas najazdu husyckiego, po którym odbudował go Przemysław. Właśnie podczas tego najazdu zniszczono także toszecki kościół p.w. Św. Piotra, który w 1456 r. został zastąpiony obecnym (parafia p.w. Św. Katarzyny Aleksandryjskiej; obecna barokowa bryła tej świątyni, to efekt gruntownej przebudowy, jaka miała miejsce w latach 1713-1718). W 1484 r. zamek stał się własnością książąt opolskich, a krótko potem Habsburgów (króla czeskiego Ferdynanda Habsburga). Po nich, w latach 1592-1638, właścicielami Toszka i pobliskich Pyskowic była rodzina von Redern (prawdopodobnie Georg II von Redern, właściciel zamku w pobliskich Strzelcach Opolskich). Ci postanowili go rozbudować, tym bardziej, że na zamku w 1570 r. wybuchł kolejny pożar. Dobudowane elementy utrzymano w stylu renesansowym, jak chociażby budynek sąsiadujący z budynkiem bramnym. Powstało również niewielkie podzamcze.

W 1639 r. zamek przeszedł w posiadanie znanej, mającej włoskie korzenie rodziny de Colonna. Przy okazji, należy wspomnieć o Aleksandrze Florianie Józefie Colonna-Walewskim (1810-1868), synu cesarza Napoleona I Bonaparte, odznaczonym za udział w powstaniu li-

Główna bryła toszeckiego zamku. Fot.: Autor.

Toszecki zamek na starej rycinie – już w stanie ruiny. Źródło: www.bytomski.republika.pl

stopadowym orderem Virtuti Militari. Ostatni z rodu, hrabia Filip Colonna, jest powszechnie uważany przez fachowców za twórcę przemysłu hutniczego na Górnym Śląsku. Hrabia Kasper de Colonna[1] dokonał kolejnej przebudowy toszeckiego zamku, którą pokierował włoski architekt Giovanni Seregni. Ród de Colonna był właścicielem Łabęd (obecnie dzielnica Gliwic) do 1671 roku. Kasper de Colonna od zachodu dostawił budynek mieszkalny, a od południa zamkowe stajnie. Brama zamku posiada kamienny portal z kartuszem herbowym Colonnów i napisem *„Caspar comes Colonna 1666"*. Całość przemieniła się w wygodną rezydencję magnacką, z którą nie mogła się równać żadna z siedzib na Górnym Śląsku. Przez wiele następnych lat zamek funkcjonował w takiej architektonicznej formie, a w rękach Colonnów pozostał do roku 1707.

W XVIII w. zamek kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Najpierw, od 1707 r., był nim baron Johann Dietrich von Peterswald (1658-1734), a następnie, od 1718, Franciszek Karol Kotuliński (starosta Dolnego i Górnego Śląska, budowniczy pałacu w Czechowicach-Dziedzicach). W latach 1759-1791 zamek był własnością rodu Posadowskich, a w 1791 r. – baron Adolf von Eichendorff, ojciec znanego niemieckiego poety doby romantyzmu Josepha Karla Benedikta Freiherr von Eichendorffa (1788-1857). W 1801 r. rodzina Eichendorffów popadła w tarapaty finansowe, z których już się nie wyciągnęła. W 1822 r., gdy zmarła matka poety, majątek został zlicytowany i bezpowrotnie utracony. Dotyczyło to również toszeckiego zamku. Podobno już w 1797 r. Adolf von Eichendorff odsprzedał zamek w Toszku rodzinie von Gaschin. Jednakże to nie koniec problemów. 29 III 1811 r. w mieście wybuchł pożar, który strawił nie tylko domostwa, ale także cały zamek. Z owym pożarem związana jest miejscowa legenda o złotej kaczce, którą, uciekając przed pożarem, zabrała ze sobą hrabina Gizela von Gaschin, żona Leopolda Gaschina (podobno cenny skarb nadal spoczywa w podziemnych korytarzach). Właściciele zamku przenieśli się do innego budynku, pozostawiając wypalone ruiny. Toszecki zamek przetrwał w takim stanie ponad 100 następnych lat. Niewielkie próby odbudowy podjęto w latach: 1894-1897, 1910, 1930-1934, 1935 i 1939. W 1927 r. Bodo Heinrich Justus von Ebhardt (1865-1945), założyciel i długoletni prezes Towarzystwa na Rzecz Zachowania Niemieckich Zamków rozpoczął prace mające na celu jego odbudowę. Mam wrażenie, że właśnie po tym pożarze nad całym miastem zapadło jakieś fatum. Zresztą nad Eichendorffami również, bo w 1945 r. spłonął pałac w Łubowicach, w którym poeta się urodził.

W 1840 r. ruinę toszeckiego zamku kupił radca królewski Abraham Guradze. Spokrewniona z rodem Posadowskich rodzina Guradze, była w jego posiadaniu aż do II wojny światowej[2]. Abraham Guradze zapłacił za dobra toszeckie 600 tysięcy talarów. Wkrótce założył w Toszku gorzelnię parową. Był także właścicielem kamieniołomu na Górze św. Anny. Rodzina Guradze mieszkała w dwóch pałacach w Toszku. Po jednym z nich nie ma już dzisiaj śladu (w 1945 r. został spalony przez Sowietów), a drugi, jest zamieszkały, lecz właściwie popada w ruinę.

W latach 1956-1963, wg projektu Jana Gontarczyka, dokonano odbudowy części zamku, którą możemy dzisiaj podziwiać. Wydaje mi się, że mieszkańcy Toszka woleliby, aby ich miejscowość kojarzono tylko i wyłącznie z zamkiem. Władze gminy starają się wykorzystać jego walory, organizując różnego typu imprezy. I dobrze. Dzięki temu zamek żyje. Chyba najbardziej znaną imprezą są „Brewerie toszecko-pyskowickie, czyli historia buntu mieszczan przeciwko panu von Redern", odtwarzająca autentyczne wydarzenia rozgrywające się w XVI w. Szukając jednak informacji na temat drugowojennej historii Toszka, ludzie w przedziwny sposób milkną. Tak po prostu. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że ci, co wiedzą o co chodzi, wolą o tym nie mówić. Ci, co nie są świadomi, nadal żyją w swojej błogiej nieświadomości. Już dawno temu zapadła kurtyna milczenia. Mam wrażenie, że w pewnym sensie trwa do dzisiaj.

W 1884 r. w Toszku wybudowano potężny i zachowany do dzisiaj kompleks budynków szpitalnych. Nie wiem kto podjął taką decyzję, gdyż kompleks jest zbyt duży, jak na ówczesny Toszek. Po I wojnie światowej ulokowano tu szpi-

Archiwalne zdjęcie toszeckiego zamku w stanie ruiny. Źródło: www.fotopolska.eu

Pierwszy z toszeckich pałaców rodu Guradze na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.fotopolska.eu

tal dla psychicznie chorych. Z początkiem II wojny szpital psychiatryczny został opróżniony przez Niemców, być może jednak stało się to wcześniej, w ramach akcji eutanazji psychicznie chorych[3]. Władze przejęły gmach toszeckiego szpitala i ulokowały w nim obóz jeniecki. Tak brzmi oficjalna wersja wydarzeń. Faktycznie, początkowo istniał tam Oflag VIIID, który zlikwidowano już w październiku 1940 r., a w jego miejsce utworzono „Internierungslager (Ilag) VIII Tost". Przetrzymywano w nim obywateli państw walczących z III Rzeszą (zazwyczaj cywilów), którzy w chwili wybuchu wojny zostali zatrzymani na terytorium Niemiec i odizolowani od reszty społeczeństwa. Zresztą nie tylko na terenie Niemiec, również na terenach krajów podbitych przez III Rzeszę. Podobne metody postępowania stosowano w każdym z państw biorących udział w wojnie, w tym także w Polsce. Właściwie podczas wojny był to standard[4].

Prawdopodobnie początkowo byli to Brytyjczycy i Francuzi oraz obywatele państw związanych z Wielką Brytanią, niewykluczone, iż później znaleźli się tutaj Amerykanie. Umieszczono ich w opustoszałym, wielkim budynku toszeckiego szpitala psychiatrycznego, grupując w jednym miejscu i trzymając pod ścisłą kontrolą. Logiczne jest, że takie miejsce przyciągało pracowników Abwehry czy też SD, którzy wśród internowanych poszukiwali osób chętnych do współpracy agenturalnej. Zapewne nie raz bywali w Toszku. To jednak przypuszczenia, bowiem nie ma śladów w dokumentach, które potwierdzałyby ewentualne wizyty w celach werbunkowych. Przynajmniej w tych ogólnie znanych. Przypuszczalnie, zgodnie z niemieckimi standardami, władzę w tym obozie sprawował oficer Wehrmachtu w stopniu pułkownika, a jego zastępcą był podpułkownik. Znajdował się tam również oficer odpowiedzialny za sprawy jeńców. Jednym z najbliższych współpracowników każdego komendanta obozu, był oficer Abwehry w stopniu kapitana lub porucznika, którego zadaniem było m.in. badanie nastrojów wśród jeńców. Niestety, nie znam nazwisk osób, które sprawowały te funkcje w toszeckim obozie. Wygląda na to, że podczas wojny w toszeckim szpitalu leczono również jeńców zatrudnionych w podobozach i oddziałach roboczych stalagu cieszyńskiego (Stalag VIIIB), których wokół było całe mnóstwo. Pracownicy tego szpitala rekrutowali się spośród jeńców, bądź osób osadzonych w szpitalnym obozie internowania. Straż, prawdopodobnie sprawowali funkcjonariusze batalionu wartowniczego nr 398, którego sztab znajdował się pobliskich Gliwicach. W niedalekim Kluczborku (niem. Kreuzburg) znajdowała się również filia obozu jenieckiego w Toszku – Ilag VIII/Z Kreuzburg, w której przetrzymywano oficerów brytyjskich i internowanych obywateli Wielkiej Brytanii i USA (podobno na początku 1944 r. dotarły tu osoby, które wcześniej przebywały w obozie w Toszku; później kluczborski obóz nosił nazwę Ilag/Oflag 6/ZI). Osoby przebywające w Toszku, to w większości cywile, niewykluczone jednak, że część więźniów stanowili również alianccy oficerowie. Przebywało w nim około 700 obcokrajowców i około 250 internowanych Żydów. Niektóre źródła podają, że było to nawet 1300 osób. Wydaje się, że Niemcy trzymali tu w izolacji osoby, które w jakiś sposób mogły być im przydatne. Pod koniec wojny główną siedzibę Ilag ulokowano w Giromagny we Francji.

Wiadomo, że w toszeckim ośrodku internowanych prowadzono rekrutację do Brytyjskiego Wolnego Korpusu (ang. British Free Corps – BFC), który był przedziwnym tworem, jaki usiłowali stworzyć Niemcy. Gromadzili pod swoimi skrzydłami Brytyjczyków chętnych do współpracy z III Rzeszą, mając zamiar utworzyć Legion Brytyjski walczący po ich stronie. Gdyby ów zamiar udał się w zaplanowanym wymiarze, naziści uzyskaliby duży sukces propagandowy. Co prawda BFC powstało, ale tylko w minimalnym stopniu. W 1943 r. werbunkiem do BFC zajęło się głównie Waffen-SS (swoją akcję rekrutacyjną prowadziło także Luftwaffe,

Pałac rodu Guradze w dniu dzisiejszym. Fot.: Autor.

w ramach tzw. eksperymentu „Luckenwalde"), a konkretnie sam Obergruppenführer-SS Gottlob Berger. Zwerbowani przez Niemców brytyjscy kolaboranci mieszkali w Berlinie, w pobliżu studia radiowego, nieopodal znanego z 1936 r. Stadionu Olimpijskiego. Byli tam pilnowani przez członków SS-Funkschutz (jednostka ochrony radia). Zdobywając zaufanie Niemców stawali się Vertrauensmänner (V-Manni – określenie stosowane wobec własnych agentów przez SD). Dawano im więcej swobody, pozwalano na wynajem mieszkań, na podróże bez nadzoru i utrzymywanie stosunków z niemieckimi kobietami. Mieli poczuć się wolni. Opiekę nad nimi sprawował William Brooke Joyce[5], zagorzały zwolennik zięcia brytyjskiego lorda Curzona i twórcy Brytyjskiej Unii Faszystów (BUF) Oswalda Ernalda Mosleya, a także Brytyjczyk Wilhelm „Bob" Rössler, który służył jako tłumacz Wehrmachtu. BFC formalnie powstał 1 I 1944 r., gdy stał się częścią Waffen-SS. Miał być jednostką bojową, użytą wyłącznie przeciwko bolszewikom (pod żadnym pozorem przeciwko Brytyjczykom), służącą zbieraniu informacji wywiadowczych. Postawiono im warunek, muszą osiągnąć liczebność plutonu piechoty (ok. 30 ludzi). Członkowie Korpusu nie musieli składać przysięgi Hitlerowi i nie tatuowano im grupy krwi, jak to przyjęto w SS. Ich ubiorem miał być szary, niemiecki mundur polowy. Nieliczni członkowie BFC na początku 1945 r. walczyli nad Odrą, a niektórzy bronili upadającego Berlina. Większość z nich po wojnie spotkała zasłużona kara za kolaborację.

Aby potencjalnych rekrutów do BFC oddzielić od reszty jeńców, w lecie 1943 r. utworzono dla nich wakacyjne obozy. Założono je w okręgu berlińskim, jako obozy podległe Stalagowi IIID. Były to: specjalny obóz dla oficerów (Specjalny Oddział 999) mieszczący się w willi Kaunstrasse w obwodzie Zehlendorf, i obóz dla żołnierzy (Specjalny Oddział 517) na przedmieściach Genshagen. Personel obydwu obozów składał się z Niemców dobrze znających język angielski. Obozy formalnie znajdowały się pod nadzorem Komitetu Anglii (instytucja działająca przy niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, kierowana przez dr. Fritza Hesse) i jego specjalnego reprezentanta, oficera wywiadu Arnolda Hillena-Ziegfelda. Tak naprawdę w obydwu obozach dowodził oficer Abwehry, mjr Heimpel. Jego zaufanym podoficerem w Genshagen był sierż. John Henry Owen Brown. Pierwsza grupa brytyjskich jeńców, w liczbie około 200, przybyła do Genshagen w sierpniu 1943 roku.

Drugi z pałaców rodu Guradze zniszczony w 1945 roku. Źródło: www.fotopolska.eu

Szpital w Toszku na archiwalnej pocztówce. Źródło: www.fotopolska.eu

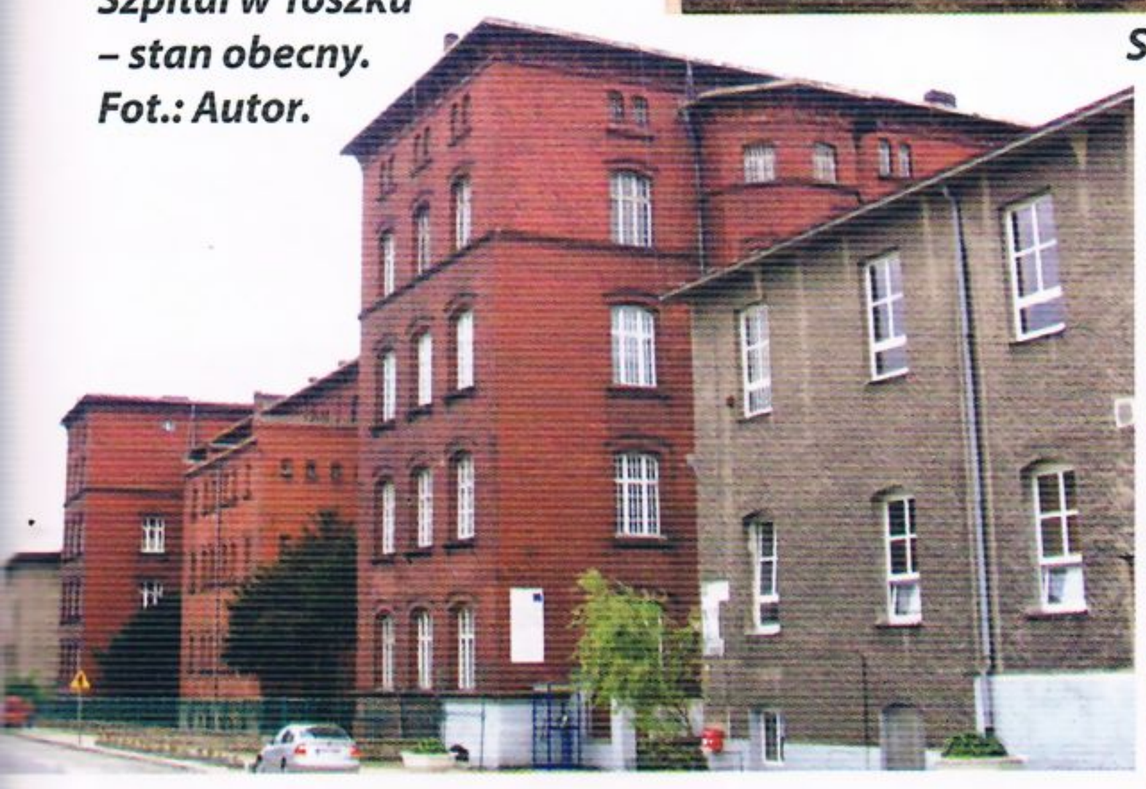

Szpital w Toszku – stan obecny. Fot.: Autor.

Tablica pamiątkowa na szpitalu. Fot.: Autor.

Akcję werbunkową do BFC bez wątpienia prowadzono również w Toszku. Całkiem prawdopodobne, że przyjechał tu sam John Amery (1912-1945), syn Leopolda Amery'ego, konserwatywnego ministra w rządzie Indii za Winstona Churchilla, znany brytyjski faszysta, gdyż to on właśnie odwiedzał takie miejsca, werbując chętnych do współpracy z Niemcami. Zresztą nie bez sukcesów. Wiadomo, że osobą mocno związaną ze środowiskiem brytyjskich renegatów był Irlandczyk Edward Bowlby. Przed wybuchem wojny był członkiem BUF. Do 1938 r. mieszkał w Wielkiej Brytanii, i pracował jako kierownik kina w Stockport. Następnie przeprowadził się do Budapesztu, gdzie prowadził własną szkołę językową. Gdy próbował uciec z Węgier do Sofii, został aresztowany przez Niemców. W ten

sposób znalazł się w obozie dla internowanych w Toszku, skąd, po 18-stu miesiącach pobytu, w 1941 r. zgłosił się na ochotnika do pracy w niemieckim serwisie zagranicznym, u boku samego „Lorda Haw-Haw". Kolejną osobą był urodzony w 1885 r. Noel Mackintosh, były sekretarz uniwersytecki na Uniwersytecie w Hongkongu, który potem pracował w Anglii jako nauczyciel. Noel, podejrzany o homoseksualizm, w VIII 1939 r. wyjechał do Francji chcąc uniknąć rozprawy sądowej. Tam został ujęty przez Niemców i skierowany do obozu w Toszku. Jego współwięźniem był znany brytyjski pisarz i satyryk Pelham Grenville Wodehouse (1881-1975), który do 1940 r. mieszkał we Francji w miejscowości Le Torquet. Tam napisał swoje słynne humoreski o lordzie Bertramie Woosterze, i jego kamerdynerze Jeevesie, które uchodzą za arcydzieło angielskiego humoru. Co ciekawe, Wodehouse posiadał obywatelstwo amerykańskie. Po upadku Francji został przez Niemców internowany i we wrześniu 1940 r. znalazł się w obozie w Toszku. Przebywając tam, pomimo swojej pisarskiej sławy, nie cieszył się żadnymi, specjalnymi względami. Pozwolono mu mieć maszynę do pisania, z której bardzo często korzystał. Prawdopodobnie był najsłynniejszą osobą internowaną w obozie w Toszku. Jednakże zarówno Noel Mackintosh, jak i Pelham Grenville Wodehouse musieli źle znosić pobyt w toszeckim obozie, gdyż 21 VI 1941 r. zgłosili się do niemieckiego komendanta obozu z propozycją współpracy. On też skierował ich do Berlina, gdzie znaleźli się w gmachu MSZ. Tam zostali przesłuchani przez ambasadora Paula Schmidta i prof. Reinharda Haferkorna (szef niemieckich audycji propagandowych dla Brytyjczyków). Mackintoshem, jak i Wodehousem osobiście zainteresował się Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy. Podobno to właśnie on kazał obydwu ściągnąć do Berlina. Mackintosh i Wodehouse zgodzili się współpracować z Niemcami, którzy chcieli, aby Wodehouse zredagował gazetę dla brytyjskich jeńców wojennych. Pod ich kierunkiem przygotował on w Berlinie 5 lub 6 audycji radiowych skierowanych do Brytyjczyków i Amerykanów, naiwnie sądząc, że Niemcy umożliwiają mu w ten sposób kontakt z jego fanami. Audycje skierowane do słuchaczy amerykańskich lekko i żartobliwie ośmieszały Niemców, ale miały wyraźny wydźwięk propagandowy. Później Amerykanie doradzili mu, aby z powodu swojej współpracy z Niemcami już nigdy nie wracał do kraju… *„Człowiek z Associated Press, który przyszedł później zrobić ze mną wywiad, napisał w swoim artykule, że szpital wariatów w Tost nie był zamkiem w Blandings. No cóż, oczywiście nie był, ale i tak był przestronny. Jeśli miałeś kota i chciałeś go kołysać, mogłeś łatwo to zrobić w nowym otoczeniu".* Pelham Grenville Wodehouse.

Z Toszkiem związana jest postać jeszcze jednego Brytyjczyka, ur. 29 V 1904 r. w Londynie Kennetha Vincenta Landera. Był z zawodu nauczycielem. Niemcy zwerbowali go do współpracy w tzw. „Biurze Concordia", którego szefem był dr Erich Hetzler. Była to tajna stacja radiowa, określana przez Niemców jako „Geheim Sender" („G-Sender"), realizująca tzw. „czarną propagandę", w której pracowali m.in. Walter Hohman, dr Joachim Schwalbe

Stacja kolejowa w Toszku, na którą przywożono więźniów obozu NKWD. Źródło: www.fotopolska.eu

i Heinz Thorlichen. Pierwsze audycje realizowane przez „Biuro Concordia" trafiły na antenę radiową w dniu 25 II 1940 r., a stacja działała do 9 IV 1945 roku. Oprócz Landera pracował tam również inny Brytyjczyk, Leonard Banning (ps. „John Brown"), nauczyciel, a także członek BUF. Oficjalnie stację nazywano „Nowa Brytyjska Stacja Nadawcza" (NBBS), ale Niemcy używali także określenia „Biuro N". Wiele scenariuszy audycji dla tej rozgłośni pisał William Brooke Joyce. Stacja udawała, że jest rzecznikiem podziemnego ruchu nazistowskiego w Wielkiej Brytanii. Tak naprawdę tematy codziennych audycji osobiście omawiał Joseph Goebbels, a wykorzystane w nich informacje, pochodziły z brytyjskiej prasy dostępnej w Niemczech przez cały okres wojny za pośrednictwem neutralnej Szwecji. Nadajniki używane przez stacje, kierowane przez „Biuro Concordia", były słabo słyszalne w Wielkiej Brytanii, co w dużej mierze ograniczyło ich zasięg, i tym samym sukces kolaboranckiej stacji radiowej. Podczas pracy Kenneth Vincent Lander pokłócił się z Joyce'm i na własną prośbę znalazł się w obozie w Toszku.

Można podejrzewać, że najpóźniej w styczniu1945 r. większość osób osadzonych w toszeckim Ilag VIII Tost została ewakuowana, choć podawana jest informacja, że Rosjanie zdobywając Toszek zastali w nim jeńców brytyjskich i internowanych Żydów. Zadanie zdobycia tego rejonu dowództwo sowieckie wyznaczyło 118. Korpusowi Piechoty (dow. gen. mjr Aleksandr Fiedorowicz Naumow) we współdziałaniu z 31. Samodzielnym Korpusem Pancernym (dow. gen. mjr Grigorij Gawriłowicz Kuzniecow) i 1. Samodzielnym Korpusem Kawalerii Gwardii (dow. gen. lejt. Wiktor Krilowicz Baranow). Marszałek Iwan Koniew nakazał im uderzenie z rejonu Tarnowskich Gór (niem. Tarnowitz) na Pyskowice (niem. Preiskretscham), Gliwice

Lord Haw-Haw czyli William Brooke Joyce. Źródło: www.historylearningsite.com

Wilhelm „Bob" Rössler.

(niem. Gleiwitz) i Koźle (niem. Cosel). Zgodnie z tym rozkazem z rejonu Strzelec Opolskich (niem. Gross Strehlitz) przeprowadzono atak siłami 54. Brygady Pancernej Gwardii (dow. płk Iwan Czugunkow) i 120. Dywizji Piechoty (dow. gen. mjr I. Goworow) oraz 1. Samodzielnego Korpusu Kawalerii Gwardii. Sowieci posuwali się w kierunku na Toszek i Tarnowskie Góry, a także wzdłuż ówczesnej drogi nr 5 prowadzącej z Wrocławia (niem. Breslau), poprzez Opole (niem. Oppeln) do Bytomia (niem. Beuthen O.S.). Opór stawiały im niemieckie jednostki wchodzące w skład XXXXVIII Korpusu Pancernego (dow. gen. Maximilian Reichsfreiherr von Edelsheim), a mianowicie resztki 712. DP (dow. gen. mjr Joachim von Siegroth), 68. DP (dow. gen. leut. Paul Scheuerpflug), 164. batalionu zapasowego, 432. batalionu zapasowego, jednostek Volkssturmu i 408. DP (dow. gen. leut. Heinrich Wosch). Sowieckie wojska siłami 3. Armii Pancernej Gwardii (dow. gen. płk Paweł S. Rybałko) i 21. Armii Ogólnowojskowej (dow. gen. płk Dmitrij Gusiew) w dniach od 21 do 23 I 1945 r. zajęły Tworóg (niem. Tworog), Kolonowskie (niem. Grafenweiler), Żędowice (niem. Sandowitz), Pyskowice (niem. Preiskretscham), Toszek (niem. Tost) i Leśnicę (niem. Bergstadt). W tym momencie nad Toszkiem zawisły czarne chmury.

W toszeckim szpitalu ulokował się obóz nadzorowany przez NKWD, uchodzący za jeden z najcięższych na Śląsku. Był elementem wprowadzonym przez sowieckie Komendantury Wojenne, rezydujące we wszystkich większych śląskich miastach. Obozy utworzone przez „pełnomocników" podlegały bezpośrednio NKWD. Ich głównym komendantem był płk Kowalczukow[6]. Obozy takie, jak w Toszku, powstały również w Lędzinach, Kluczborku, Raciborzu, Bielsku, Blachowni, Kędzierzynie i w Łabędach. Funkcjonowały również byłe niemieckie obozy koncentracyjne w Oświęcimiu i w Brzezince. Ogółem, obozy powstałe na Śląsku można podzielić na: bezpośrednio podległe dowództwu wojskowemu Armii Czerwonej (niektóre z nich podlegały NKWD), w których przebywali jeńcy niemieccy pochodzący ze Śląska, więźniowie i ludność cywilna (autochtoni); obozy przejściowe (zwane również obozami dla wysiedlonych Niemców, obozami izolacyjnymi lub odosobnienia), w których przebywała ludność niemiecka, podlegająca wysiedleniu na podstawie akcji weryfikacyjnej oraz obozy pracy. Jednakże dość często zdarzało się, że jeden obóz pełnił wszystkie te funkcje jednocześnie. Bardzo często w tego rodzaju obozach znajdowało się dużo osób będących naprawdę Polakami. Zatrzymywanych wykorzystywano m.in. do prac związanych z demontażem urządzeń fabrycznych, które następnie wywożone były do ZSRR. Przy ich tworzeniu Sowieci opierali się na uchwale nr 7161 Państwowego Komitetu Obrony (GKO) ZSRR z dnia 16 XII 1944 r., mówiącej o internowaniu ludności niemieckiej z terytorium Polski, Niemiec, Węgier, Rumunii i Czechosłowacji w celu wykorzystania jej do pracy w sowieckim przemyśle. Uchwała ta była podstawą prawną sowieckich deportacji. Według sprawozdania mjr. Makowa, naczelnika 2. Oddziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w 1945 r. z wymienionych krajów wywieziono do ZSRR ponad 284 tys. ludzi uznanych za Niemców. 11 I 1945 r. szef NKWD Ławrentij Beria wydał rozkaz nr 0016 o *„oczyszczenia tyłów Armii Czerwonej z wrogich elementów"*, na podstawie którego dokonywano masowych aresztowań ludzi uznanych za „terrorystów", członków innych organizacji czy też „grup bandycko-powstańczych". W praktyce chodziło o członków polskiego podziemia niepodległościowego lub niemieckich organizacji nazistowskich (dotyczyło to również kobiet). Kolejny rozkaz NKWD nr 0061 z dnia 6 II 1945 r. rozszerzał te działania na ziemie należące przed wojną do Niemców (chodzi o tereny przekazywane Polakom – tzw. Ziemie Odzyskane). Dla cywilnej ludności niemieckiej (przed ich weryfikacją) na terenie Śląska Opolskiego powstała cała sieć obozów i punktów przesiedleńczych, które podlegały starostom powiatowym, zarządom miejskim oraz MO i UBP (chociażby Ujazd Śląski, Zakrzew koło Opola, Kluczbork, Racibórz, Dobrzeń Wielki, Łany Wielkie i Suche Łany). Sposób postępowania z tymi ludźmi wynikał z dekretu PKWN, podpisanego 31 VIII 1944 r. *„O wymierzaniu kary faszystowsko-hitlerowskim zbrodniarzom"*. W listopadzie 1944 r. PKWN zarządził podjęcie *„środków bezpieczeństwa wobec zdrajców narodu polskiego"*, wskutek czego ludzi, którzy podczas okupacji podpisali Volkslistę można było internować i przymusowo zatrudniać. Komisje Wojewódzkie Rady Narodowej w Katowicach decydowały, czy osadzone w obozach osoby były zwalniane do domów, czy też przekazywane do obozów pracy przymusowej.

Pelham Grenville Wodehouse. Źródło: www.runningwild-films.com

John Amery wraz z towarzyszką zaraz po schwytaniu w 1945 roku.

Drogowskaz. Fot.: Autor.

Pomnik ofiar. Fot.: Autor.

Tablica informująca o ofiarach NKWD. Fot.: Autor.

Toszecki obóz podlegał NKWD i polskie władze nie miały do niego dostępu. Istniał od maja (bądź nawet od stycznia) 1945 r. do dnia 25 XI 1945 roku. Podlegał sowieckiej komendanturze obozów z siedzibą w Berlinie. Jego komendantem był płk Pylajew (podawane jest również nazwisko płk. Ponajewa). Prawdopodobnie przebywało w nim około 4500-5000 osób cywilnych przewidzianych do wysiedlenia. Więźniowie musieli pracować w okolicznych gospodarstwach zasiedlonych przez ludność polską (głównie repatriantów). Pamiętajmy, że nie byli to niemieccy jeńcy wojenni, ani osoby związane z nazistowskim systemem władzy. To cywile, autochtoni, których uznano za Niemców i z góry założono, że nie zasługują na żadną litość czy pobłażanie. W toszeckim obozie znaleźli się mieszkańcy Wrocławia zatrzymani po poddaniu się w maju 1945 r. Festung Breslau, uznani za Niemców mieszkańcy Prus Wschodnich, Dolnego i Górnego Śląska, a także najliczniejsza grupa – więźniowie przetransportowani przez Sowietów z więzienia znajdującego się w Budziszynie. W lipcu 1945 r. trzema transportami kolejowymi przewieziono do Toszka 3665 więźniów z przepełnionego więzienia w Budziszynie. Więźniami toszeckiego obozu NKWD byli praktycznie sami mężczyźni, gdyż liczbę kobiet szacuje się jedynie na około 30. Więźniowie zazwyczaj byli umieszczani w głównym budynku obecnego szpitala (blok D). Co ciekawe, w obozie obowiązywał czas moskiewski.

Był to obóz pracy przymusowej, gdzie wszystkie roboty na polach czy w lesie wykonywano ręcznie i bez żadnych przerw. Wykonywano je codziennie. Obóz słynął z bardzo brutalnego traktowania więźniów przez straże. Więźniowie otrzymywali głodowe wyżywienie w postaci ciemnego chleba (jednego bochenka na czterech więźniów) i jednej wodnistej zupy. W połączeniu z ciężką pracą, oznaczało to powolną śmierć. Jednakże największą szykaną dla więźniów było brutalne podejście sowieckich strażników, czyli funkcjonariuszy NKWD. Znane są przypadki zmuszania więźniów do połykania żywych żab czy myszy, co często powodowało uduszenie się maltretowanej osoby. W toszeckim obozie, czyli właściwie w budynku szpitala, znajdowało się jedynie trzech lekarzy, którzy sami także byli więźniami. Trzech lekarzy na kilka tysięcy osób. Zmarłych i zakatowanych chowano nieopodal żydowskiego cmentarza na obrzeżach miasta (obecnie znajduje się tam pomnik ku czci pomordowanych), a gdy zabrakło tam miejsca, zwłoki wywożono do pobliskiej kopalni piasku, gdzie pochowano około 2 tysięcy ludzi. Z powodu ciężkich warunków panujących w obozie i katorżniczej pracy, zmarło w nim blisko 3,3 tys. ludzi. Biorąc pod uwagę krótki czas istnienia obozu, to kilkanaście ofiar każdego dnia. Kiedy obóz był likwidowany, przy życiu pozostało jedynie 1375 osób, lecz wkrótce 975 osób zmarło z wycieńczenia.

Obecnie na budynku szpitala znajduje się tablica pamiątkowa upamiętniająca funkcjonowanie obozu NKWD, jednak przez wiele lat jego istnienie utrzymywano w tajemnicy. Podlegał NKWD, więc polskie władze praktycznie nie miały do niego dostępu. Stąd szczupłość informacji na temat jego powstania, funkcjonowania i likwidacji. Dopiero w 1993 r. Sybille Krägel, której ojciec przebywał w tym obozie, przypomniała sprawę istnienia obozu i jednocześnie starała się dokonać inwentaryzacji osób, które się tam znalazły (http://www.uokg.de). Udało jej się ustalić nazwiska około 4500 osób. Od tego momentu zaczęło być o nim głośniej.

Toszek jest ładnym, małym miasteczkiem o ciekawej architekturze, typowej dla regionu opolskiego. Autochtonów jest tu niewielu, bo praktycznie cała ludność została po wojnie wysiedlona do Niemiec. Ich miejsce zajęli repatrianci, którzy nie znali historii tej ziemi, a przerażeni własnym losem, zmęczeni wypędzeniem i tułaczką, nie interesowali się, co dzieje się wokół. Miasto jak miasto, a szpital jak szpital. Zapewne większość z nich przybyła tu w momencie, gdy obóz NKWD już nie istniał. Mgła milczenia i niewiedzy ogarnęła całą okolicę, a szpital rozpoczął swoje normalne funkcjonowanie. Tak jest do dnia dzisiejszego. Obecnie jest to Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej – Szpital Psychiatryczny w Toszku. Koło dziejowe zakręciło się i wróciło do punktu wyjścia, gdyż w szpitalu znowu leczy się chorych ludzi.

Nad miastem góruje bryła pięknego i starego zamku. Na toszeckim rynku znajdziemy kamienną figurę św. Jana Nepomucena z 1725 r., ratusz pochodzący z 1836 r., a także zabytkowe domy wybudowane po 1833 roku. Przy ul. Gliwickiej 34 znajdziemy tablicę upamiętniającą siedzibę Komendy Oddziałów Powstańczych, bo Toszek ma też swoją bogatą, a jednocześnie tragiczną historię związaną z powstaniami śląskimi. Natomiast przy ul. Wielowiejskiej znajduje się cmentarz ewangelicki z ciekawą kapliczką pochodzącą z 1626 r. i cmentarz żydowski z połowy XIX wieku. Zaraz za cmentarzem żydowskim, przy ul.

Wielowiejskiej 12a, dopiero na początku lat 90. postawiono pomnik ku czci ofiar obozu NKWD, pochowanych tu w roku 1945. Na tablicy informacyjnej widnieją nazwiska blisko 3 tys. osób. Informacja dość nieścisła, bo wszystkie ofiary toszeckiego obozu nie zostały pochowane w tym miejscu. Część leży gdzieś na terenie dawnej piaskowni. Wielki głaz narzutowy pełni jednak rolę pomnika wszystkich ofiar. Przy ul. Parkowej położony jest toszecki cmentarz parafialny. Zaraz przy nim znajduje się kolejna tablica – dziękczynna – poświęcona tym, którzy starali się pomóc więźniom.

Nie wiem, czy od czasów Eichendorffów, czy od czasów NKWD nad miastem ciąży fatum. Przynajmniej tak mi się wydaje. Znam tylko jeden sposób, aby temu zapobiec. O bolesnej historii należy dużo mówić, bo tylko tak można uczcić ofiary wszelkich totalitaryzmów, wskazywać winnych zbrodni i oczyścić własne historyczne sumienie. Na pewno nie można milczeć, bo milczenie nie pomoże, a jedynie zaszkodzi. Wbrew znanemu powiedzeniu – milczenie nie zawsze jest złotem. Wychowałem się w czasach, gdy milczeniem, czy nawet kłamstwem, zasłaniano wiele faktów, co wymyślającym je nie przyniosło zbyt wielu korzyści. A Wy odwiedźcie Toszek, bo warto. Tylko nie zapominajcie o szpitalu. Nie wolno zapominać.

Przypisy:

[1] Urodzony w 1594 r.; służył w wojsku awansując na stopień płk.; podczas wojny 30-letniej przybył na Śląsk i opowiedział się po stronie kontrreformacji, czym zyskał sobie poparcie katolickich Habsburgów; utrzymywał dobre kontakty z królem Polski Zygmuntem III Wazą, jego synem Władysławem IV Wazą oraz jego drugim synem, Janem Kazimierzem. Zmarł w Opolu 31 III 1666 r.

[2] W latach 20. hr. Kurt Hubert Guradze przekazał zamek organizacjom młodzieżowym. Jego matką była hrabina Helena Silvia z rodu Posadowskich, która zapisała się w historii Toszka swoją działalnością dobroczynną.

[3] Tzw. akcja „T4" (E-Aktion), to program realizowany przez III Rzeszę w latach 1939-1944. Polegał na fizycznej eliminacji ludzi niedorozwiniętych umysłowo, przewlekle chorych psychicznie i neurologicznie, czyli „likwidacji życia niewartego życia" (niem. „Vernichtung von lebensunwertem Leben"). Program poprzedziła wielka akcja sterylizacyjna, wprowadzona ustawą (niem. „Gesetz zur Verhütungerbkranken Nachwuchses") z dnia 14 VII 1933 r. Hitler od dłuższego czasu nosił się z zamiarem eutanazji tych, którzy nie rokowali nadziei na wyleczenie. Uważał, że są zbyt dużym i niepotrzebnym obciążeniem dla niemieckiego społeczeństwa. Pierwszymi ofiarami akcji eutanazji padły chore dzieci (z zespołem Downa, porażeniem mózgowym, mikrocefalią, wodogłowiem czy niedorozwojem głowy lub kręgosłupa). Akcja eutanazji dzieci wkrótce przekształciła się w szerszą akcję o kryptonimie „T4" (od nazwy biura mieszczącego się w Berlinie przy Tiergartenstrasse 4) ; wprowadzono ją rozkazem Hitlera z dnia 1 X 1939 r. z datą wsteczną 1 IX 1939 r.; rozporządzenie nigdy nie zostało oficjalnie opublikowane, i faktycznie pozostawało w sprzeczności z obowiązującym w Niemczech kodeksem prawnym. Podczas trwania akcji wymordowano od 150 tys. do 175 tys. psychicznie chorych, co stanowiło 50% pacjentów niemieckich szpitali psychiatrycznych; można podejrzewać, że szpital w Toszku również był tragicznym elementem tej akcji, choć w źródłach nie ma o tym śladu.

[4] Dotyczy to nie tylko obywateli tych państw, ale także własnych obywateli znanych z sympatii do wojennych przeciwników. Dla przykładu, 1 IX 1939 r. władze brytyjskie wprowadziły w życie fragmenty Regulacji Obrony w Sytuacjach Awaryjnych dotyczący swobód cywilnych; na jego podstawie detektywi Oddziałów Specjalnych aresztowali 14-stu Brytyjczyków podejrzanych o sympatię dla nazistów.

[5] Obywatel USA irlandzkiego pochodzenia; od 1933 r. członek BUF; w dniu 27.VIII.1939 r. wraz ze swoją żoną znalazł się w Berlinie; Joyce rozpoczął pracę w serwisie zagranicznym niemieckiego radia na stanowisku anglojęzycznego prezentera (nazywano go *„Lordem Haw-Haw"*); od 1941 r. był obywatelem niemieckim; po wojnie został skazany na karę śmierci, którą wykonano w 1946 r.

[6] Jego siedzibą było miasto Bytom; sowiecki oficer bardzo negatywnie usposobiony do Polaków; nadzorował również demontaż i wywózkę urządzeń fabrycznych ze śląskich kopalń, hut i zakładów przemysłowych; nie reagował na jakiekolwiek prośby polskich władz o pozostawienie niektórych urządzeń; nie wpuszczał również członków polskich Grup Operacyjnych na teren podległych sobie zakładów energetycznych.

Literatura:

1. „Die tragödie Schlesiens 1945/1946, Herausgegeben von Johannes Kaps", München 1962
2. „Rok 1945 w województwie śląsko-dąbrowskim", praca zbiorowa pod red. A. Topola, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2004
3. Z. Gołasz, „Obozy wysiedleńcze w Zabrzu (1945-1946)", Zabrze 2008
4. G. Gunter, „Letzter Lorbeer. Vorgeschichte und Geschichte der kämpfe in Oberschlesien von Januar bis mai 1945"; Oberschlesischer Heimatverlag Dülmen 1974
5. H. Hirsch, „Zemsta ofiar. Niemcy w obozach w Polsce 1944-1950", Warszawa 1999
6. Z. Konecny, F. Mainus, „Obozy jenieckie na Górnym Śląsku (z dziejów stalagu cieszyńskiego)", praca pod red. A. Szefera, Katowice 1969
7. I. Koniew, „Czterdziesty piąty", Warszawa 1968
8. D. Tomczyk, „Śląsk Opolski – 1945. Militarne i polityczne aspekty okresu wyzwolenia", Instytut Śląski w Opolu, Opole 1989
9. A. Weale, „Renegaci. Anglicy w służbie Hitlera", Warszawa 2007

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

REKLAMA

Autor, szukając kilka lat temu materiałów o planach budowy zakładów amunicyjnych w Gronówku koło Leszna, natrafił na dokument zawierający m.in. informacje dot. projektu przebudowy Leszna. Od tej niewielkiej wzmianki zaczęły się całkiem poważne poszukiwania w zasobach Archiwum Państwowego w Lesznie i Archiwum Państwowego w Poznaniu oraz zbiorach bibliotecznych. Udało się też uzyskać dostęp do materiałów będących w zbiorach prywatnych. Efektem tej kwerendy jest zapoczątkowany w poprzednim numerze („Odkrywca" nr 6/2013) cykl poświęcony hitlerowskim planom przebudowy Leszna. Poniżej jego kontynuacja.

Plan Gospodarczy Miasta Leszno – Wirtschaftsplan der Stadt Lissa (cz. 2)

Jak wyglądałoby Leszno, gdyby Hitler wygrał wojnę…

TEKST: JERZY BOGDANOWICZ

Tymczasowy Plan Gospodarczy Miasta Leszno

Czas wrócić do planów przebudowy Leszna. W oparciu o zachowane dokumenty możemy stwierdzić, że prawdopodobnie już wiosną 1942 r. do prac projektowych włączył się Berlin, a konkretnie, architekt i urbanista profesor Jobst. W maju 1942 r. z udziałem zainteresowanych stron odbyła się w Poznaniu konferencja, na której prof. Jobst przedstawił swoją wizję planu przebudowy miasta i zmian w dotychczasowym planie miejskiego radcy budowlanego, dr. inż. Rudolfa Kühna[1].

Szlaki komunikacyjne

Zasadniczo pozostano przy dotychczasowej koncepcji istniejących szlaków komunikacyjnych (kolei i szos), jako linii wyznaczających sektory przyszłej zabudowy. Linie kolejowe pozostawiono oczywiście bez zmian. Również modyfikacje w infrastrukturze kolejowej, zaproponowane wcześniej przez dr. inż. Kühna oraz zawarte w programie „Otto", zostały zaaprobowane i włączone w nowy projekt. Najistotniejszą zmianą miało być znaczne przesunięcie na wschód obwodnicy, planowanej uprzednio po zachodniej stronie Leszna, a właściwie włączenie jej w ciąg komunikacyjny miasta. Ponadto prof. Jobst zakładał wybudowanie, poza pasem dawnych wałów miejskich, dużej, o monumentalnym charakterze ulicy obwodowej[2], przy której, w miarę możliwości, powinny być zlokalizowane wszystkie instytucje władzy, placówki publiczne itp. Szerokość tej ulicy wyznaczył na ok. 30 metrów! Nie powinno to dziwić, biorąc pod uwagę obowiązujące wówczas trendy projektowania, i już wykonane projekty przebudowy innych miast Rzeszy. Przykładowo, berlińska wielka ulica miała mieć szerokość 120 m i 2 km długości[3], a norymberska, będąca elementem kompleksu zjazdowego (Parteitagów) NSDAP – 60 m szerokości[4]. Ten leszczyński „Ring" miał przebiegać, w przybliżeniu, wzdłuż następujących ciągów ulicznych: Grossen Feldstrasse (Grota Roweckiego)[5], Schiller Weg (Świętokrzyska), Gartenstrasse (Dąbrowskiego), Nibelungenweg (część Mickiewicza i Słowackiego), Goetheweg (Słowackiego), Buchwälderstrasse (Poniatowskiego i część Przemysłowej), Mackensenstrasse (Krasińskiego), Dietrich Eckart Weg (Krasińskiego). Wizja lokalna przeprowadzona 2 V 1942 r. wykazała, że nie wystąpią istotne trudności przy realizacji tego projektu, poza koniecznymi wyburzeniami domów z niektórych ciągów ulic.

Szlakiem tranzytowym (szosa krajowa nr 122) z zachodu na wschód (Wschowa-Osieczna-Gostyń), miał być ciąg ulic od Horst Wesselstrasse (Szybowników), poprzez Johann Heermannstrasse (Sokola) do Grossen Feldstrasse (Grota Roweckiego), przechodząc przez część ówczesnego nowego cmentarza ewangelickiego – kosztem budynku administracji cmentarnej i części gruntu ćwiczni miejskiej. Wymagało to też usunięcia dużej części miejskiej rzeźni. Ruch tranzytowy miał przebiegać dalej nową ulicą obwodową, do mniej więcej ulicy Pulwergasse (Prochownia). W jej kierunku miał być później przeprowadzony nowy ciąg komunikacyjny, wychodzący na koszary przy Storchensterstrasse (Niepodległości)[6].

Droga Krajowa nr 116 w stronę Wrocław-Poznań miała prowadzić ulicami: od Göringstrasse (17 Stycznia), odgałęzieniem Kastanienallee (Sienkiewicza i Korcza), przebić się przez stary cmentarz katolicki i cmentarz zreformowanej gminy kościelnej do Gartenstrasse (Dąbrowskiego), tu w ciągu ulicy obwodowej Gartenstrasse (Dąbrowskiego), Nibelungenweg (część Mickiewicza i Słowackiego), Goetheweg (Słowackiego), aż do zmiany kierunku tej trasy – z kierunku północ-południe na wschód-zachód. W miejscu zmiany miało być przygotowane odgałęzienie, które mniej więcej na wysokości drogi do Gronowa, ponownie napotkałoby dotychczasową drogę krajową. Podczas realizacji przewidywano trudności budowlane na gruncie koszar przy Gartenstrasse (Dąbrowskiego) oraz znaczne rozbiórki budynków w mieście. Ten sposób działania, jak stwierdził prof. Jobst, jest co prawda godny pożałowania, ale konieczny, i rząd Rzeszy zasadniczo wyraził na to zgodę.

Osiedla mieszkaniowe i tereny zielone

Dalszy podział urbanistyczny wyglądałby następująco: obszary mieszkalne (osiedla)[7] miały zacząć się na północy miasta, mniej więcej na wysokości drogi do Gronowa, i ciągnąć się łukiem wzdłuż wschodniego skraju miasta, aż do Tierpark (ogród zoologiczny). W dalszym ciągu prowadzić między ogrodem zoologicznym i Dornfeld (Zaborowem), gdzie niezbędna była budowa przejazdu przez tory kolejowe. Obszar terenu między torowiskami linii kolejowych do Wschowy i Wrocławia, został przeznaczony na rezerwowy obszar pod zabudowę mieszkaniową. Ciąg obszarów mieszkalnych miało zakończyć osiedle na północ od Stresen (Strzyżewic), dochodząc prawie do szosy Leszno-Wschowa. Dalej na północ rozciągać się miał obszar przemysłowy zamykający pierścień wokół miasta. Dzięki wytyczeniu nowych obszarów pod zabudowę, można było zwiększyć liczbę mieszkańców, pomimo jednoczesnego wyburzania starych domów w śródmieściu. Poprzez pierścienio-

we objęcie centrum miasta przez osiedla mieszkaniowe, uzyskano stopniowe przejście do niższej zabudowy, jednocześnie, od wschodu, wprowadzając zieleń głęboko do miasta. Pojedyncze obszary mieszkalne (osiedla) zaplanowano tak, aby na każdy z nich wypadało ok. 7 tys. mieszkańców. Cała opracowywana przestrzeń mieszkaniowa została określona na liczbę 50 tys. mieszkańców, przy czym przewidziano rozluźnienie starego miasta.

Jak miało wyglądać nowo planowane osiedle? Najlepiej przedstawić to na podstawie zachowanej korespondencji, dotyczącej osiedla Antoniny. Osiedle, a właściwie Ortsgruppe Antonshof, miało się składać z połączonych dwóch osiedli: Antoniny/Północ i Antoniny/Południe. Obszar osiedla został ogólnie wskazany w projekcie – na południe od linii kolejowej Leszno-Jarocin oraz na wschód od drogi Leszno-Poznań. W dyskusji nad projektem[8] ustalono, że oba obszary powinny zostać połączone w całość (Ortsgruppe – grupę miejscową, jednostkę sąsiedzką)[9]. Ten warunek był wytyczną dla opracowania obu planów i scentralizowania prac konstrukcyjnych instalacji między obu częściami osiedla. Od osi osiedla, w obu kierunkach, odgałęziać się miało wiele ulic mieszkalnych. Na połączeniu głównych arterii zaplanowano mały plac targowy, na którym przewidziano przedsiębiorstwa handlowe. Powracająca z pracy ludność mogła przy tym układzie względnie łatwo załatwić niezbędne sprawy (zakupy).

W centrum osiedla przewidziano w większości zabudowę dwukondygnacyjną (2×4 mieszkania na jednej kondygnacji)[10], podczas gdy w północnej części planowano 1 i 1/2 piętra, tzn. parter i wykończenie. Dla urozmaicenia planowano odchylenia szczytowych ścian od osi ulic. Mniejsze budynki zaplanowano jako dwurodzinne. Usytuowanie budynków miało być w dużej części w kierunkach północny-wschód – południowy-zachód. Dalszą, położoną na północ część osiedla przeznaczono na domki jednorodzinne. Mogły one być skoncentrowane w grupach pomiędzy kępami drzew lub pomiędzy niskimi budynkami garaży. W części północnej obszaru Antoniny/Północ przewidziano szkołę. Rozważano także koncepcję realizacji oddzielnie szkoły dla dziewcząt i chłopców, przy czym jedna byłaby położona na terenie Antoniny/Północ, a druga – na terenie Antoniny/Południe. Wokół osi osiedla zaplanowano również małe sklepy i zakłady rzemieślnicze. Szeroki pas zieleni miał oddzielać osiedle od obszaru przemysłowego. Bezpośrednio przy przyległym terenie zielonym zaplanowano przedszkole. Do dalszych prac pozostawiono kwestię, czy pas zieleni ma zostać zrealizowany w kształcie bardziej podobnym do parku, czy nie lepiej wykorzystać go, jako dodatkowe ogródki działkowe, ogrodnictwo lub miejski zakład zieleni.

Pozostałe osiedla miały być w ogólnych oczywiście zarysach podobne, zgodnie z koncepcją urbanistyczną „jednostek sąsiedzkich" czy też „Ortsgruppe". Można to prześledzić na zachowanym w leszczyńskim Archiwum Państwowym „Vorläufiger Wirtschaftsplan der Stadt Lissa"[11].

W ogólnym procesie planowania przebudowy miasta podejmowano też bardziej szczegółowe decyzje lokalizacyjne, dotyczące konkretnych obiektów. Dotyczyło to m.in. lokalizacji szpitala powiatowego – przy Hindersinallee (Aleja 21 Października), szpitala wojskowego – przy Reisener Chaussee (17 Stycznia), czy ochronki w Dornfeld (Zaborowie).

Zachowały się też materiały, niestety najczęściej fragmentaryczne, dotyczące kilku obiektów opracowywanych oddzielnie, przez samodzielnych architektów, na potrzeby miasta. Są to plany kinoteatru (Filmtheater „Capitol") na 469 miejsc[12], biura (Dienststelle) NSDAP przy Schloßstrasse (Ofiar Katynia)[13] i pomocniczego osiedla mieszkaniowego (Behelfsheimsiedlung) przy Lindenstrasse (Lipowej)[14].

Kończąc omawianie spraw dotyczących planowania osiedli mieszkaniowych, trzeba jeszcze raz wspomnieć o projekcie osiedla dla wojska i pracowników MUNA. W lipcu 1942 r. władze Rzeszy podjęły decyzję o wstrzymaniu prac związanych z projektem MUNA, i z tej przyczyny wstrzymano też planowanie osiedla dla Wehrmachtu. Jednak prof. Jobst zdecydował, że potrzebna dla Wehrmachtu przestrzeń osiedlowa pozostanie w obszarze przewidzianym w Planie Gospodarczym. Tereny zielone miały prowa-

Filmtheater „Capitol", projekt elewacji. Źródło: Archiwum Państwowe w Lesznie (APL).

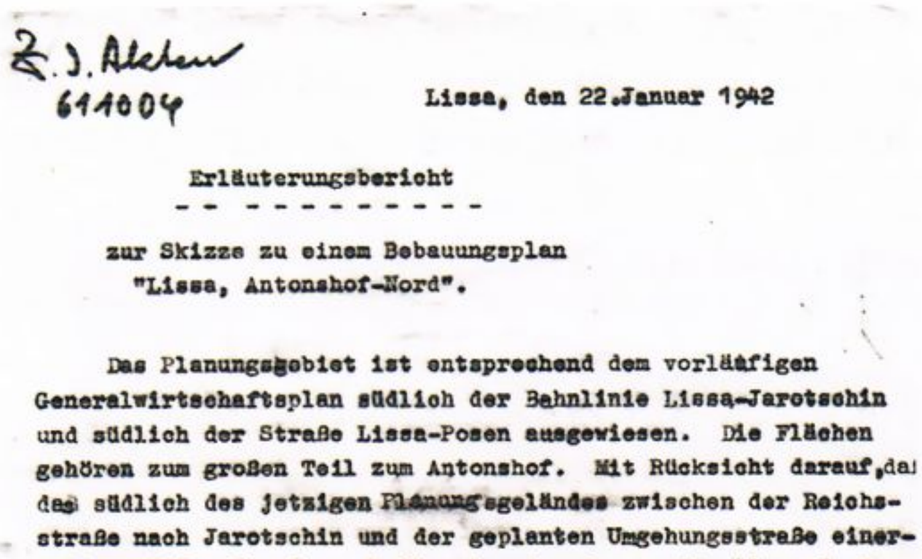

Z.J. Akten
611004

Lissa, den 22.Januar 1942

Erläuterungsbericht

zur Skizze zu einem Bebauungsplan
"Lissa, Antonshof-Nord".

Das Planungsgebiet ist entsprechend dem vorläufigen Generalwirtschaftsplan südlich der Bahnlinie Lissa-Jarotschin und südlich der Straße Lissa-Posen ausgewiesen. Die Flächen gehören zum großen Teil zum Antonshof. Mit Rücksicht darauf, daß das südlich des jetzigen Planungsgeländes zwischen der Reichsstraße nach Jarotschin und der geplanten Umgehungsstraße einerseits und der Straße nach Storchnest andererseits liegende Gelände, das ebenfalls zum Antonshof gehört, durch einen Bebauungsplanentwurf des Herrn Dr. Kühn, Berlin bereits bearbeitet ist, ist die Bezeichnung des von Herrn Dr. Kühn bearbeiteten Planes "Antonshof-Süd" und des vom Stadtbauamt Lissa bearbeiteten Planes "Antonshof-Nord" gewählt. Zwischen Antonshof-Süd und Antonshof-Nord ist nach dem Generalwirtschaftsplan ein Grünstreifen vorgesehen, der sich annähernd in der Richtung Ost-West von der Straße nach Storchnest bis an das Reichsbahn-Gelände erstreckt. In den bisherigen Besprechungen ist festgelegt worden, daß die beiden Gebiete Antonshof-Süd und Antonshof-Nord zu einer Ortsgruppe zusammengefaßt werden sollen. Diese Bedingung war für die Aufstellung beider Pläne mit richtunggebend. Infolge der Bestimmung der Ortsgruppe ergab sich von vornherein, daß die hierfür erforderlichen baulichen Anlagen zwischen beiden Teilen der Siedlung möglichst zentral anzuordnen sein würden. Die Ortsgruppe ist deshalb zwischen die beiden Siedlungsflächen angeordnet worden. Zu dem vom Stadtbauamt bearbeiteten Teilgebiet wird bemerkt, daß von der Umgehungsstraße in nordöstlicher Richtung abzweigend eine Zugangsstraße zu dem Munagelände vorgesehen ist. Mit Rücksicht auf den immerhin zu erwartenden Verkehr ist diese Straße vom Anbau frei gehalten. Man gelangt von der Umgehungsstraße abzweigend über die soeben genannte Verbindungsstraße zur Muna in den westlichen Teil der Siedlung. Sowohl nach Westen als

auch

Objaśnienie do szkicu planu zabudowy „Lissa, Antonshof-Nord" z 22 I 1942 roku. Zbiory prywatne.

Fragment planu osiedla przy ulicy Lipowej. Źródło: APL.

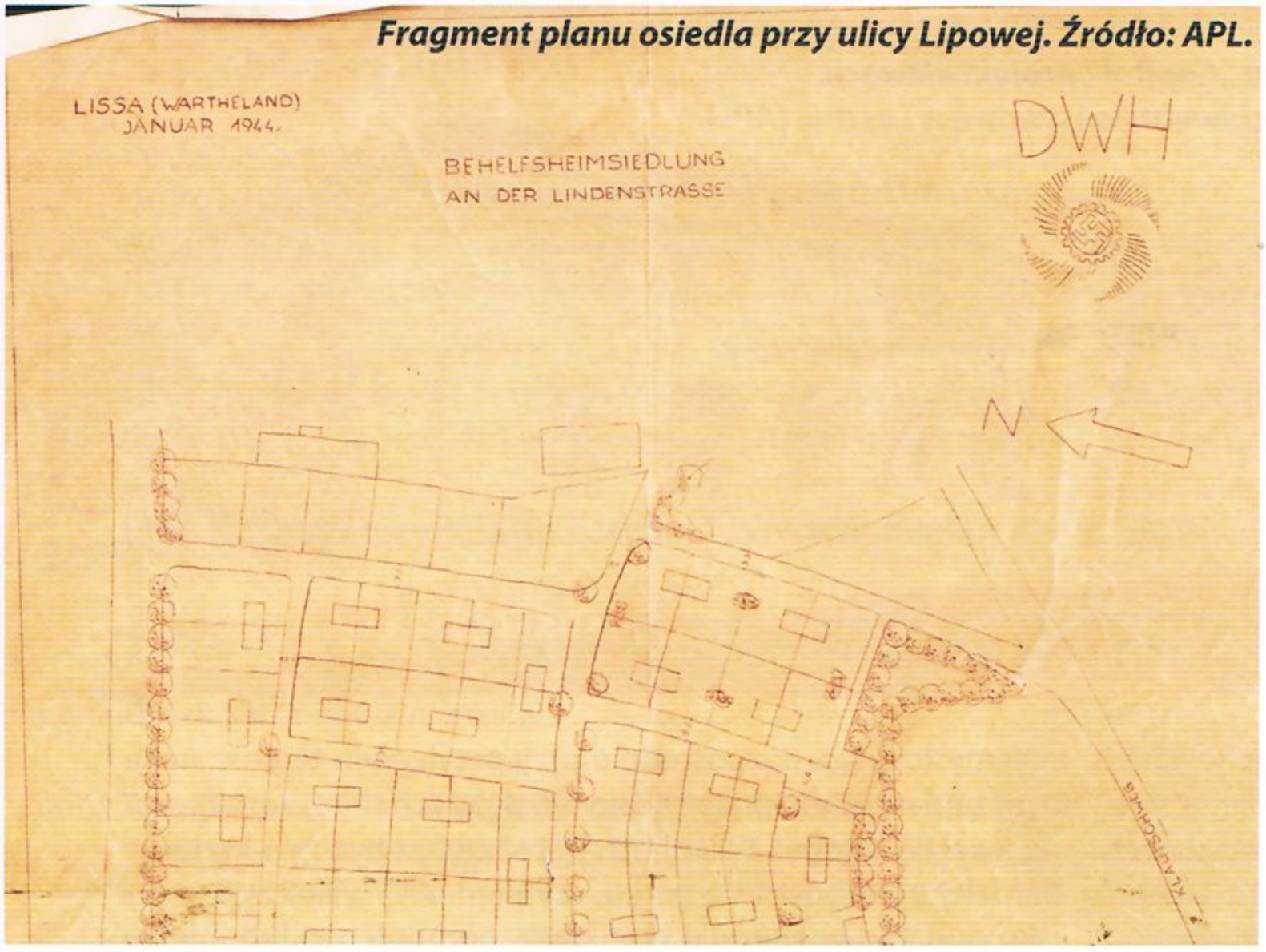

kadzić od Kankeler Forst (Las Kąkolewski), Reisener Forst (Las Rydzyński) i Lissaer Forst (Las Leszczyński)[15] w głąb miasta. Jako punkt ciężkości swojego planu prof. Jobst przewidział duży park miejski, szczelnie przylegający od zachodu do Gartenstrasse i prowadzący mniej więcej na szerokości od Stolzengasse (Krótka) aż do Kastanienallee (Korcza). Na wschód miał sięgać mniej więcej na wysokość obecnych Alei Konstytucji 3 Maja. Nie zrezygnował też z koncepcji dr. inż. Kühna, przeznaczenia podmokłego, a zatem niezdatnego do zabudowy obszaru na południe od parku, na urządzenie małego sztucznego jeziora jako kąpieliska. Osobnym tematem w dziale zieleni miejskiej był Tiergarten (ogród zoologiczny), zaplanowany na południowo-wschodnim skraju miasta[16]. Na terenie ogrodu, wśród zieleni, miały znajdować się pawilony dla kilkunastu gatunków zwierząt, woliery dla ptaków, kompleks akwariów oraz staw i restauracja. Ten nowoczesny w założeniu ogród zoologiczny miał, poza rolą rekreacyjną, jako pas zieleni oddzielać od siebie dwa osiedla mieszkaniowe zlokalizowane w tej części miasta. Wspomniane wyżej projekty jednoznacznie wskazują na znaczenie, jakie niemieccy architekci przywiązywali do miejskich terenów zielonych.

Projekt Ogrodu Zoologicznego z lutego 1942 roku. Źródło: APL.

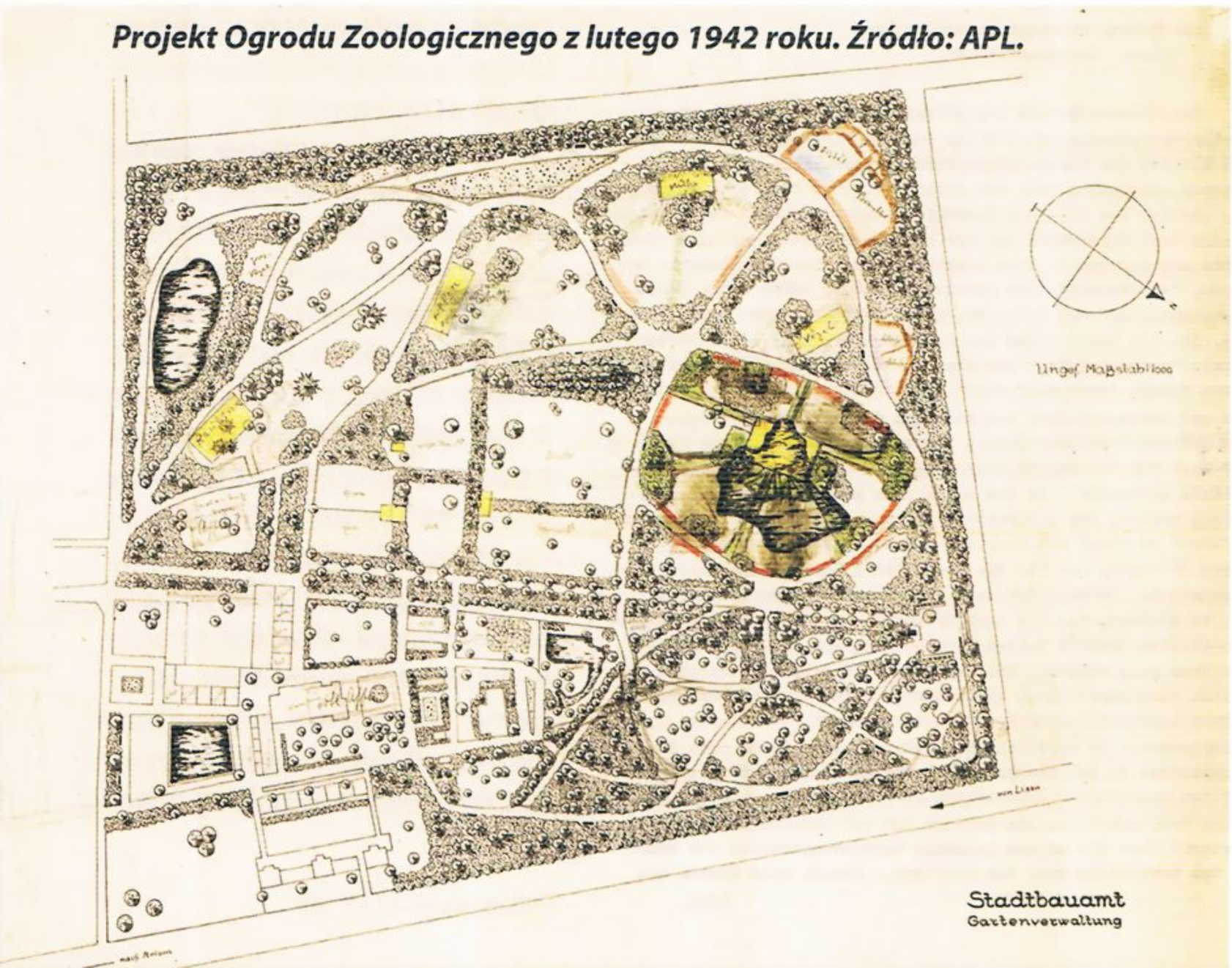

Tereny przemysłowe

W „Tymczasowym Planie Gospodarczym miasta Leszno" przewidziano w zasadzie dwa obszary przemysłowe. Prawdopodobnie nie wykonano szczegółowych planów zagospodarowania przestrzennego tych obszarów, a przynajmniej nie zachowały się na ten temat żadne informacje. Nie wiemy też, jakiego rodzaju zakłady miały tam pracować. Z zachowanych dokumentów możemy jedynie wnioskować, że w obu obszarach miały być rozbudowane bocznice kolejowe. Pierwszy obszar przemysłowy, na północ od Schwetzkauerstrasse (Święciechowska), jak to już wcześniej przewidziano w planie dr. inż. Kühna, od zachodu miał być ograniczony kanałem Odra-Warta z dużym portem przeładunkowym i całą jego infrastrukturą, a od wschodu terenem kolei państwowych. Od północy nie określono ostatecznie granicy, wytyczając ją wstępnie na linii drogi Gronowo-Maryszewice-Wschowa, z możliwością dalszego przesunięcia na północ. Na wspomnianej już poznańskiej konferencji prof. Jobst zaznaczył, że z planowaniem przestrzennym w obszarze przemysłowym na południe od Schwetzkauerstrasse należy się wstrzymać, aż do ostatecznych ustaleń planistycznych. Zwłaszcza w części dotyczącej projektu kanału żeglownego Odra-Warta, lokalizacji portu przeładunkowego i związanych z nim urządzeń do za- i wyładunku. Konkretna lokalizacja przebiegu toru kolejowego (bocznicy) w obszarze przy Schwetzkauerstrasse została też odłożona do chwili podjęcia decyzji o ostatecznym układzie tego obszaru.

Drugi obszar przemysłowy zaplanowano na południe od linii kolejowej Leszno-Gostyń. Od zachodu dochodził do drogi z osiedla Antoniny do MUNY, od wschodu ograniczała go szosa Leszno-Osieczna. Na całym obszarze zaplanowano sieć bocznic kolejowych, a dworcem towarowym dla tego obszaru, miał być dworzec Pilzvorwerk (Grzybowo)[17], znacznie rozbudowany na potrzeby wojenne w latach 1941-1944.

Jeżeli chodzi o inne obiekty infrastruktury przemysłowej w mieście, to w zachowanych dokumentach możemy natrafić tylko na wzmianki dotyczące nowej gazowni. Do czasu zakończenia prac projektowych nie podjęto decyzji o jej lokalizacji. Najbardziej korzystne byłoby, jak stwierdził prof. Jobst, już tylko, ze względu na niezbędny transport węgla, zlokalizowanie gazowni w okolicach portu lub rejonu przemysłowego w Gronowie. Urbanistycznie dobry, ale niekorzystnie położony, był też obszar w Dornfeld (Zaborowie), ze względu na stale wytwarzający się zapach z gazowni, który przy najczęstszym, połu-

dniowo-zachodnim wietrze trafiałby nad część planowanego obszaru mieszkalnego.

W tym miejscu musimy powrócić do projektu kanału Odra-Warta. Począwszy od marca 1941 r. trwały związane z nim okresowe narady i konsultacje przedstawicieli rządu Rzeszy, władz rejencji poznańskiej, władz powiatowych oraz przedstawicieli wszystkich zainteresowanych urzędów. Według pisma starosty leszczyńskiego do Prezydenta Rejencji w Poznaniu, z maja 1941 r.[18], koszt budowy kanału na odcinku Odra-Warta-Noteć, dla barek o nośności do 500 ton, oszacowano na około 60 mln RM. Szczegółowo rozważano przebieg kanału i lokalizację urządzeń z nim związanych. W dokumentach Archiwum Państwowego w Poznaniu zachowała się mapa planowanego przebiegu kanału na terenie powiatu leszczyńskiego[19]. Zgodnie z projektem kanał miał przebiegać poniżej Długich Starych, nad torem kolejowym do Leszna przeciąć szosę Długie Stare-Leszno i dalej szosę Ogrody-Lasocice. Następnie, poniżej folwarku Mędzin przecinać szosę Święciechowa-Leszno na północ do szosy Wilkowice-Leszno, przecinać tor kolejowy i szosę do Poznania, i dalej na północny-wschód, przecinając szosy Gronówko-Klonowiec, Wyciążkowo-Goniębice, powyżej Wolkowa, przecinać drogę Drzeczkowo-folwark Kowale. Dalej, poniżej Popowa w kierunku folwarku Adamowo, wychodzić miał poza granicę powiatu. Konsultacje dotyczące realizacji planu rozpoczęto jesienią 1941 roku. 1 listopada prezydent Rejencji w Poznaniu zawiadamiał przedstawicieli: krajowej dyrekcji dróg wodnych, rejonowej dyrekcji kolei, krajowego związku rolników oraz dowództwo XXI okręgu wojskowego i starostów powiatów Kościan, Śrem i Leszno o planowanej w dniu 12 listopada konferencji na temat planów budowy kanału. Na konferencji miasto Leszno reprezentowali: burmistrz

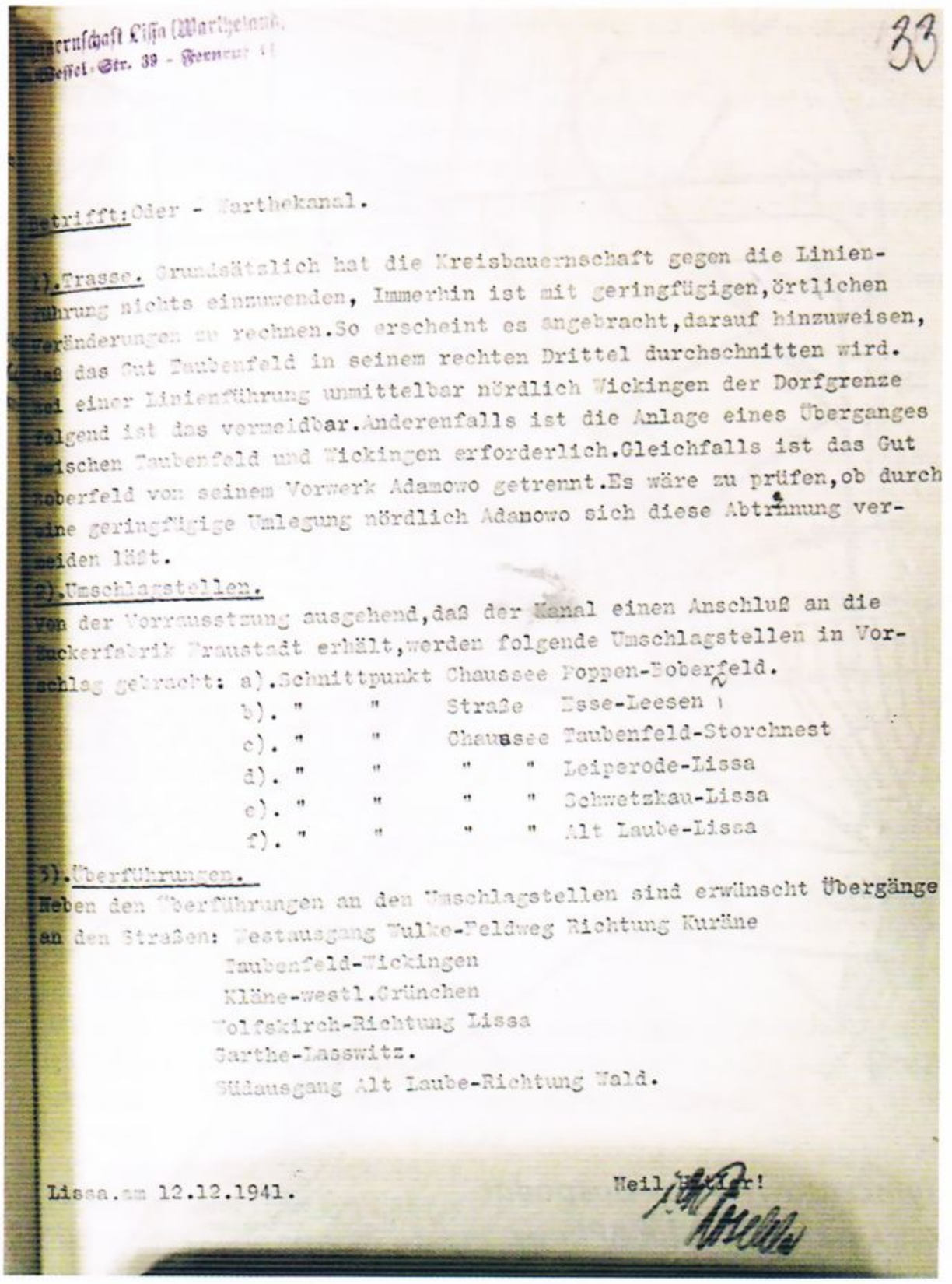

Bauernschaft Lissa (Warthelandl.
Bessel-Str. 39 - Fernruf 4[illegible]

33

Betrifft: Oder - Warthekanal.

1). Trasse. Grundsätzlich hat die Kreisbauernschaft gegen die Linienführung nichts einzuwenden, Immerhin ist mit geringfügigen, örtlichen Veränderungen zu rechnen. So erscheint es angebracht, darauf hinzuweisen, daß das Gut Taubenfeld in seinem rechten Drittel durchschnitten wird. Bei einer Linienführung unmittelbar nördlich Wickingen der Dorfgrenze folgend ist das vermeidbar. Anderenfalls ist die Anlage eines Überganges zwischen Taubenfeld und Wickingen erforderlich. Gleichfalls ist das Gut Boberfeld von seinem Vorwerk Adamowo getrennt. Es wäre zu prüfen, ob durch eine geringfügige Umlegung nördlich Adamowo sich diese Abtrennung vermeiden läßt.

2). Umschlagstellen.

Von der Voraussetzung ausgehend, daß der Kanal einen Anschluß an die Zuckerfabrik Fraustadt erhält, werden folgende Umschlagstellen in Vorschlag gebracht: a). Schnittpunkt Chaussee Poppen-Boberfeld.
b). " " Straße Esse-Leesen
c). " " Chaussee Taubenfeld-Storchnest
d). " " " " Leiperode-Lissa
e). " " " " Schwetzkau-Lissa
f). " " " " Alt Laube-Lissa

3). Überführungen.

Neben den Überführungen an den Umschlagstellen sind erwünscht Übergänge an den Straßen: Westausgang Wulke-Feldweg Richtung Kurüne
Taubenfeld-Wickingen
Klüne-westl. Grünchen
Wolfskirch-Richtung Lissa
Garthe-Lasswitz.
Südausgang Alt Laube-Richtung Wald.

Lissa, am 12.12.1941.

Heil Hitler!

Pismo oddziału Związku Rolników Rzeszy w Lesznie (Reichsbauernschaft Lissa) z 12 XII 1941 roku. Źródło: APP.

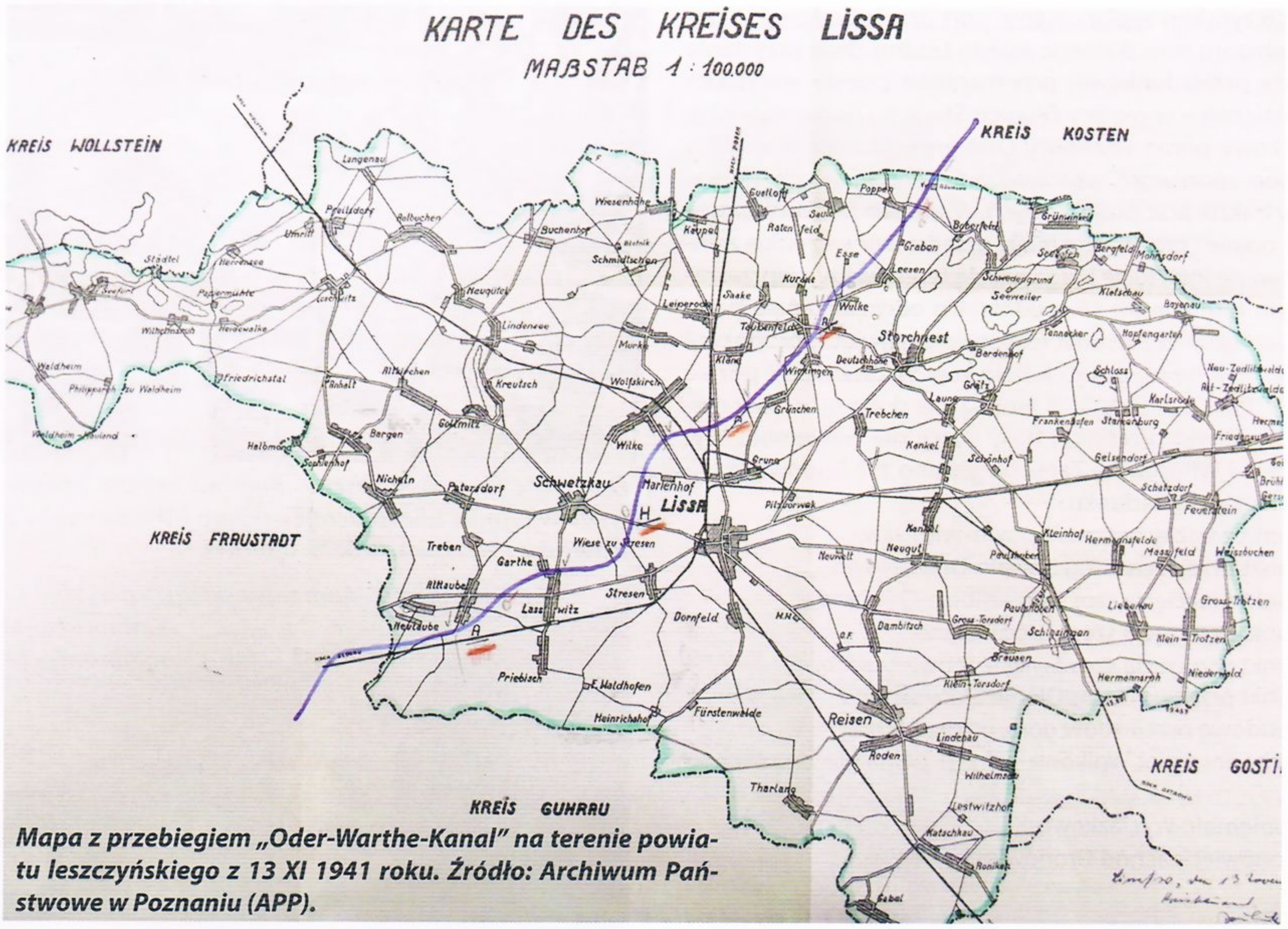

Mapa z przebiegiem „Oder-Warthe-Kanal" na terenie powiatu leszczyńskiego z 13 XI 1941 roku. Źródło: Archiwum Państwowe w Poznaniu (APP).

Tymczasowy Plan Gospodarczy Leszna. Źródło: APL.

Fritz Paulich i miejski radca budowlany Gerhard Schnabel. Z zachowanej notatki wynika, że na trasie kanału w powiecie leszczyńskim zaplanowano: port przeładunkowy w pobliżu obszaru mieszkalnego miasta Leszno, dwie przystanie (punkty przeładunkowe) przeznaczone przede wszystkim dla rolnictwa – w okolicy Długich Starych i Goniembic oraz dodatkowy punkt w okolicy Osiecznej. W trakcie rozmów ustalono możliwość wprowadzania dodatkowych poprawek w trakcie prac projektowych. W sprawie budowy kanału swoje opinie i propozycje miały przedstawić wszystkie zainteresowane instytucje i organizacje terenowe w nieprzekraczalnym terminie do 15 grudnia. Do odcinka kanału przebiegającego przez powiat leszczyński najwięcej propozycji wniósł Powiatowy Związek Rolników w Lesznie. W piśmie z 12 XII 1941 r. przedstawił propozycje dotyczące kilku niewielkich korekt przebiegu trasy w rejonie Goniembic, Wyciążkowa i Witosławia. Zaproponowano też budowę kolejnych miejsc przeładunku:

» punkt przecięcia szos Popowo-Witosław,
» punkt przecięcia dróg Kowale-Drzeczkowo,
» punkt przecięcia szos Goniembice-Osieczna,
» punkt przecięcia szos Lipno-Leszno,
» punkt przecięcia szos Święciechowa-Leszno,
» punkt przecięcia szos Długie Stare-Leszno

oraz budowę przejazdów górą, na drogach:

» zachodni wylot Wolkowa – droga polna w kierunku Koronowa,
» Goniembic-Wyciążkowo,
» Klonówiec-zachód Gronówko,

» Wilkowo-kierunek Leszno,
» Ogrody-Lasocice,
» południowy wylot Długie Stare – kierunek las.[20]

Notatka ta jest ostatnim dokumentem w poszycie „Oder-Warthe-Kanal". Projekt budowy kanału zamierzano zrealizować w ciągu pierwszych 10 lat po wojnie (czytaj zwycięstwie), czyli wg ówczesnych ocen, do mniej więcej 1953-1955 roku. Prawdopodobnie ze względu na sytuację na froncie[21] zaprzestano lub odłożono w czasie dalsze prace projektowe. Ostatecznym efektem prac koncepcyjnych, narad i wizji terenowych dotyczących przebudowy Leszna, był opracowany w Berlinie i datowany na luty 1943 r. „Vorläufiger Wirtschaftsplan der Stadt Lissa" – Tymczasowy Plan Gospodarczy Miasta Leszno.

Oceniając projekt przebudowy nie możemy zapominać, że miało to być miasto budowane przez Niemców i dla Niemców. Reprezentacyjne budowle miały być pomnikami potęgi aryjskiej rasy i przetrwać wieki. W ogólnej koncepcji architektonicznej uwzględniono elementy neoklasycyzmu (monumentalizację formy) oraz, zgodnie z zarządzeniem Hitlera, „teorię wartości ruin" Alberta Speera[22]. Wykorzystano jednocześnie wiele funkcjonalnych założeń modernizmu (rezygnacja ze sztywnej zabudowy kwartałowej i jednolitych pierzei, dostępność światła, użycie szlachetnych materiałów budowlanych).

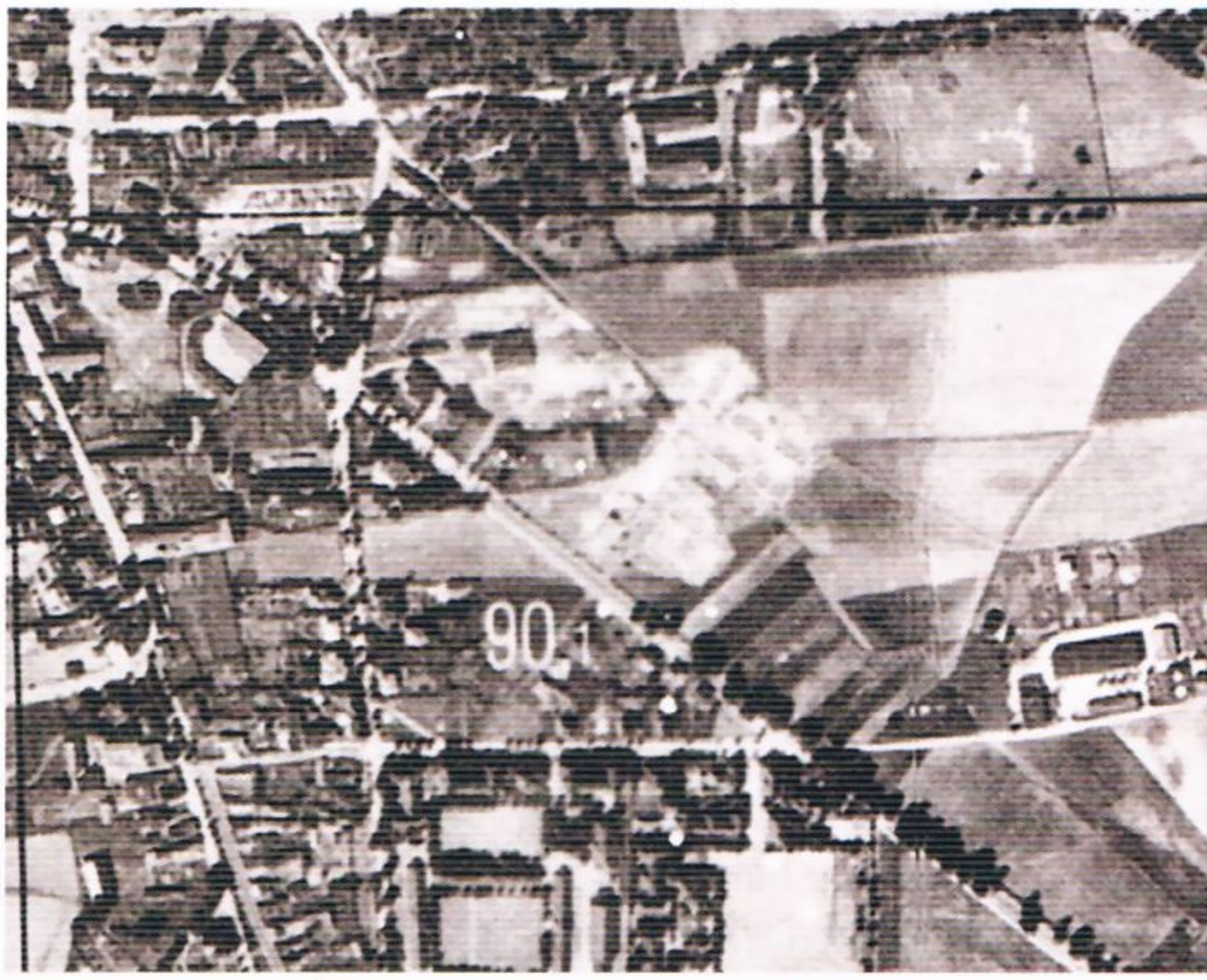

Fragment fotomapy Leszna. Budowa osiedla mieszkaniowego w rejonie ulic Andrzejewskiego i Włodarczaka z października 1940 roku. Źródło: internet.

Budynki przy ul. Andrzejewskiego – przykład Kriegs-Einheitswohnhaus, fot. J. Bogdanowicz (2012).

Celem nadrzędnym miało być wyrażenie siły państwa, sugerowanie wyjątkowości i nadrzędności kultury niemieckiej. Każdy system totalitarny, bez względu na ideologię, wymaga odpowiedniej symboliki i dowodów potęgi. Podsumowując możemy stwierdzić, że realizacja planu przebudowy uczyniłaby Leszno miastem o nowoczesnym, nawet jak na czasy współczesne, układzie komunikacyjnym i urbanistycznym. Szerokie pasy zieleni oddzielałyby wydzielone strefy przemysłowe od osiedli mieszkalnych. Centrum miasta okalałaby szeroka, reprezentacyjna ulica z położonymi przy niej budynkami użyteczności publicznej. Mieszkańcy miasta w słoneczne dni mogliby korzystać z dużego, przylegającego bezpośrednio do centrum parku lub kąpieliska na sztucznym jeziorze we wschodniej części miasta, a wieczorami iść do teatru lub kina. Całość prac związanych z przebudową miasta miała zostać ukończona w ciągu 10 lat (!) od zakończenia wojny, czyli w pierwszej połowie lat 50. XX wieku. Projekt nie został zrealizowany. Pozostały po nim nieliczne ukończone inwestycje, jak np. budynki mieszkalne przy Siegfriedstrasse (por. Wacława Andrzejewskiego) i Brunhildstrasse (por. Leona Włodarczaka) oraz plany w zasobach Archiwum Państwowego w Lesznie. Oczywiście kwestię, czy miasto byłoby ładniejsze i bardziej przyjazne mieszkańcom, pozostawiam do oceny współczesnym mieszkańcom Leszna i Czytelnikom „Odkrywcy". ◗

Za pomoc okazaną w poszukiwaniu materiałów archiwalnych chciałbym podziękować paniom Elżbiecie Olender i Barbarze Ratajewskiej z Archiwum Państwowego w Lesznie.

Przypisy:

[1] Notatka Miejskiego Urzędu Budowlanego (MUB) w Lesznie z 8 V 1942 r. Zb. prywatne.

[2] Obwodnica śródmiejska na kształt Berliner Ring, oczywiście w dużo mniejszej skali.

[3] Taką ulicę zaprojektował dla przyszłego Berlina Adolf Hitler już w 1925 roku. A. Speer „Wspomnienia", MON, Warszawa 1973, s. 115

[4] Budowę Große Strasse w Norymberdze ukończono w 1939 roku.

[5] W nawiasach obecne nazwy ulic, zasięgi nazw ulic współczesnych nie zawsze odpowiadają zasięgom w latach okupacji.

[6] Dawne koszary 3. szwadronu 17. pułku ułanów im. Marszałka Piłsudskiego przy zbiegu ulic Grunwaldzkiej i Niepodległości.

[7] Zaplanowano 5 osiedli mieszkaniowych oznaczonych w projekcie jako Ortsgruppe A, B, C, D, E.

[8] Notatka MUB w Lesznie z 22 I 1942 r. Zb. prywatne.

[9] Ortsgruppe – prawdopodobnie chodzi o tzw. „jednostkę sąsiedzką" – samodzielny układ urbanistyczny znajdujący się w składzie większego miasta. Stanowi go zabudowa mieszkaniowa wraz z zapleczem socjalnym, usługowym i kulturalnym.

[10] Typowy dwukondygnacyjny „Kriegs-Einheitswohnhaus" (jednostka mieszkalna czasu wojny). Projekt oficjalnie wprowadzony zarządzeniem Komisarza Rzeszy ds. budownictwa mieszkaniowego (Reichswohnungskommissar) nr 29/43 z 5 VI 1943 roku.

[11] APL, Zbiór planów miast, sygn. 138

[12] APL, Dokumentacja Techniczna – Zbiór, nr 39. Projekt berlińskiego architekta Fritza Wilmsa, brak danych o szczegółowej lokalizacji.

[13] APL, Dokumentacja techniczna – zbiór, nr 28

[14] APL, Dokumentacja techniczna – zbiór, Pl. ob. 45

[15] Reisener Forst (Las Rydzyński) i Lissaer Forst (Las Leszczyński) w okresie międzywojennym nosiły nazwę Lasu Fundacji Sułkowskich.

[16] APL, Dokumentacja techniczna – zbiór, nr 45

[17] Miał zabezpieczać osobnymi bocznicami drugi obszar przemysłowy, zakłady MUNA oraz pomocnicze magazyny wojsk lądowych (H.N.Za. – Heeres Nebenzeugamt). Obecnie dworzec kolejowy Leszno-Grzybowo.

[18] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 167, s. 23

[19] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 167, s. 26

[20] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 167, s. 33

[21] Grudzień 1941 r., to pierwsza poważna klęska armii hitlerowskiej na froncie wschodnim w bitwie o Moskwę (operacja „Tajfun").

[22] A. Speer , *op. cit.*, s. 82

Jerzy Bogdanowicz

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Miłośnik historii. Z zawodu geodeta i topograf.

REKLAMA

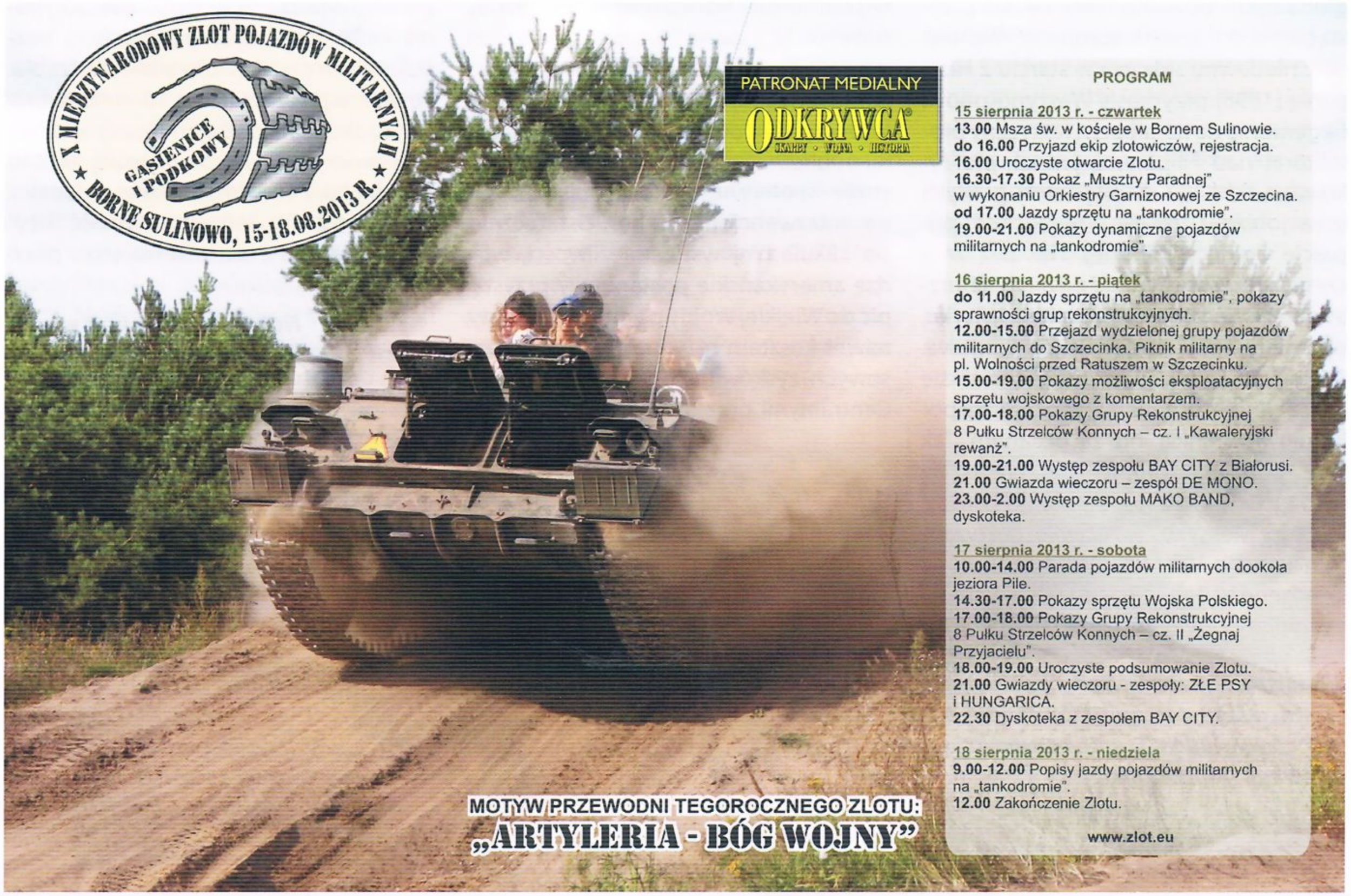

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 3)

Kieszonkowa artyleria „Wuja Sama”

TEKST: PIOTR GALIK

Rewolwer Colt M1892 z futerałem. Podstawowy rewolwer służbowy amerykańskich sił zbrojnych na przełomie XIX i XX wieku.

Nabój .38 Long Colt z wystającą kryzą i miękkim, ołowianym pociskiem.

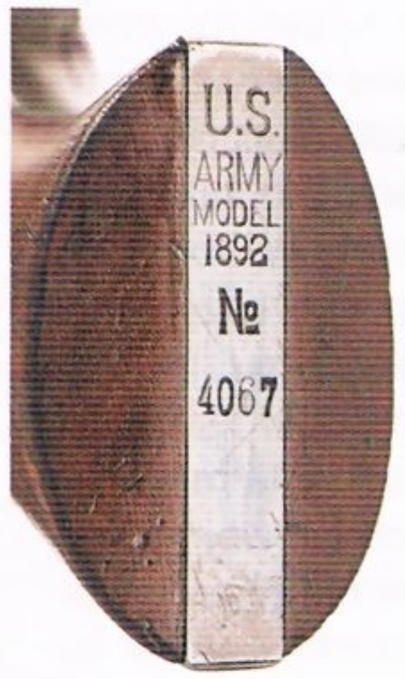

Typowe oznaczenia Colta M1892 jako broni wojskowej. Produkowano także wiele jej odmian, przeznaczonej na rynki cywilne. Z reguły nie opatrywano ich takimi opisami.

Gdy w roku 1914 Europa pogrążyła się w wojennym zamęcie, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, nowe mocarstwo o ambicjach globalnych, powstrzymały się od przystąpienia do działań zbrojnych. Wprawdzie niedawne sukcesy w starciu z Hiszpanią (1898) przyniosły Waszyngtonowi hegemonię na Karaibach i faktyczny protektorat nad Filipinami, jednak praktykowana od kilku dziesięcioleci polityka izolacjonizmu, miała powszechne poparcie opinii publicznej. Nie bez znaczenia pozostawały także wpływy burzliwych wydarzeń w sąsiednim Meksyku, ogarniętym rewolucją i wojną domową. Amerykański wyborca interesował się znacznie bardziej wydarzeniami za południową granicą, niż za oceanem. Tak więc oddziały zbrojne USA wyruszyły w roku 1914 do boju, ale nie do Europy, lecz do Meksyku, przeciwko partyzantom Pancho Villi. Rozgłos zyskał wówczas generał John „Black Jack” Pershing, późniejszy dowódca Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych we Francji. Jeszcze zanim to nastąpiło, nieliczni amerykańscy ochotnicy (za cichym przyzwoleniem Departamentu Stanu) walczyli w szeregach armii francuskiej i belgijskiej. Największą sławę zyskała wówczas ochotnicza lotnicza eskadra myśliwska „Laffayette”. Wyczyny amerykańskich pilotów zyskały duże zainteresowanie opinii publicznej, stopniowo zmieniając nastroje społeczne z izolacjonistycznych na interwencjonistyczne. Ostatecznie, po kilkuletniej wstrzemięźliwości, władze amerykańskie postanowiły przystąpić do Wielkiej Wojny po stronie Ententy, nawet kosztem rezygnacji z dotychczasowych zysków z handlu z Państwami Centralnymi oraz utraty poparcia wpływowych politycznych lobbies imigranckich: irlandzkiego i niemieckiego. Decyzję tę ułatwiły działania niemieckich U-Bootów, które realizując strategię „nieograniczonej wojny podwodnej”, rozpoczęły ataki na statki pływające pod neutralną banderą USA oraz niefortunna próba wciągnięcia Meksyku do sojuszu militarnego przez dyplomację Berlina. W kwietniu 1917 r. prezydent Woodrow Wilson uzyskał zgodę Kongresu (373 głosy „za”, 50 „przeciw”) na wypowiedzenie wojny Niemcom i ich sojusznikom. Siły zbrojne rozpoczęły intensywne przygotowania do walki. Europejski debiut wojenny The Yanks, jak z sympatią nazywano amerykańskich żołnierzy, był także surową próbą dla używanego przez nich sprzętu i uzbrojenia.

Silniejszy rewolwer Colt New Service .45 LC, który zastąpił M1892, nie odbiegał wyglądem – ani konstrukcją – od swego poprzednika.

Wojskowe dziedzictwo „Dzikiego Zachodu”

Amerykańska armia wcześnie doceniła znaczenie krótkiej broni palnej w walce. Już podczas wojny secesyjnej (1861-1865) okazało się, że kawalerzyści obu walczących armii zdecydowanie wolą posługiwać się w starciu bezpośrednim parą rewolwerów, niż szablą. Pewien wpływ miała na to niefortunna konstrukcja najpopularniejszej ówczesnej amerykańskiej broni białej M1840 (znanej jako Old Wristbreaker – „łamacz nadgarstków”), jednak szybkość użycia rewolweru i siła rażenia jego poci-

Nabój .45 Long Colt w wersji z wydrążonym pociskiem w płaszczu miedzianym. Taka amunicja była zakazana konwencjami międzynarodowymi i używanie jej w walce było w świetle prawa przestępstwem...

sku rzeczywiście zdeklasowały tradycyjne pojedynki szermiercze… Kojarzone nieodmiennie z legendarnym Dzikim Zachodem bębenkowce różnych kalibrów, modeli i producentów, pozostały w uzbrojeniu amerykańskich żołnierzy aż do początku XX wieku. Podstawowym modelem wojskowego rewolweru, był wówczas Colt M1892, wyróżniający się elegancką sylwetką i zastosowaniem umiarkowanie nowoczesnych, jak na swoje czasy, rozwiązań konstrukcyjnych. Bęben, mieszczący sześć nabojów, opatrzony był mechanizmem pozwalającym na wychylenie go ku lewej stronie dla rozładowania lub załadowania. Broń pozbawiona była automatycznego mechanizmu usuwania łusek, a zatem bęben należało opróżnić za pomocą przesuwanego pręta, zamocowanego w szkielecie rewolweru, połączonego z wyrzutnikiem wypychającym łuski z komór nabojowych. Mechanizm spustowo-kurkowy skonstruowano w systemie „podwójnej akcji", czyli kolejne strzały można było oddawać albo po wcześniejszym manualnym napięciu kurka (wtedy spust wymagał mniejszej siły nacisku, co poprawiało celność), albo poprzez wykorzystanie samonapinacza, uruchamianego dłuższą drogą języka spustowego. Rewolwer ważył blisko kilogram, nie był więc przesadnie ciężki. Lufa o długości 6 cali (152 mm) nadawała pociskowi prędkość wylotową 235 m/s. Broń wykorzystywała standardowe, „firmowe" naboje .38 Long Colt (średnica pocisku wynosiła 9,2 mm). Bęben mieścił 6 naboi. Rewolwer Colta wprowadzono do uzbrojenia trzech głównych rodzajów sił zbrojnych, z drobnymi modyfikacjami pozwalającymi odróżnić Army Model – po gładkich okładzinach rękojeści – wykonanych z drewna orzechowego. Navy Model opatrzono okładzinami wykonanymi z utwardzonego kauczuku, podczas gdy opracowany w 1905 roku Marine Corps Model posiadał okładziny drewniane, karbowane dla poprawy pewności chwytu. Wspólnym dla wszelkich odmian wojskowych detalem, tego bardzo „kowbojskiego" rewolweru, było uszko do mocowania sznura zabezpieczającego przed zgubieniem broni. Powstały także liczne odmiany i modyfikacje tej konstrukcji, produkowane na potrzeby tradycyjnie chłonnego amerykańskiego rynku cywilnego oraz policji i straży stanowych. O ile w zastosowaniach pozawojskowych broń spełniała na ogół oczekiwania użytkowników, to siły zbrojne zwróciły uwagę na umiarkowaną siłę rażenia pocisku Colta M1892.

Colt New Service w użyciu. Widoczny typowy sposób składania się do strzału z rewolweru. W przypadku pistoletu automatycznego, wykorzystującego odrzut lufy, zbyt mały dystans pomiędzy „latającym" zamkiem a ciałem strzelca mógł spowodować kontuzję…

Podczas walk korpusu ekspedycyjnego US Army z filipińskimi powstańcami z plemienia Moro, w latach 1899-1902, okazało się wielokrotnie, że trafienie przeciwnika nie oznaczało jego wyeliminowania z walki. Pozostający pod wpływem narkotyków wojownicy Moro, mimo otrzymanych postrzałów z Colta .38 często kontynuowali atak, raniąc lub zabijając ostrzeliwujących ich amerykańskich żołnierzy. Aby zapobiec takim przypadkom, konieczne było uzbrojenie wojska w broń o wyraźnie zwiększonej energii i sile niszczącej pocisku. W niedługim czasie rozpoczęto zastępowanie rewolweru M1892 modelem o większym kalibrze. Wybór padł na inną konstrukcję Colta. Produkowany od 1898 r. New Service Model, podobny do swojego lżejszego poprzednika, także sześciostrzałowy, dostosowany był do znacznie silniejszej amunicji oznaczanej jako .45 Long Colt. Pocisk o kalibrze 11,43 mm wykonywany był z miękkiego ołowiu, co powodowało, że deformował się (grzybkował) podczas uderzenia o cel. Z czasem zwiększono jeszcze ten efekt, produkując pociski o wydrążonych wierzchołkach. Większy niż w nabojach .38 cala ładunek prochowy poprawiał znacznie energię pocisku. W efekcie Colt New Service zapewniał skuteczne porażenie przeciwnika, który nie tylko doznawał masywnych obrażeń wywołanych deformacją pocisku w ranie, ale także padał pod wpływem siły jego uderzenia. Przed przystąpieniem USA do wojny broń poddano modernizacji.

… trudno jednak było zwalczyć stare nawyki. Pistolet M1911 wymagał innej postawy strzeleckiej!

Tak powstał Colt M1917, dostosowany w ramach standaryzacji amunicji do nabojów .45 ACP, takich samych, jakimi strzelał najbardziej rozpowszechniony w świecie amerykański pistolet automa-

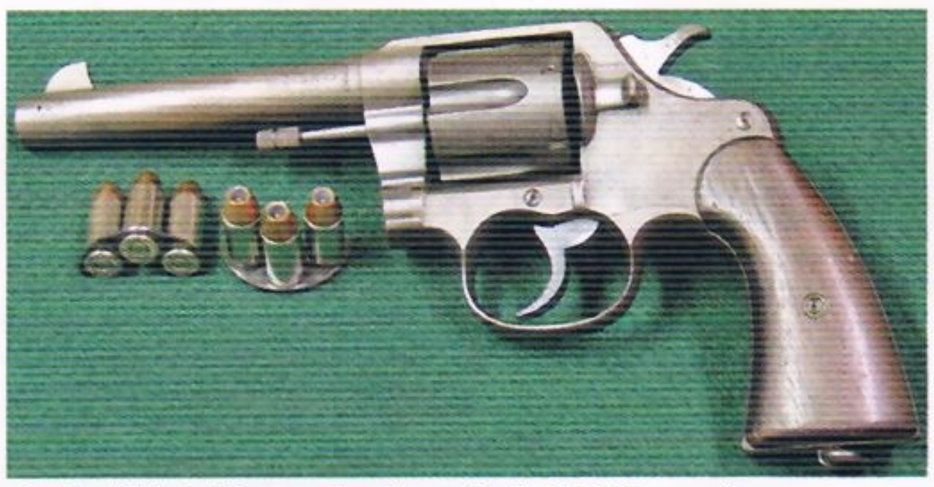

Colt M1917 z nabojami .45 ACP umieszczonymi w charakterystycznych blaszanych ładownikach.

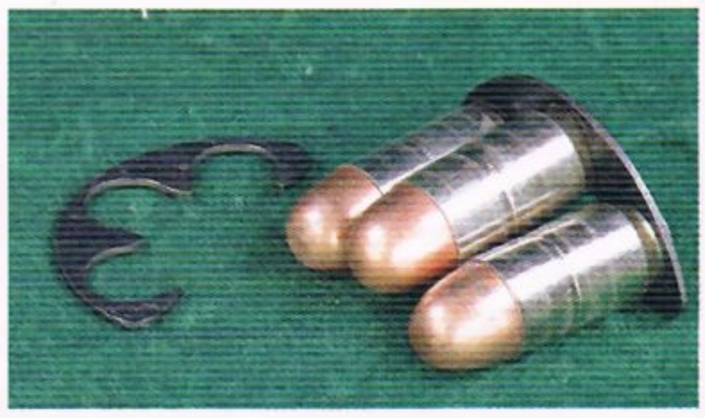

Naboje .45 ACP w wersji „legalnej" z pełnym pociskiem przygotowane do załadowania do bębna Colta M1917.

Amerykańscy żołnierze z rewolwerami. Producenci pistoletu M1911 nie byli w stanie sprostać potrzebom armii, więc tradycyjne bębenkowce – nie tylko Colty, ale i inne modele, zamawiane w zastępstwie przez armię lub nabywane prywatnie – musiały służyć na froncie. Regulaminowo powinny być noszone w futerale przypiętym po prawej stronie do pasa głównego, rękojeścią ku tyłowi. W praktyce, jak widać, bywało różnie…

tyczny, czyli M1911. Modyfikacja ta, stanowiąca realizację zrozumiałych postulatów służb logistycznych, oznaczała odczuwalne utrudnienie dla użytkownika broni. Łuski nabojów .45 ACP miały konstrukcję dostosowaną do pistoletowego magazynka – nie posiadały wystającej kryzy denka. Dlatego w rewolwerach M1917 konieczne było użycie specjalnych, blaszanych ładowników, utrzymujących naboje w komorach bębna. Ponadto nie działał typowo rewolwerowy wyrzutnik i łuski trzeba było usuwać z bębna przy użyciu wycioru lub innego podręcznego przedmiotu, np. ołówka, co negatywnie wpływało na szybkostrzelność broni. Mimo tak poważnej wady, rewolwery tej wersji pozostały w uzbrojeniu amerykańskich żołnierzy aż do końca II wojny światowej. Co więcej, na zamówienie Brytyjczyków powstał wariant dostosowany do standardowej amunicji Royal Army – .455 Webley. W siłach zbrojnych Kanady, dominium brytyjskiego, używano standardowych rewolwerów amerykańskich, bez żadnych modyfikacji. Ogółem wyprodukowano ok. 60 tys. eksportowych egzemplarzy Colta New Service. Oprócz modeli militarnych, jeszcze przez długi czas produkowano wiele tysięcy egzemplarzy cywilnych, o różnych długościach i kalibrach lufy.

Warto dodać, że oprócz broni standaryzowanej, produkowanej wyłącznie na potrzeby amerykańskich sił zbrojnych, w użyciu pozostawało wiele broni prywatnej, nabywanej przez kadrę zawodową odpowiednio do upodobań posiadaczy. Tak więc na Front Zachodni trafiły również inne typy rewolwerów. Wśród nich licznie reprezentowane były różne warianty

Naboje .45 ACP w wersji standardowej.

Rewolwer Smith & Wesson M1917 strzelający nabojami .45 ACP wraz z futerałem i ładownicą oraz amunicją w ładownikach.

broni produkcji firmy Smith & Wesson, największego konkurenta Colta. Pomimo swoich wad i archaizmu konstrukcji, w amerykańskich siłach zbrojnych rewolwery, choć zdominowane przez pistolety automatyczne, pozostały w służbie aż do końca XX wieku. W wielu formacjach paramilitarnych, służbach ochrony i oddziałach policji stanowych nadal stanowią osobiste uzbrojenie funkcjonariuszy…

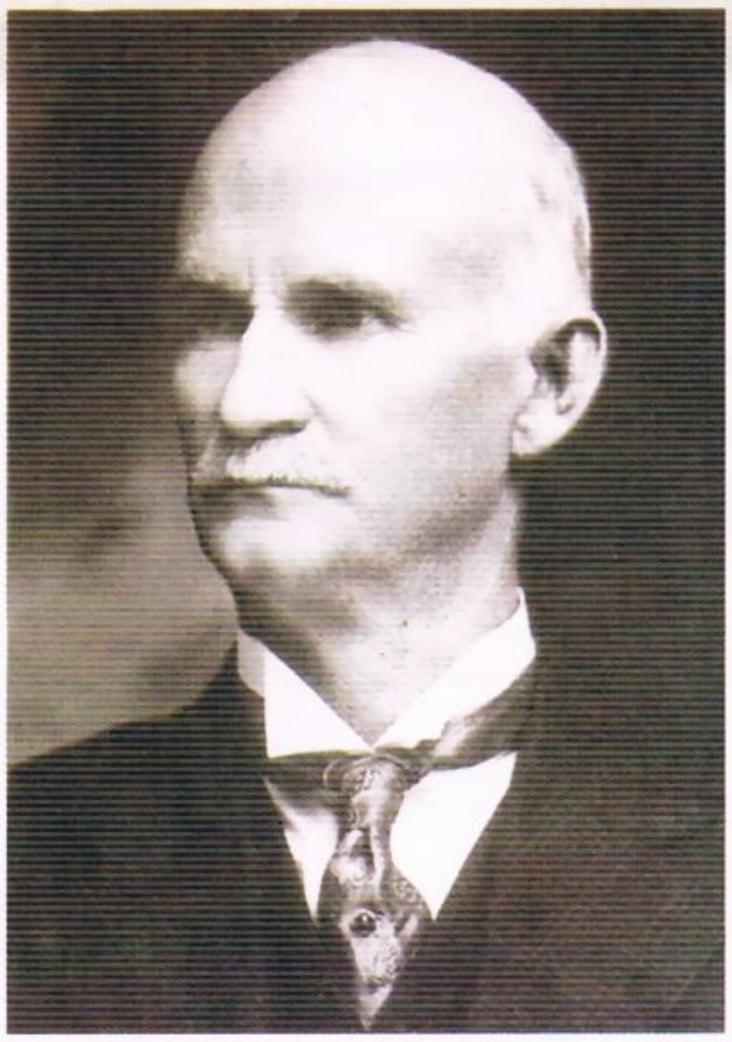

John Browning, konstruktor, który zrewolucjonizował świat krótkiej broni palnej…

… i jego wcześniejsze dzieła: cywilny FN M1900 oraz wojskowy Colt M1900, bezpośredni przodek „cudownej jedenastki".

Cudowna jedenastka, czyli najsłynniejsze dzieło Johna Browninga

Ujawnienie niedostatecznej skuteczności Colta M1892 wywołało energiczną reakcję armii, ale także konstruktorów i producentów broni, dostrzegających szansę na zamówienia rządowe. Wśród konkurentów do roli „ojca nowego oręża" znalazł się także słynny twórca nowego typu broni krótkiej – pistoletu automatycznego wykorzystującego zasadę odrzutu lufy – John Browning. Do najbardziej znanych jego konstrukcji należał mały pistolet FN M1900 kalibru 7,65×17, opracowany z myślą o rynku cywilnym w Europie. Warto dodać, że taką bronią posługiwali się chętnie spiskowcy z PPS-Frakcji Rewolucyjnej, jak Józef Piłsudski i Walery Sławek, a także członkowie serbskiej organizacji Czarna Ręka, m.in. Gavrilo Princip, który z małokalibrowego Browninga zastrzelił austrowęgierskiego następcę tronu, dając mocarstwom pretekst do wywołania Wielkiej Wojny…

John Browning myślał poważnie także o broni dla armii. Po nieudanych eksperymentach z pistoletem o konstrukcji wykorzystującej gazy prochowe, opracował eksperymentalny pistolet Colt M1900, strzelający amunicją kalibru .38 ACP, czyli 9×23 mm SR. Siedem naboi mieściło się w pudełkowym magazynku, wsuwanym w rękojeść broni od dołu. Największą wadą tej broni, było niedostateczne zabezpieczenie przed przypadkowym wystrzałem. Konstrukcję Browninga poddano oficjalnym testom wytrzymałościowym, by sprawdzić, czy sprosta wymaganiom sił zbrojnych. Pistolet M1900 spisał się w nich lepiej, niż potencjalni konkurenci (Mauser C-96 i Mannlicher M1894), jednak ostatecznie uznano, że wybór padnie na rewolwer o większym kalibrze – Colt New Service. Doświadczenia i wnioski płynące z niepowodzenia wpłynęły na Johna Browninga motywująco. Dostosowując się do wymagań wojska, rozpoczął on pracę nad zmodyfikowaną wersją pistoletu automatycznego, dostosowanego do mocnej amunicji .45 ACP. W wyniku kolejnych prób powstał Colt M1911, oręż, który swoją bojową karierą, ilością egzemplarzy i długim czasem służby przyćmił wszystkie inne pistolety XX wieku. Data w nazwie modelu jest nieco myląca, nie oznacza bowiem roku konstrukcji (1905), lecz standaryzacji w US Army. Praktyczne testy broni odbyły się w roku 1907, podczas kolejnego konkursu na regulaminową broń krótką amerykańskich sił zbrojnych. Tym razem konstrukcja Browninga zdeklasowała wszelką konkurencję. Wprowadzony do uzbrojenia w 1911 r. Colt M1911 (po drobnych zmianach w okresie międzywojennym określany jako M1911A1), znalazł swojego następcę dopiero w roku 1986, a więc po 75 latach! W wielu pozawojskowych formacjach mundurowych, organizacjach paramilitarnych, firmach ochroniarskich i na rynku cywilnym wciąż

Pistolet Colt M1911: schemat konstrukcyjny, egzemplarz wojenny z futerałem i pasem oraz – już w wersji M1911A1- podstawowe elementy po rozłożeniu broni.

Przepisowy sposób noszenia pistoletu. Fotografia z 1918 roku.

„Wytęż wzrok i znajdź szczegóły"... którymi różnił się Colt M1911 od wersji A1!

pozostaje często nabywaną i używaną konstrukcją. O powodzeniu broni zadecydowała nie tylko jej niezawodność i duża siła rażenia. Nie bez wpływu pozostawał także nowoczesny wygląd, kontrastujący z „antycznymi" rewolwerami czy niezgrabnymi pistoletami innych firm. Co ważne, Colt Browninga wyróżniał się znaczną szybkostrzelnością (magazynek na siedem nabojów można było szybko zastąpić po ich wystrzeleniu kolejnym magazynkiem) i wysokim stopniem zabezpieczenia. Oprócz klasycznego nastawnego mechanizmu skrzydełkowego, montowanego po lewej stronie szkieletu broni (pozycja górna – zabezpieczony, dolna – odbezpieczony), dodatkowy bezpiecznik umieszczony jest w rękojeści. Przy prawidłowym uchwyceniu pistoletu bezpiecznik zostaje automatycznie zwolniony, umożliwiając oddanie strzału. Bez nacisku dłoni strzelca, bezpiecznik chwytowy chroni przed przypadkowym wystrzałem, np. w wyniku upuszczenia pistoletu na twarde podłoże. Także zewnętrzny kurek działa jako dodatkowy bezpiecznik, gdyż może zostać ustawiony w pozycji uniemożliwiającej odpalenie. Do mankamentów M1911 zaliczano znaczną masę, oraz wadę wynikającą z samej konstrukcji broni – gwałtowny ruch przesuwnej części mechanizmu ku tyłowi podczas strzelania, zagrażał nieoczekiwanymi kontuzjami tym strzelcom, którzy przyzwyczaili się do używania rewolweru, a zwłaszcza do klasycznie amerykańskiego „strzału z biodra". Produkcja M1911 nie nadążała w stosunku do wielkich potrzeb rozrastającej się nagle armii USA oraz zleceniodawców zagranicznych. Dlatego wielu amerykańskich żołnierzy pozostało przy starszych modelach broni bocznej.

Wersja wyrabiana na zamówienie Wielkiej Brytanii, była dostosowana do jeszcze silniejszej amunicji .455 Auto, czyli 11,56×24 mm. Pistolet Browninga doczekał się także wersji produkowanych za granicą. Były wśród nich zarówno „oficjalne", licencjonowane, jak norweski Model 1912 Kongsberg Colt, różniący się od pierwowzoru nieco odmiennym zaczepem zamka i argentyński Model 1927 Sistema Colt, jak również wiele „pirackich kopii" i „klonów", zwłaszcza pochodzących z Chin czy krajów latynoskich. Rewelacyjna konstrukcja Johna Browninga wpłynęła także na twórców najsłynniejszego polskiego pistoletu – Visa wz. 35.

Podczas II wojny światowej pistolety Colt trafiły także do oddziałów Polskich Sił Zbrojnych oraz (dzięki zrzutom lotniczym) do konspiratorów i partyzantów w Kraju. Używano ich także podczas Powstania Warszawskiego.

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg,„Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

W numerze czerwcowym (6/173) z 2013 roku ogłosiliśmy ostatni, III etap wielkiego konkursu na 15-lecie „Odkrywcy". Składał się on z trzech etapów. Każdy etap, to pięć pytań, na które należało odpowiedzieć przesyłając sms. W każdym etapie nagradzaliśmy książkami pierwszych 10 uczestników, którzy przesłali poprawną odpowiedź. Natomiast główną nagrodą będzie gra komputerowa, którą otrzyma 10 uczestników wszystkich trzech etapów.

Przedstawiamy obok zwycięzców III etapu, którzy otrzymują od nas publikacje książkowe:

- Wiesław Mączkowski
- Mariusz Kostecki
- Bożena Zalewska
- Roman Żuk
- Mariusz Dybek
- Leszek Hoppe
- Anna Kępa
- Karolina Kulik
- Arkadiusz Kamiński
- Waldek Kopicki

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na pytania:
1B; 2C; 3A; 4A; 5B;

Jednocześnie przypominamy, że w numerze lipcowym (7/174) zamieściliśmy wszystkie 15 pytań konkursu na 15-lecie „Odkrywcy" z myślą o wszystkich, którzy przeoczyli, któryś z jego etapów.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursach. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Gorąco zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, kto nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

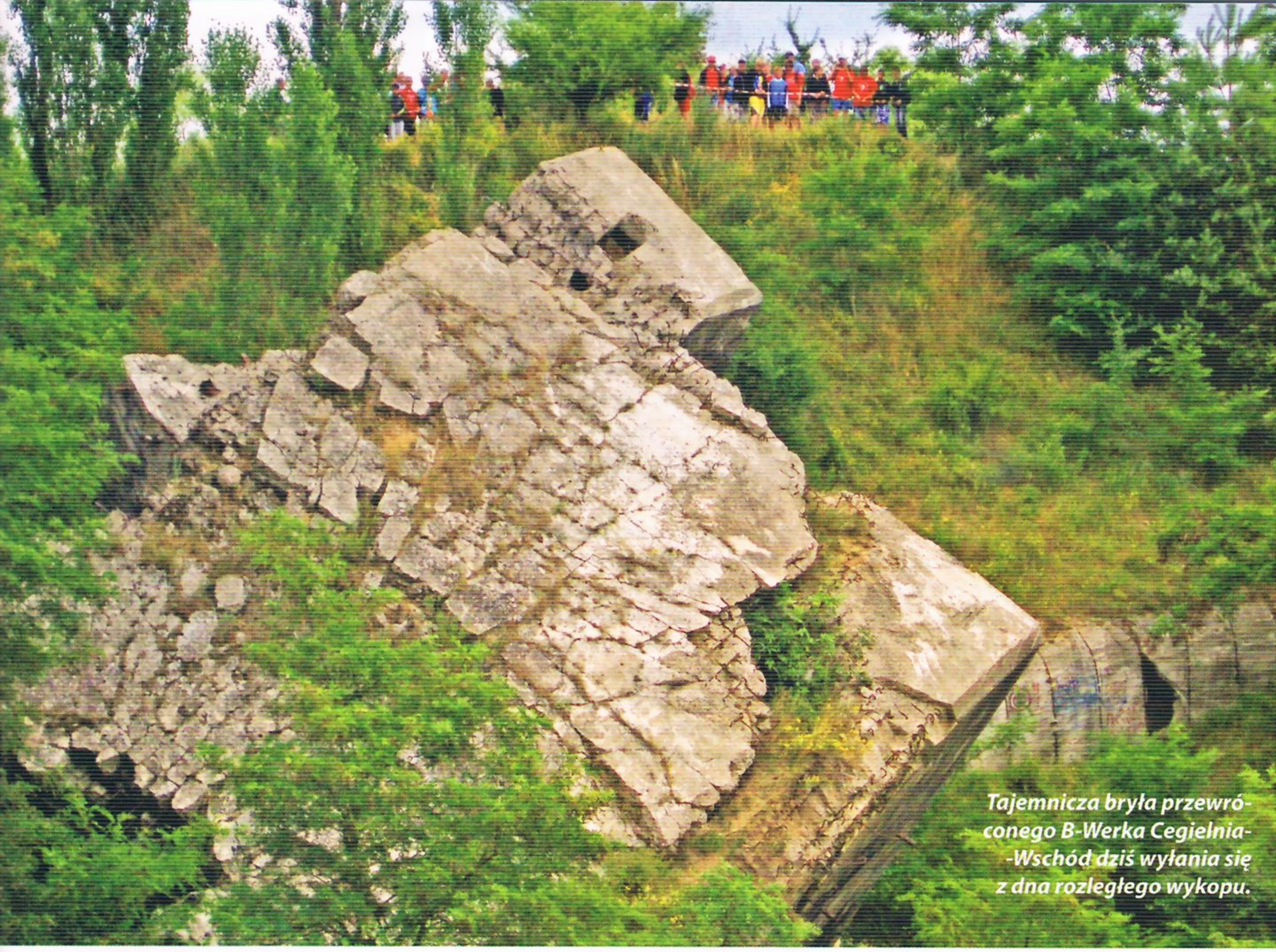

Tajemnicza bryła przewróconego B-Werka Cegielnia--Wschód dziś wyłania się z dna rozległego wykopu.

Tylko dla wytrwałych,
czyli rajd Szlakiem Umocnień Wału Pomorskiego

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

TEKST I ZDJĘCIA: JERZY SADOWSKI

W dniach 10-11 lipca br. w Wałczu został zorganizowany rajd miłośników historii i fortyfikacji, którego paralelną nazwą mogłoby być seminarium terenowe. Bowiem celem było połączenie walorów poznawczych fortyfikacji Wału Pomorskiego w terenie, ze spotkaniem przy ekranie i prezentacjami multimedialnymi oraz dyskusją. Organizatorem było Muzeum Ziemi Wałeckiej, a dokładniej – Skansen Fortyfikacyjny „Cegielnia" oraz Stowarzyszenie FORTISO, które reprezentował pan Marcin Dudek, a także miesięcznik „Odkrywca", który reprezentował wyżej podpisany. Pełny program, wraz z warunkami uczestnictwa, został opublikowany w internecie – oferował zarówno wycieczki piesze, jak i trasę rowerową. Ponadto, na zakończenie każdej z tras rajdu, organizator zapewniał bezpłatny poczęstunek, aby uczestnicy mogli zregenerować siły. Program popołudniowy pozwalał na odrobinę relaksu przed ekranem w sali dydaktycznej, a długi dzień zapewniał czas na wieczorne ognisko.

Dzień pierwszy zaplanowano pod znakiem poznawania najważniejszych miejsc w systemie fortyfikacji Pozycji Pomorskiej otaczających Wałcz. Zaczęliśmy od omówienia miejsc będących celem rajdu, korzystając z plansz informacyjnych znajdujących się na terenie Skansenu Fortyfikacyjnego „Cegielnia". Pierwszym z celów grupy uczestników rajdu stał się B-Werk Cegielnia-Zachód, tam omówiono funkcje jego elementów, oraz zadania bojowe dzieła tego typu. Wędrówkę szlakiem umocnień Wału Pomorskiego rozpoczęliśmy od poznania stanowiska bojowego wysuniętego nad jezioro Cegielnia, gdzie imponująco piętrzą się stoki dawnych wyrobisk piasku, a mimo to przetrwało nieco pierwotnego krajobrazu fortecznego. Ponieważ czekały na nas inne ciekawe miejsca na linii wałeckich fortyfikacji, szybko ruszono w kierunku B-Werka Wschód i podziemnego chodnika łączącego go z kolejnym, wysuniętym stanowiskiem bojowym. Korzystając z ilustracji na ustawionej tu planszy informacyjnej, pan Marcin Dudek obrazowo opowiedział o funkcjonowaniu tego dzieła oraz o rodzajach osłon stosowanych w budowlach obronnych i ich grubości wynikającej z użytego materiału.

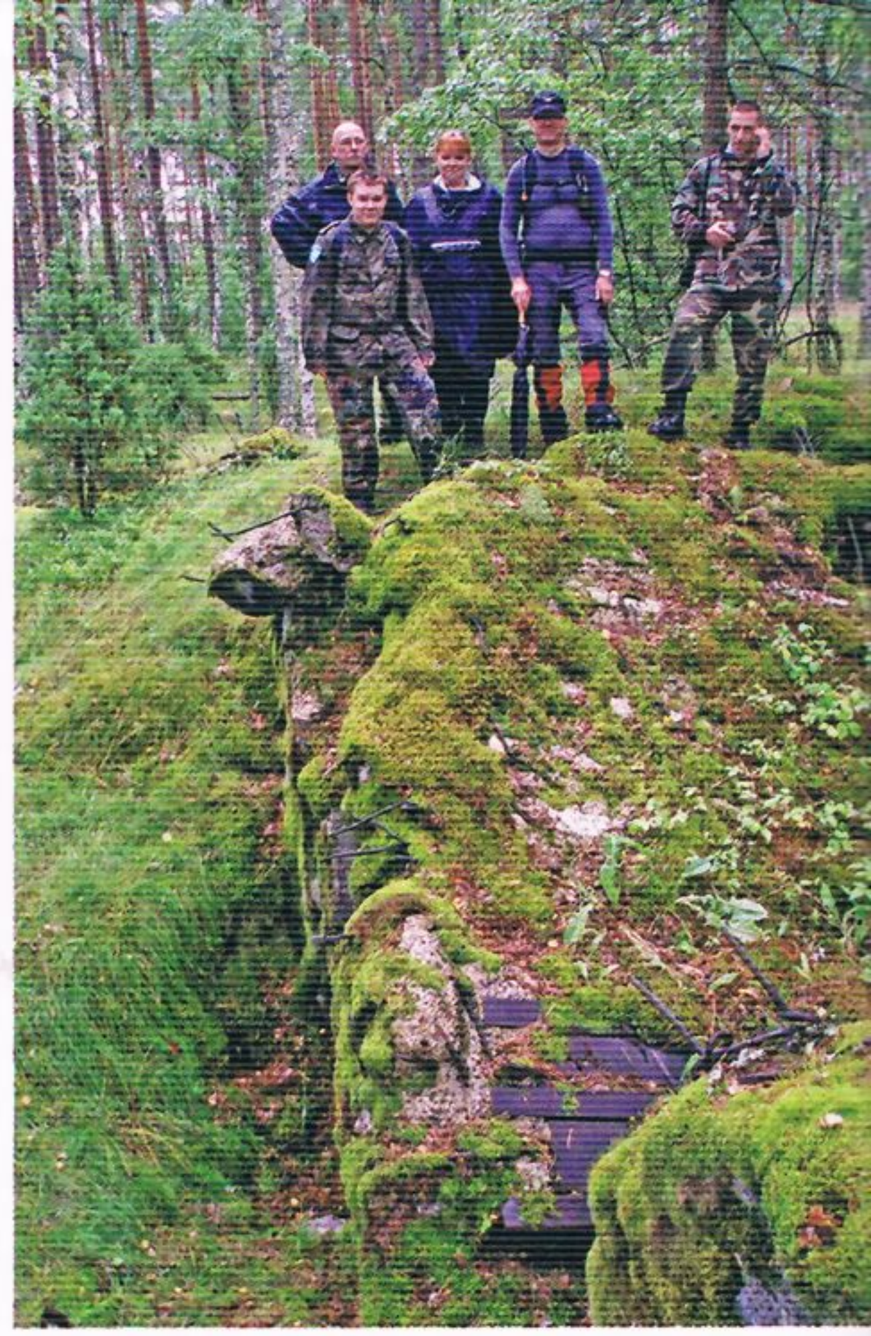

Kolejnym etapem rajdu zaplanowanym na pierwszy dzień, było odszukanie i zwiedzenie B-Werka Marianowo, ukrytego w trudno dostępnych lasach nadleśnictwa Płytnica. Wędrowaliśmy do niego na przełaj, następnie odcinkiem dawnego toru kolejowego Wałcz-Jastrowie, dalej drogami leśnymi, na końcu już tylko słabo widoczną ścieżką. Był to jeden z dłuższych etapów wędrówki, lecz wart pokonania z uwagi na niezwykle ciekawą budowlę obronną, która była naszym celem. Poznanie tej rozległej budowli, mierzącej około 60×30 metrów, to pragnienie wielu miłośników fortyfikacji. Tu, dodatkowym przewodnikiem był autor opisującej ją publikacji, który odpowiadał na wszystkie pytania zwiedzających.

Dalsza wędrówka prowadziła wzdłuż kolejnych schronów odcinka, a punktem zwrotnym był ukryty w zielonym gąszczu schron dowodzenia odcinkiem „Ma.". Na zakończenie tego etapu zatrzymaliśmy się jeszcze przy schronie Ma.8, którego ogień skierowany był w przeciwną stronę niż linia obrony, i ruszyliśmy w kierunku koszar ufortyfikowanych. Ponieważ nieco się zachmurzyło, to przemarsz przez „patelnię" dawnych, wojskowych placów ćwiczeń okazał się niezbyt męczący. Koszary przywitały nas przelotną mżawką, aczkolwiek zapewniły też osłonę przed opadem. Natomiast znajdujące się na tym terenie niewielkie, prywatne muzeum okazało się zamknięte, mimo iż był to środek sezonu turystycznego… Z nawiązką zrównoważyła to niespodzianka, jaką przygotowała pani Magdalena Sucharska-Rola, dyrektor Muzeum Ziemi Wałeckiej będącego organizatorem imprezy. Niespodzianką była możliwość zwiedzenia wieży obserwacyjnej ukrytej w jednym z budynków dawnych koszar, oraz schronu kierowania ogniem znajdującego się przy jej podstawie. Co prawda do trasy rajdu należało doliczyć teraz wspinanie się po piętrach koszar, lecz z pewnością było warto podjąć ten wysiłek. Dalej powędrowano do schronu dowodzenia odcinkiem D.Kro.S oraz pobliskiego obiektu ukrytego pod barem „Piwo na bunkrze". Jednak na uczestników czekała już wojskowa grochówka na „Cegielni", i tam właśnie zakończyła się pierwsza część imprezy.

Po przerwie na odpoczynek wszyscy spotkali się na sali dydaktycznej Skansenu „Cegielnia", gdzie mieli okazję rozwiązać błyskawiczny test wiedzy o zwiedzanych dziś fortyfikacjach, uhonorowany nagrodami książkowymi. Następnie przedstawiono prezentacje multimedialne o wałeckich umocnieniach, zakończone krótką dyskusją, która szybko przeniosła się z kuluarów na wieczorne ognisko.

Drugi dzień rajdu wstał, niestety, pod znakiem deszczowej pogody i chyba dlatego spotkaliśmy się w mniejszym gronie niż planowano. A szkoda, ponieważ uczestników rajdu czekała wyprawa aż do granicy poligonu pod Nadarzycami, na północ od Jeziora Dobre. Zadaniem było poznanie miejsca przełamania „Wału Pomorskiego" przez 1. Armię WP w rejonie Góra Niedźwiedzia – Potok Zdrój. Grupa piesza wyruszyła z parkingu przy skansenie bojowym w Zdbicach, a grupa rowerowa z terenu Skansenu Fortyfikacyjnego „Cegielnia".

Na trasie, jako pierwszy, oglądano schron Da.3/4 „Tannenberg", następnie schron Dro.S.3 na Górze Niedźwiedziej, i rejon, którym przeszły bataliony szturmowe dowodzone przez mjr. Murawickiego. Tutaj, wędrując brzegiem potoku Zdrój zbliżyliśmy się na około 100-200 metrów od pomnika upamiętniającego przełamanie fortyfikacji przez 11. pp. 4. DP. Niestety, to ważne dla historii walk Wojska Polskiego miejsce, wchłonęła niedawno otulina poligonu lotniczego w Nadarzycach, i decyzją urzędników MON od trzech lat jest niedostępne. Czy dlatego iż dotyczy to walk niepopularnego obecnie „Ludowego Wojska Polskiego"? Tego niestety nie wiadomo.

Trasa powrotna wiodła wzdłuż linii fortyfikacji, dzięki czemu oglądano schrony Da. 9 i 10 nad jeziorem Dobre, oraz schrony odcinka „Ha." z całkowicie zachowanym obiektem obserwatora artylerii włącznie. W Skansenie „Cegielnia" wracających witał ciepły posiłek z tradycyjną wojskową grochówką, a po odpoczynku wszyscy spotkali się na sali dydaktycznej, gdzie, podobnie jak dzień wcześniej, mieli okazję rozwiązać błyskawiczny test wiedzy o zwiedzanych dziś fortyfikacjach. Imprezę zakończyły prezentacje multimedialne przybliżające historię badań Wału Pomorskiego oraz walki 1. Armii WP na podejściu do linii fortyfikacji, i o ich przełamanie, a także stan fortyfikacji na niedostępnych dziś, gdyż zajętych przez poligon odcinkach.

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

MRU – podziemna fabryka (cz. 1)

AUTOR: MARCIN DUDEK
ZDJĘCIA: M. DUDEK

Mało znanym epizodem w niezbyt długiej, jednak obfitującej w dramatyczne zwroty akcji i wydarzenia historii Frontu Fortecznego, który obecnie nosi nazwę Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, był okres, w którym system chodników Odcinka Wysoka pełnił rolę podziemnej fabryki.

W 1943 roku Niemcy utraciły nie tylko inicjatywę strategiczną na wszystkich frontach, ale również po raz pierwszy realna wojna dotarła nad ich terytorium. Stało się tak za sprawą zmiany taktyki kampanii powietrznej, prowadzonej przeciwko Niemcom. Przełom nastąpił w momencie rozpoczęcia przez zachodnich aliantów powietrznej kampanii, wymierzonej bezpośrednio w niemieckie miasta i przemysł zbrojeniowy. Do służby weszły nowe, czterosilnikowe bombowce Avro „Lancaster" i Boeing B-17 „Flying Fortress". Ich udźwig i zasięg gwarantował zniszczenie niemal każdego celu na terytorium przeciwnika, a coraz doskonalsze celowniki i systemy radarowe, gwarantowały celne bombardowanie zarówno w dzień, jak i w nocy. Amerykańskie dzienne naloty demolowały niemiecki przemysł, natomiast Brytyjczycy robili to samo z niemieckimi miastami w nocy. Za przełomowy jest powszechnie uznawany kwietniowy nalot na Schweinfurtch, centrum niemieckiego przemysłu produkcji łożysk tocznych. W sierpniu brytyjski nocny nalot niemal kompletnie zniszczył ośrodek badawczy i produkcyjny broni rakietowych w Peenemünde.

Rosnąca skuteczność nowej taktyki ataków bombowych, uświadomiły niemieckiemu kierownictwu konieczność zabezpieczenia najważniejszych gałęzi przemysłu zbrojeniowego przed zniszczeniem. W przypadku dużych zakładów, jak: stocznie, stalownie, rafinerie i oczywiście miasta, możliwe było wzmocnienie obrony przeciwlotniczej, maskowanie oraz zadymianie. Mniejsze zakłady miały zostać rozproszone, przeniesione do małych miejscowości lub ukryte pod ziemią. To ostatnie rozwiązanie dawało najlepsze efekty, bowiem fabryka stawała się niemal niewrażliwa na bombardowanie i mogła pracować w ruchu ciągłym, pomimo alarmów lotniczych. Jednak było ono jednocześnie najdroższe i najbardziej skomplikowane pod względem technicznym. Zwłaszcza drążenie nowych sztolni. W pierwszej kolejności postanowiono sięgnąć do istniejących, nierzadko nieużywanych lub zgoła opuszczonych budowli podziemnych. Ruszyła więc akcja inwentaryzacji dostępnych podziemi w niemal całej podbitej przez Niemców Europie. W tej sytuacji 32 km podziemnych chodników nieukończonego Frontu Fortecznego w Łuku Odry i Warty nie mogło pozostać niezauważone. W sporządzonym w kwietniu 1944 r. dokumencie, będącym podsumowaniem inwentaryzacji, możliwa do wykorzystania na cele przemysłowe powierzchnia komór i chodników została określona na 75 tys. m kw. Od czasu przerwania budowy, której ostatnie roboty zabezpieczające miały miejsce prawdopodobnie w 1940 r., podziemia stały puste, i tylko ich fragmenty pełniły co najwyżej funkcje ma-

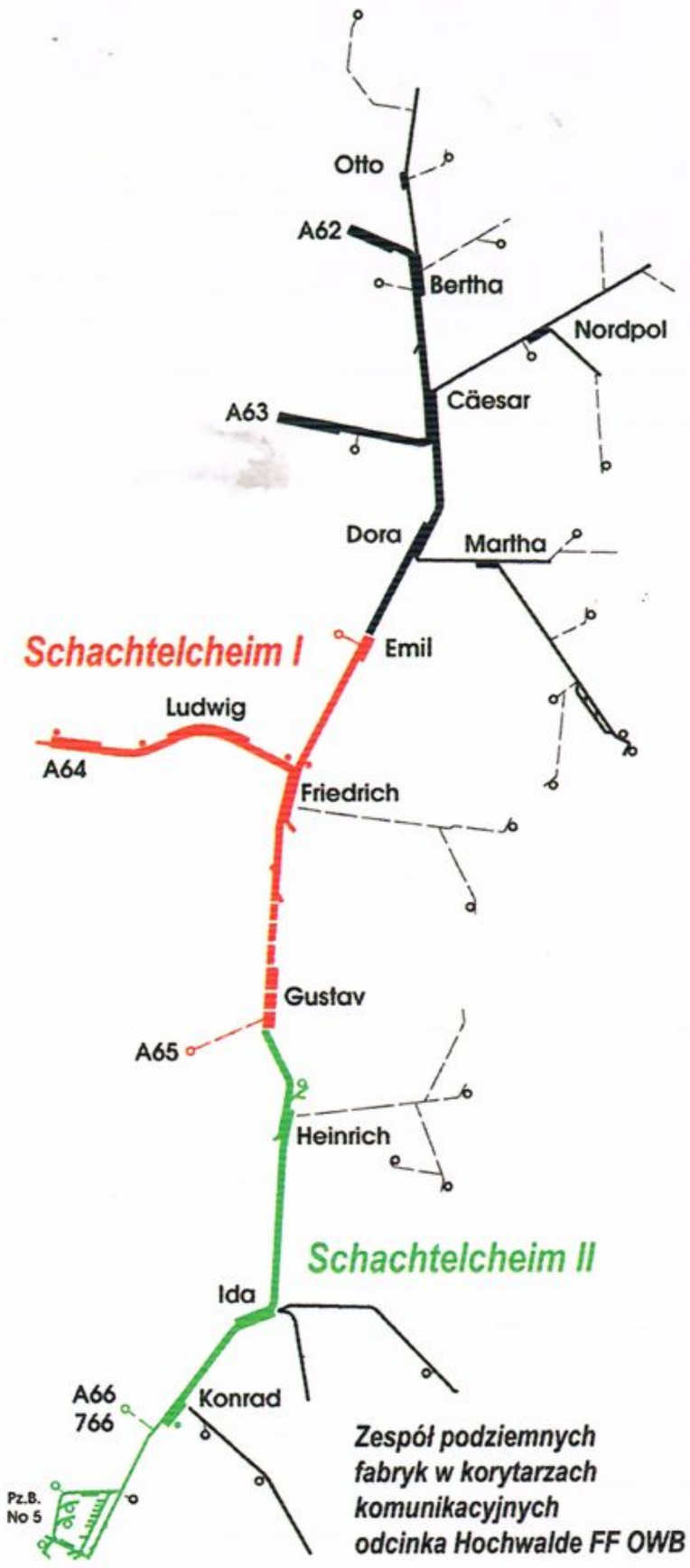

Zespół podziemnych fabryk w korytarzach komunikacyjnych odcinka Hochwalde FF OWB

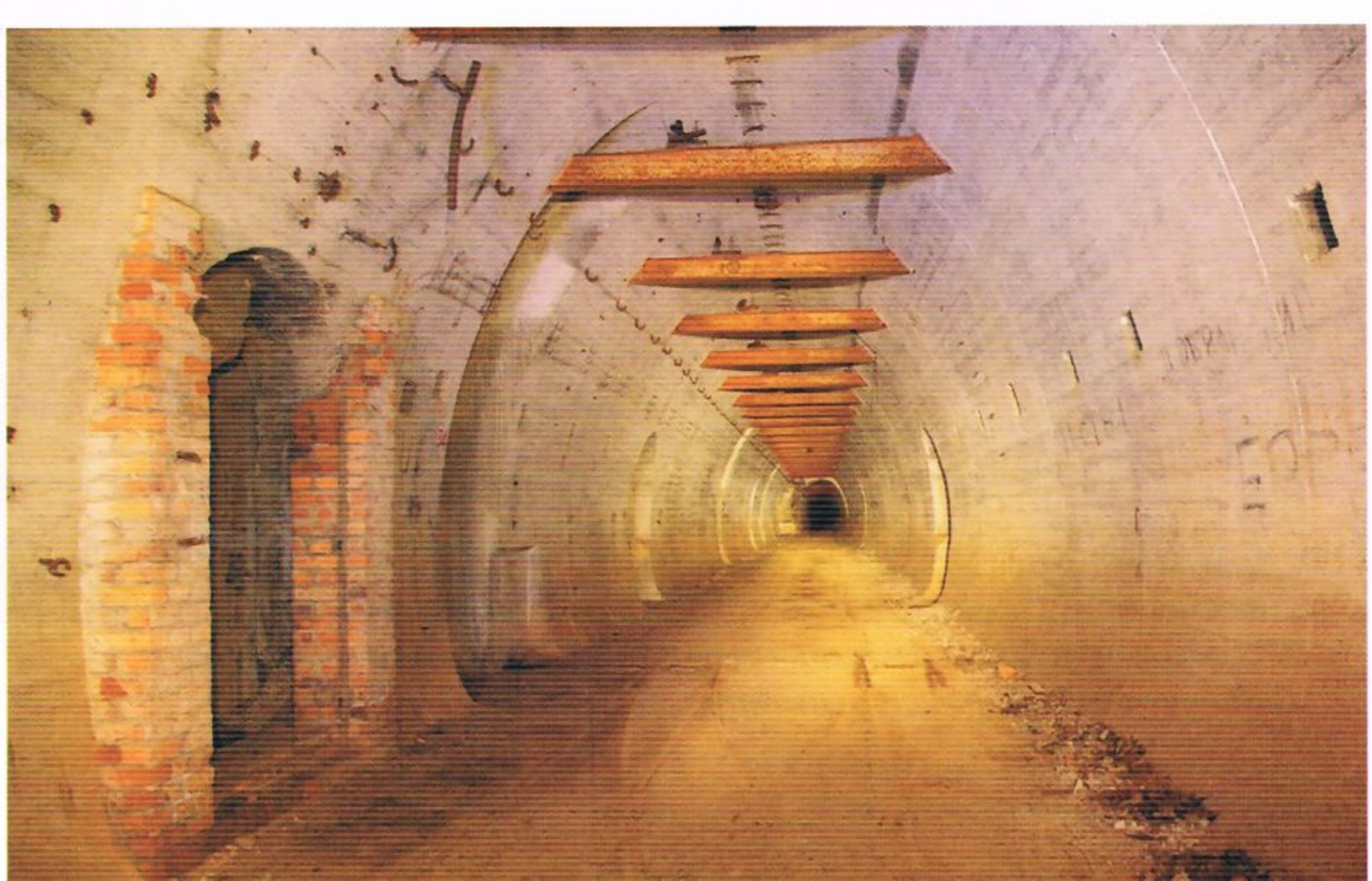

Komora dworca A64 (Eingangs Bahnhof), widok w kierunku dworca L. W górnej części widać stalowe profile do ułożenia, zdemontowanych obecnie rurociągów. Drewniane klocki są śladem po instalacji niskiego napięcia. Na lewej ścianie chodnika widać również haki do podwieszenia przewodów średniego napięcia, a poniżej oznaczenia stanowisk roboczych.

gazynowe. Między innymi w 4 komorach na terenie dawnej, nieukończonej Baterii Pancernej Nr 5 zmagazynowano muzealia i dokumenty z Tajnego Archiwum Państwowego.

Przebudowa podziemi, które zbudowano jako system komunikacyjny, zapewniający skryte i bezpieczne zaopatrywanie schronów bojowych Frontu Fortecznego do standardów niezbędnych dla umieszczenia fabryki, nie była prosta, bowiem istniał tylko jeden wjazd do podziemi, a sieć kolejki podziemnej nie została ukończona i doprowadzona do dwóch pozostałych wjazdów, które pozostały nieczynne. Również profile chodników nie sprzyjały zastosowaniom przemysłowym. W pierwszej kolejności zainteresowanie wzbudzały elementy podziemi o największym przekroju i szerokości, a więc komory dworców (szer. na poziomie posadzki 4 m i wys. 4,2 m) i tunele o profilu głównej drogi ruchu (odpowiednio 2,8 i 3,55 m). Te wymogi najlepiej spełniały chodniki w rejonie wjazdu, które dodatkowo były optymalnie skomunikowane z powierzchnią. Jednak nawet i one nie nadawały się do wykorzystania bez montażu dodatkowych instalacji. Dlatego w tym rejonie, wiosną 1944 r., rozpoczęto pierwsze prace adaptacyjne.

Do przeniesienia wybrano zakład wchodzący w skład koncernu Daimler Benz, produkujący silniki lotnicze, zlokalizowany w miejscowości Genshagen, jednym z południowych przedmieść Berlina. I zapewne nie przypadkowo, bo stosunkowo niewielka odległość ułatwiała niezbędną, zwłaszcza w początkowym okresie działania filii, kooperację, a niemieckiemu personelowi kontakty z macierzystą firmą, jak i rodzinami, które pozostały w Genshagen. Była to duża, zbudowana bezpośrednio przed wojną, a więc nowoczesna fabryka, o rocznej zdolności produkcyjnej dochodzącej do 10 tys. silników rzędowych w układzie odwróconego V, kilku typów. Produkowane tutaj silniki stanowiły napęd podstawowych typów samolotów używanych przez Luftwaffe. W związku z rosnącym, wojennym zapotrzebowaniem, zakład cały czas był rozbudowywany. W 1944 r. ogólna powierzchnia hal produkcyjnych osiągnęła 70 tys. m kw., a liczba pracowników 15 tys. W tej liczbie około 45% stanowili robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni, a 5% więźniowie obozów koncentracyjnych. Oczywiście przeniesienie całych zakładów, składających się z wielu wydziałów, nie było możliwe, choćby ze względu na konieczność zachowania ciągłości produkcji i musiało odbywać się stopniowo, etapami.

Wiosną 1944 zapadła decyzja i rozpoczęto przenoszenie i rozpraszenie fabryki. Podziemia dawnego Frontu Fortecznego były jedną z 4 wybranych lokalizacji. Nowa filia otrzymała kryptonim „Schachtelcheim" (skrzyp polny), nadany zgodnie z obowiązującą zasadą, że zakłady umieszczone w obiektach pofortecznych otrzymywały kryptonimy pochodzące od nazw roślin. Wydane polecenia, zapewne nieco zbyt optymistyczne, przewidywały, że już 15 maja powierzchnia produkcyjna zakładu miała wynosić 4 tys. m kw., w czerwcu 10 tys., a w lipcu 1944 r. osiągnąć 17 tys. m kw. A więc przenosiny miały odbyć się w zaiste imponującym tempie. Tym bardziej że, ze względu na strukturę podziemi, prace budowlane, instalacyjne i produkcja musiały przebiegać równolegle, co wymagało nie byle jakiej organizacji. Niemniej już najbliższa przyszłość pokazała, że pośpiech był niezbędny, a decyzje o przeniesieniu i rozproszeniu podjęte niemal w ostatnim momencie, ponieważ 5 VIII 1944 r. fabryka w Genshagen stała się celem nalotu i doznała poważnych zniszczeń. Choć całkowita powierzchnia podziemi była dostatecznie duża, aby, teoretycznie, pomieścić całą fabrykę, to jednak początkowo, biorąc pod uwagę przedstawione wcześniej i nie dające się usunąć w prosty i szybki sposób ograniczenia, wchodziło w rachubę przeniesienie jedynie niektórych wydziałów i uruchomienie produkcji części do montowanych w zakładzie macierzystym silników. Jest jednak niemal pewne, o czym świadczą zachowa-

W bardziej oddalonej od wjazdu części podziemi można spotkać jeszcze zachowane rurociągi i kompensatory.

Jeden z 2 szybów wentylacyjnych w rejonie dworca F.

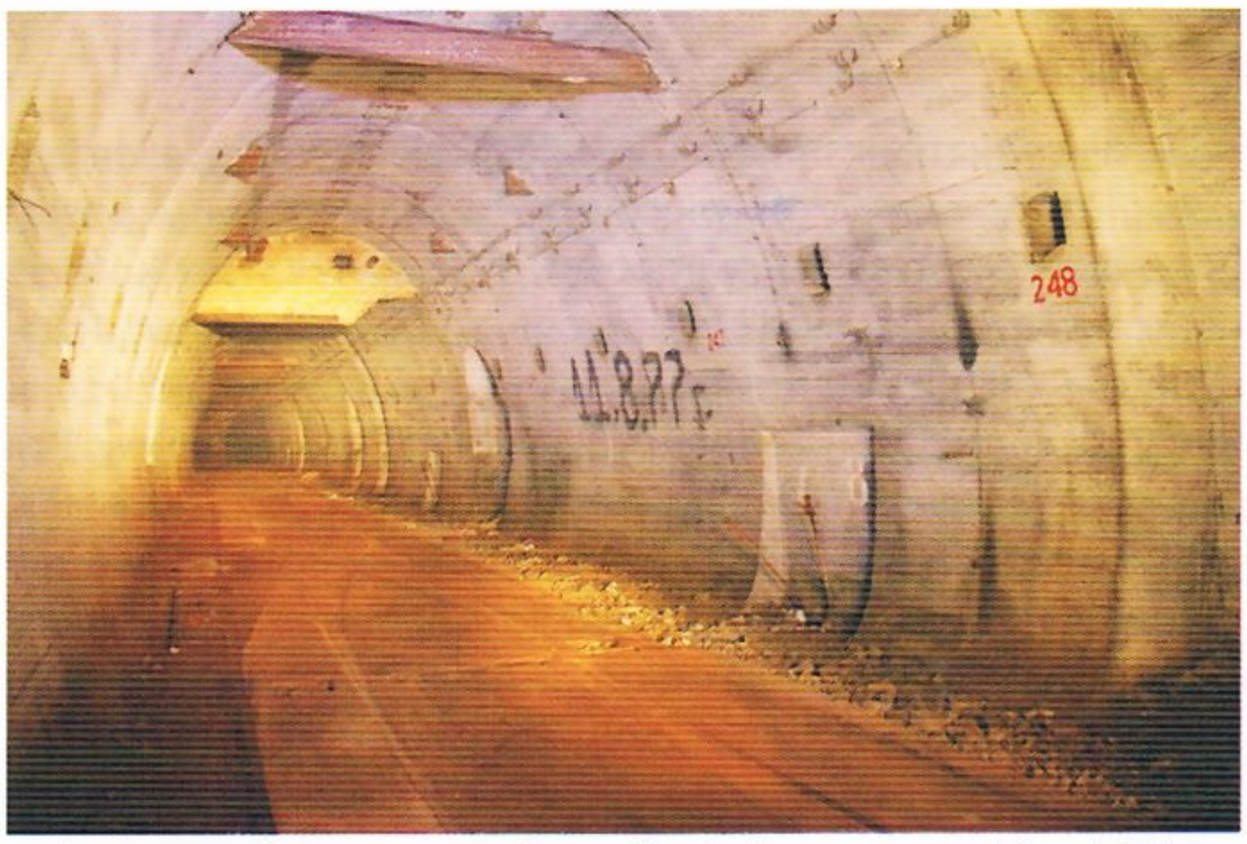

W komorze dworca F zachowały się fragmenty ścianki działowej i czytelna numeracja stanowisk roboczych.

Stacja transformatorowa na dworcu L. Napis z okresu funkcjonowania fabryki zabrania zastawiania wejścia do tego pomieszczenia.

ne ślady po pracach instalacyjnych, że w podziemiach miała się ostatecznie znaleźć cała fabryka produkująca gotowe silniki.

W sumie, wybrana w pierwszej kolejności na lokalizację fabryki część systemu, objęła 4 dworce kolejki (około 600 m długości łącznie) i około 2800 mb. tunelu o profilu głównej drogi ruchu – o łącznej powierzchni ok. 9500 m kw. Na planie podziemi, te wykorzystane korytarze układem przypominają literę T. W sztolniach znalazły się co najmniej 344 stanowiska robocze. Miejsca po nich są obecnie łatwe do identyfikacji za sprawą dużej, czytelnej numeracji w kolorze czerwonym, namalowanej na ścianie chodnika nad każdym stanowiskiem. Nie na wszystkich były zapewne ustawione maszyny i obrabiarki.

Oddzielny problem stanowiło właściwe ustawienie obrabiarek w wąskich korytarzach, co również wymagało zastosowania nietypowych rozwiązań. W korytarzach o profilu głównej drogi ruchu, do dyspozycji pozostawał jedynie wąski pas (o szer. nie większej jak 1,2 m) pomiędzy ścianą tunelu i torem kolejowym, który musiał pozostać przejezdny. Dlatego ustawienie większych maszyn było możliwe jedynie na dworcach kolejki (tam do dyspozycji był pas o szer. około 2,5 m), co z kolei powodowało zablokowanie jednego z dwóch torów. W podobny sposób wykorzystano również wszystkie, zresztą nieliczne, boczne części rozwidlających się korytarzy prowadzące do niewykonanych części podziemi. W obu tych przypadkach obrabiarki spoczywały na solidnym fundamencie nieużywanego torowiska. Aby zachować niezbędną dokładność obróbki, maszyny powinny być ustawione na masywnych fundamentach i umocowane śrubami. Jednak, zapewne z braku czasu, zrezygnowano z tej pracoi czasochłonnej metody, prowizorycznie poziomując maszyny za pomocą stalowych, kutych z płaskownika klinów, i oblewając dolną część obrabiarki rzadkim betonem. Ślady po tych pracach są jeszcze dzisiaj dobrze widoczne w wielu częściach podziemi.

Sprawa ustalenia rozmieszczenia maszyn i przeznaczenie poszczególnych stanowisk, niestety, nie jest raczej możliwa na obecnym etapie badań. Na podstawie archiwalnego filmu, na którym pokazano wywożenie maszyn z podziemi, nakręconego przez Rosjan, widać, że większość z nich stanowią klasyczne dla tego typu produkcji szlifierki i frezarki oraz pojedyncze tokarki. Na najdłuższym, (250 m), położonym bezpośrednio przy wjeździe dworcu A64 (Eingangs Bahnhof) znalazło się miejsce dla 54 stanowisk. W chodniku prowadzącym do kolejnego dworca zostało zainstalowanych 56 stanowisk o numerach od 55 do 110. Dworzec oznaczony literą L („Ludwig") o dł. 164 m został wykorzystany do instalacji zaledwie 24 stanowisk o numerach od 111 do 135. Dalszy odcinek chodnika, pomiędzy dworcem L i dworcem F („Friedrich"), który znajduje się już na głównej drodze ruchu, został przeznaczony dla 99 stanowisk o numerach od 136 do 235. Kolejny dworzec F zajmował dużą komorę o dł. aż 166 metrów. Posiadał 17 rozjazdów i pełnił w podziemnym systemie komunikacyjnym funkcję głównej stacji rozrządowej. Po adaptacji otrzymał wykonaną z cegieł ściankę działową ustawioną w 1/3 długości, która wydziela część niezbędną do sprawnego manewrowania ruchem kolejki i część przeznaczoną na cele produkcji. Przegroda ta, wyposażona w dwuskrzydłową bramę, rozdzielała prawdopodobnie również obwody wentylacyjne. Na dworcu tym umieszczone zostały stanowiska o numerach od 236 do 261 (25 stanowisk). Natomiast w znajdującej się na południowym końcu dworca F bocznej komorze o długości 40 m, która pierwotnie była przeznaczona jako stacja postojowa akumulatorowych lokomotyw elektrycznych, urządzono sanitariaty dla personelu fabryki. Przebudowa polegała na wykonaniu międzystropu dzielącego komorę (o profilu dworcowym) na 2 kondygnacje. Na górnej urządzono dwa rzędy kabin. Natomiast na dolnej znajdowały się instalacje kanalizacyjne, prawdopodobnie odprowadzające ścieki do przewidzianej dla Werków typowej pompy asenizacyjnej typu Holscheranlage, która wyrzucała je do odstojników na powierzchni. Ogólnie, starano się jednak w maksymalnym stopniu wykorzystać istniejące, gotowe już pomieszczenia i instalacje, a bardziej skomplikowane przeróbki pozostawić na późniejszy etap rozbudowy fabryki.

Dalsze stanowiska robocze znajdują się w chodniku wychodzącym z dworca F w kierunku południowym. Pomiędzy dworcem a rozwidleniem, z którego miał wychodzić chodnik prowadzący do nie wybudowanego obiektu T 7, znajdują się stanowiska robocze o numerach od 262 do 339, a dalej jeszcze 5 stanowisk, z których ostatnie ma numer 344. Zapewne w tym miejscu dalsza rozbudowa fabryki, w kierunku południowym, miała być kontynuowana, a kolejny dworzec G („Gustaw") był oddalony o 500 metrów. Wychodzący z niego w kierunku zachodnim chodnik, po 450 m dochodził do szybu o średnicy 5 m ze spiralną, betonową klatką schodową. Szyb był elementem nieukończonego obiek-

tu wejściowego B 65 (765). Znajdujący się w podszybiu duży wentylator świadczy, że oprócz wejścia do podziemi, szyb mógł pełnić funkcję wentylacyjną dla wydziałów fabryki położonych na południe od dworca F.

Położony na północ od dworca F korytarz głównej drogi ruchu, prowadzi do oddalonego o 700 m małego (o dł. 77 m) dworca E („Emil"), na którym urządzono odlewnię, produkującą z lekkich stopów aluminium i magnezu detale, poddawane następnie obróbce mechanicznej w pozostałych wydziałach fabryki. W korytarzu łączącym dworce F i E brak śladów po obrabiarkach, więc pełnił on funkcje komunikacyjne, i zapewne tam odbywało się również studzenie, wyjmowanie odlewów z form i ich wstępne czyszczenie. Organizacja tego wydziału wiązała się z największym zakresem robót adaptacyjnych. Ubocznym efektem działania odlewni, była produkcja ogromnych ilości ciepła. Kluczowe znaczenie miała więc sprawna wentylacja. W tym celu wykorzystano znajdujący się około 150 m na zachód szyb o średnicy 4 metrów. Pierwotnie miał być elementem jednego z planowanych, niezbudowanych, małych obiektów bojowych obrony międzypola. W jego kierunku prowadzi chodnik, wychodzący z komory dworca. W chodniku łączącym znajduje się duży wentylator, który zasysał gorące powietrze z komory dworca E i szybem wyrzucał na powierzchnię. Dopływ świeżego powietrza odbywał się przez chodnik głównej drogi ruchu. Nie było to zapewne dobre rozwiązanie, skoro w rejonie dworca F rozpoczęto budowę dwóch dodatkowych szybów o średnicy 4 metrów. O przeznaczeniu do celów wentylacji świadczy przegroda dzieląca szyb na dwie części, rozdzielająca wlot i wylot powietrza. Jednak ich budowa do stycznia 1945 r. nie została zakończona. Nie wykonano również chodników łączących.

Ponieważ praca pieców elektrycznych wymaga dostarczenia dużych ilości energii, wydajność istniejących pierwotnie, wewnętrznych linii zasilających fabryki była zapewne niewystarczająca. Dlatego z Kławy, w rejon szybu wentylacyjnego do usuwania gorącego powietrza, doprowadzono również specjalną linię energetyczną średniego napięcia. Była ona rozpięta na stalowych, kratownicowych słupach. Jeden z nich stał na polu uprawnym w pobliżu szybu jeszcze w latach 90., zanim padł łupem złodziei-złomiarzy. Nawet jeśli prace adaptacyjne nie zostały skończone, to liczne ślady w postaci okopconych ścian dworca, resztek instalacji elektrycznej, elementów pieców do topienia metalu w postaci szamotowych kształtek, resztki form odlewniczych, a niegdyś nawet fragmenty gotowych odlewów, wskazują, że ten wydział został uruchomiony. Położone dalej na północ korytarze służyły prawdopodobnie jako wytwórnia form odlewniczych. Mogą o tym świadczyć ogromne ilości materiału ceramicznego przypominającego keramzyt, rozsypane obecnie po podłodze korytarzy tej części podziemi, a także skład glinki szamotowej zmagazynowanej w jednym z bocznych rozgałęzień głównej drogi ruchu. Korytarze te pełniły również funkcje wentylacyjne, dostarczając niezbędne do pracy odlewni, chłodne powietrze.

Prace adaptacyjne nie ograniczyły się jedynie do podziemi. Część nowych instalacji została wykonana na powierzchni w rejonie wjazdu. Niektóre, jak bocznica kolejki wąskotorowej i duża hala o betonowo-ceglanej konstrukcji szkieletowej, zostały wykonane jeszcze w latach 30., jako elementy placu budowy systemu podziemnego. Przemawia za tym zarówno solidna kompozycja, staranne wykończenie i dobra jakość betonu, z którego została wykonana konstrukcja hali. Niewykluczone jednak, że

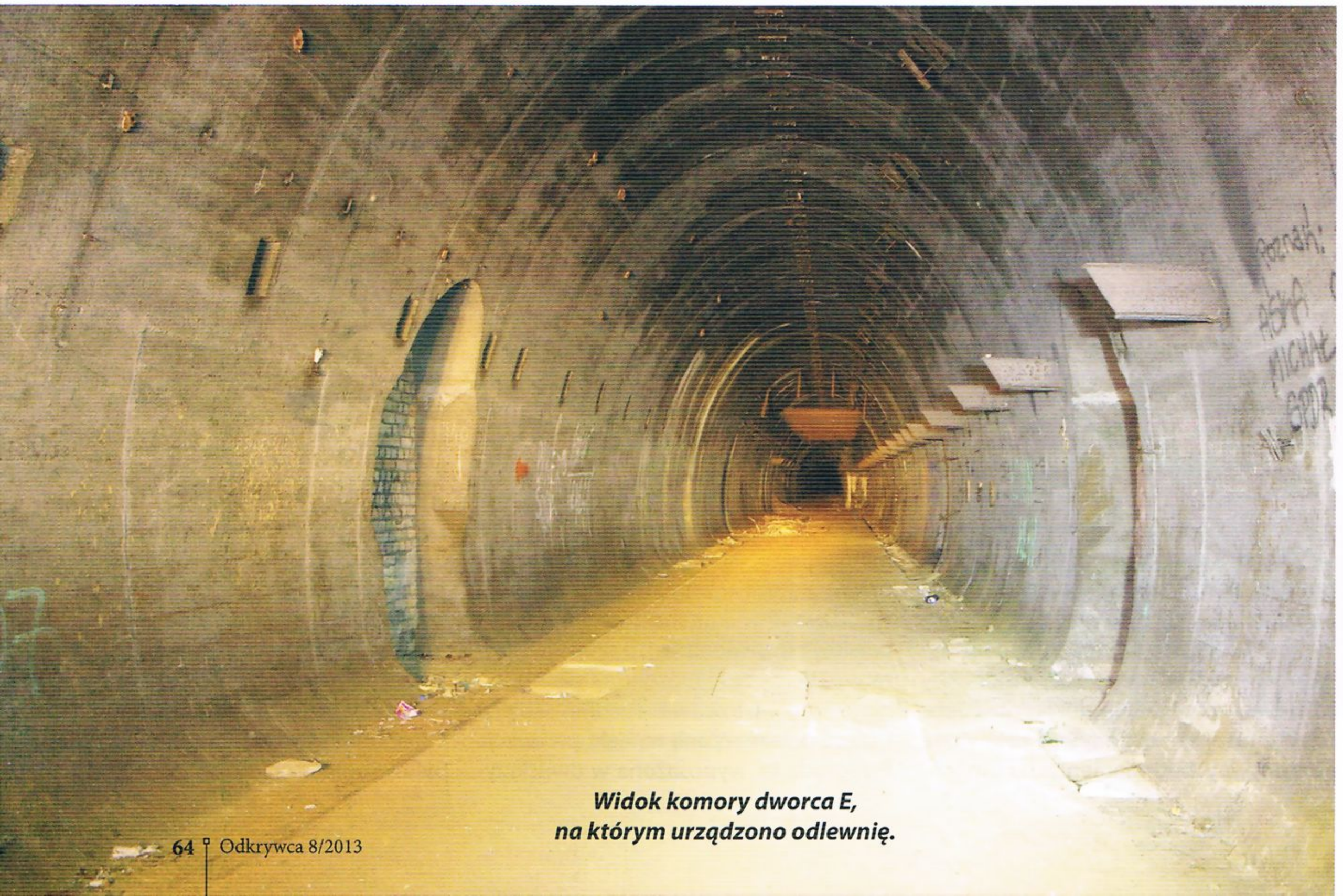

Widok komory dworca E, na którym urządzono odlewnię.

hala mogła zostać zbudowana w 1944 roku. Jednakże znajdujące się w jej wnętrzu fundamenty, zostały wykonane ze znacznie gorszego betonu i mogły służyć do ustawienia kompresorów dostarczających sprężone powietrze w początkowym okresie uruchamiania fabryki. Prawdopodobnie głównym zadaniem tej hali było magazynowanie, zarówno materiałów, półfabrykatów, jak i gotowych wyrobów. Przypuszczalnie więc tutaj odbywała się końcowa kontrola, czyszczenie i pakowanie gotowych wyrobów, a następnie załadunek na wagony kolejki, która wjeżdżała do wnętrza hali po specjalnej, jednotorowej bocznicy, po której ślady w postaci rozkutej w celu demontażu torów podłogi są do dzisiaj widoczne.

Kilkadziesiąt metrów na północ od wjazdu zbudowano kotłownię i barak mieszczący kuchnię oraz prawdopodobnie łaźnię. Kotłownia dostarczała ciepło do ogrzania podziemi, aby uzyskać w nich odpowiedni mikroklimat i zapobiec osadzaniu się wilgoci kondensacyjnej. Posiadała własną, jednotorową bocznicę służącą dostawom opału. Przewody dostarczające ciepło zostały wprowadzone do podziemi przez specjalny szyb o średnicy 2 m na wjazdowym dworcu A64. Obecnie po tej instalacji nie ma już praktycznie żadnych śladów. Rury zostały zdemontowane, jednak z relacji wiadomo, że były izolowane za pomocą waty szklanej owiniętej z zewnątrz warstwą tektury falistej, mocowaną przy pomocy opasek wykonanych z drutu.

Podobny szyb został zbudowany na dworcu L. Służył prawdopodobnie jako wentylacyjny. Obecnie jest on zasypany przez leśników. W tym rejonie na powierzchni zbudowano również mały, żelbetowy obiekt osłaniający końcówki rur wodociągowych lub sprężonego powietrza, prowadzących do podziemi.

Kolejka wąskotorowa pełniła w nowej fabryce rolę podstawowego środka transportu, zarówno podczas przebudowy, jak i normalnej eksploatacji. W pierwszej kolejności zapewniała połączenie z siecią kolei normalnotorowej i transport materiałów budowlanych, a następnie maszyn i urządzeń. Po rozpoczęciu produkcji służyła do transportu materiału i wywożenia z podziemi gotowych produktów, jak również odpadów produkcyjnych w postaci wiórów. Ponieważ w większości były to materiały deficytowe, takie jak stale stopowe i specjalne oraz miedź, brąz, aluminium i magnez, były przeznaczone do ponownego przerobu. W tym celu zbudowano specjalną bocznicę dla kolejki, położoną obok torowiska kolei budowlanej, gdzie posegregowane odpady wysypywano na pryzmy. Hałdy metalowych wiórów leżały w tym miejscu jeszcze długo po zakończeniu wojny, zostały zabrane do hut dopiero w latach 50. ubiegłego wieku. Główna rampa przeładunkowa z bardziej rozbudowanym systemem torowisk, znajdowała się nieco dalej na północ.

W bezpośrednim sąsiedztwie wjazdu do podziemi istniały również dwa duże osiedla barakowe o nazwie Engelsgrund I i II, które pozostały po junakach Służby Pracy Rzeszy (RAD) i robotnikach Organizacji Todt budujących fortyfikacje. Oba zostały zbudowane przed wojną i miały wysoki standard. Oprócz rozbudowanej infrastruktury, jak kuchnie, stołówki, łaźnie, kotłownie i magazyny, posiadały również sale kinowe. Ustawione na betonowych fundamentach drewniane baraki, miały instalacje ciepłej i zimnej wody oraz centralnego ogrzewania zasilane rurami ułożonymi w istniejącej do dziś sieci podziemnych kanałów. Miasteczka barakowe doskonale więc nadawały się do zakwaterowania, zarówno niemieckiego personelu, robotników potrzebnych do przebudowy podziemi, jak i obsługi fabryki po jej uruchomieniu. W tym czasie większość pracowników stanowili już robotnicy przymusowi zwiezieni z niemal całej Europy.

Jarosław Chorzępa - ekspert z dziedziny fortyfikacji i wojskowości oraz Select Events zapraszają w pierwszą podróż historyczną:

ŚLADAMI FORTYFIKACJI
II WOJNY ŚWIATOWEJ NA ZACHODZIE

od Eben-Emael do Normandii

Kiedy: 19-26 października 2013

W programie między innymi: fort Eben-Emael, fortyfikacje Wału Atlantyckiego w Ostendzie, okolice Calais (bateria Todt), Normandia (plaża Omaha, baterie Merville Azeville i Crisbecq), bunkier-wyrzutnia V2 Eperleques, Linia Maginota (Grupa Warowna Fermont), tajny bunkier rządu RFN okresu "Zimnej Wojny".

Zapewniamy:

- fachową wiedzę eksperta z dziedziny fortyfikacji
- wyjątkowy program dla pasjonatów
- 7 noclegów ze śniadaniem w hotelach
- transport luksusowycm autokarem na całej trasie

Koszt:

Koszt udziału jednej osoby w pokoju dwuosobowym: 695 Euro

Wszystkie informacje na stronie:
www.selectevents.pl/fortyfikacje2013

Informacje i zapisy do dnia:
12.09.2013, pod adresem:

k.bialas@selectevents.pl
Tel. 22 862 87 55

SELECT EVENTS

Jarosław Chorzępa
Autor wielu publikacji z dziedziny fortyfikacji i wojskowości. Od 1997roku prowadzi wydawnictwo Forteca przeznaczone dla miłośników architektury obronnej.

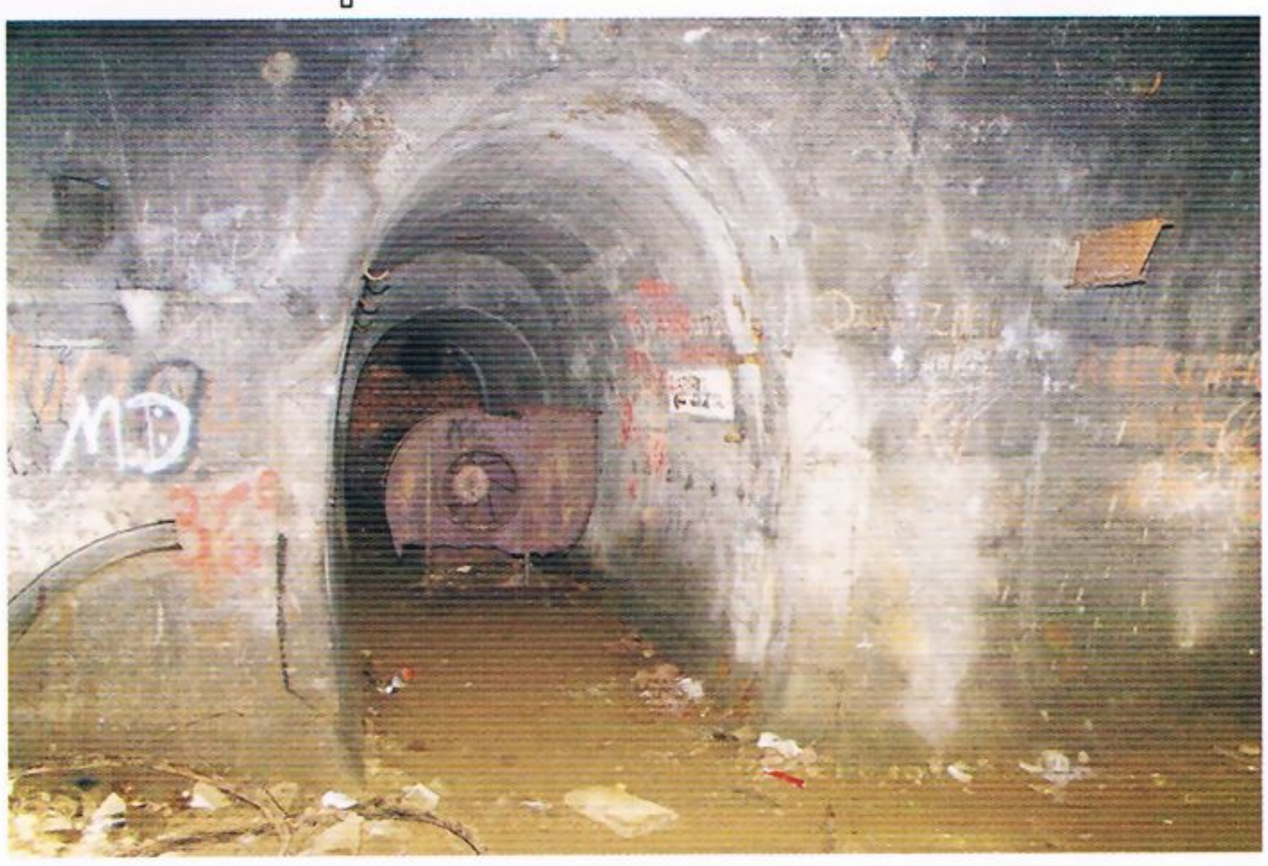

Wentylator służący do odsysania zużytego, gorącego powietrza z komory dworca E.

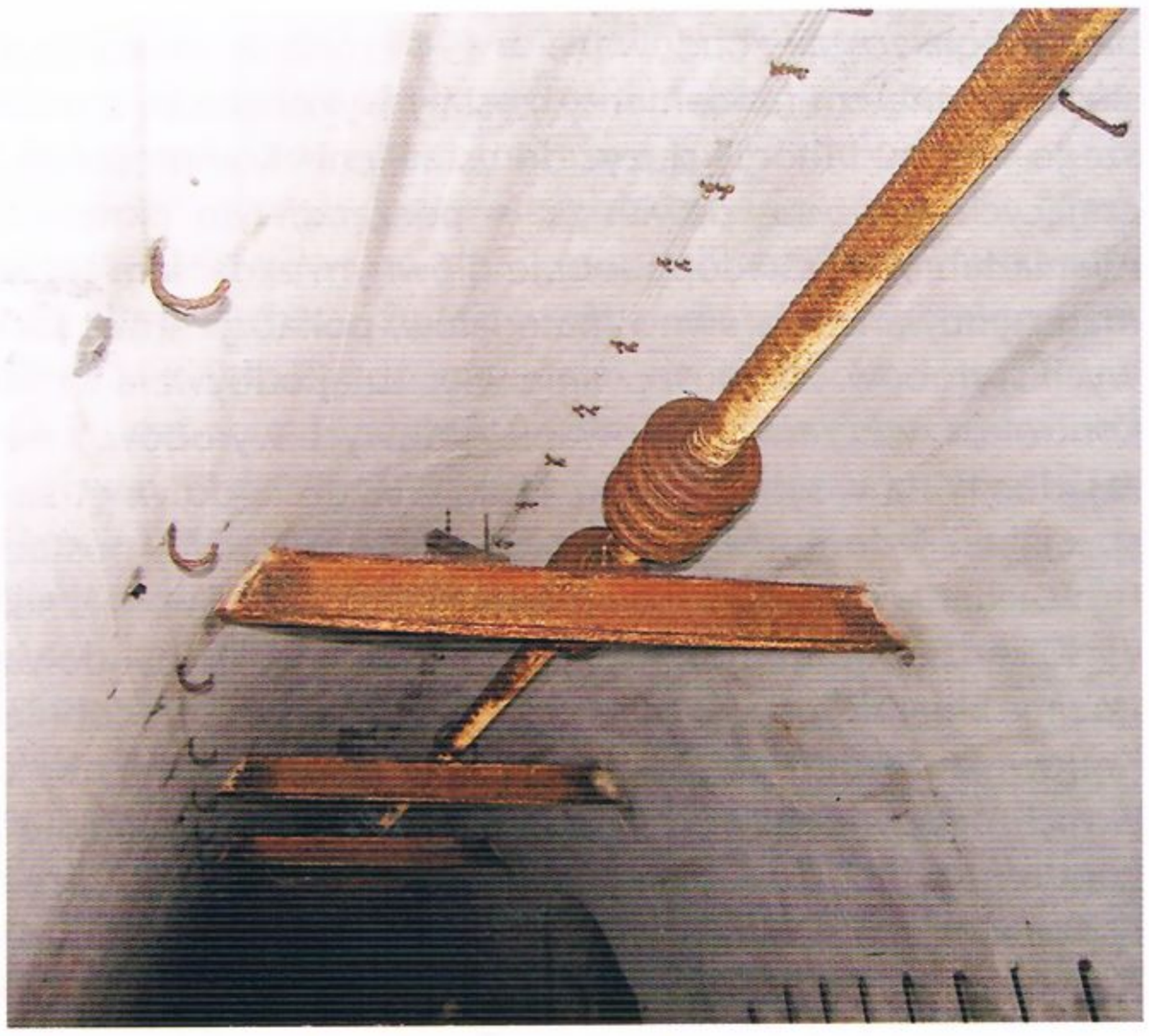

Początkowo, z braku czasu, montowano jedynie najważniejsze dla funkcjonowania fabryki instalacje. Na zdjęciu, wykonanym na dworcu L widać fragment rurociągu sprężonego powietrza z zachowanym kompensatorem. Obok klocek do montowania instalacji elektrycznej niskiego napięcia.

Duży zakład produkcyjny, bogato wyposażony w obrabiarki, maszyny i urządzenia do pracy, potrzebuje również dostarczenia energii i różnych mediów, oraz usunięcia odpadów, a wszystkie nowe instalacje musiały zabezpieczyć funkcjonowanie zakładu w systemie ciągłym. Oczywiście w pierwszej kolejności wykorzystano skwapliwie istniejące sieci. W tym czasie, w systemie podziemnym istniała tylko instalacja elektryczna średniego napięcia, instalacja oświetleniowa i odwadniająca, służąca do zbierania i odprowadzania wody pochodzącej z przesiąkania wilgoci, jak i wilgoci kondensacyjnej, osadzającej się na ścianach w momencie ochłodzenia powietrza napływającego z zewnątrz, oraz instalacja telefoniczna. Oczywiście podstawowe znaczenie dla działania maszyn i urządzeń miała energia elektryczna, która służyła również do oświetlenia podziemi. Przewody elektryczne średniego napięcia, były doprowadzone za pomocą linii napowietrznej do głównego wjazdu, gdzie linia zasilająca wchodziła do wnętrza podziemi. Wewnątrz chodników trzy izolowane przewody były zawieszone na bocznej ścianie na stalowych hakach. Zapewne jej wydajność, obliczona przede wszystkim na oświetlenie podziemi, była zbyt mała do zasilania fabryki. Dlatego po przeciwnej stronie korytarza zawieszono pojedynczy, jednak znacznie grubszy przewód średniego napięcia. Sądząc z resztek zachowanego osprzętu, instalacja ta była przewidziana na napięcie 5 kV. Na wszystkich dworcach kolejowych, już w momencie budowy podziemi, wykonano od 1 do 3 bocznych pomieszczeń, przeznaczonych na rozdzielnie średniego napięcia i stacje transformatorowe w celu obniżenia napięcia do poziomu 380 i 220 V. Na każdym z dworców znajdowało się również pomieszczenie rozdzielni niskiego napięcia, zasilającego poszczególne części podziemi, które oczywiście wykorzystano na potrzeby fabryki. Nad stanowiskami roboczymi była poprowadzona instalacja prądu 3-fazowego o napięciu 380 V, która służyła do zasilania maszyn i urządzeń. Przewody niskiego napięcia ułożone były poziomo na stalowych profilach podtrzymujących rurociągi, na których przymocowano drewniane klocki. Każdy klocek posiadał wycięcia, w których w odległości kilku centymetrów od siebie spoczywały 4 izolowane przewody (3 fazy i „0"). Od góry były one dociśnięte drugim drewnianym klockiem i całość ściągnięta śrubami. Taki system zasilania był bardzo elastyczny i umożliwiał proste podłączenie kolejnych maszyn. W dowolnie wybranym miejscu wystarczyło usunąć izolację, i za pomocą zacisków podłączyć przewody zasilające urządzenie. Były one przymocowane do ściany metalowo-ceramicznymi uchwytami, a przez metalową skrzynkę z bezpiecznikami i wyłącznikiem doprowadzone do obrabiarki.

Niewiele wiadomo na temat instalacji oświetleniowej, ponieważ nie zachowały się praktycznie żadne ślady, za wyjątkiem ogólnego, pochodzącego jeszcze z okresu budowy oświetlenia chodników, stosunkowo rzadko rozmieszczonymi lampami kanałowymi, zawieszonymi na stropie i wszystkich portalach bocznych odgałęzień. Przypuszczalnie inna, bardziej rozbudowana instalacja nie została z braku czasu wykonana, więc ograniczono się jedynie do miejscowego oświetlenia poszczególnych stanowisk roboczych, np. lampami wiszącymi.

Niedostatek miejsca na poziomie posadzki spowodował umieszczenie wszystkich przewodów w górnej części korytarzy. W tym celu, w nowo wykutych otworach zostały zabetonowane stalowe dwuteowniki, a na nich ułożone rury instalacji centralnego ogrzewania, wodociągowej i sprężonego powietrza. Znaczna długość tych biegnących wzdłuż tuneli rurociągów wymusiła zastosowanie kompensatorów. Z braku miejsca zastosowano spawane kompensatory harmonijkowe, zamiast normalnie używanych w tym czasie kompensatorów w kształcie greckiej litery Ω, które znajdziemy zarówno w zakładzie Schachtelcheim, jak i w nieukończonej części Schachtelcheim II. Cdn.

Marcin Dudek

Technolog z wykształcenia. Z zamiłowania badacz fortyfikacji i fotograf. Specjalizuje się w niemieckich fortyfikacjach wschodnich okresu II wojny światowej. Autor kilku książek i wielu publikacji z tej dziedziny.

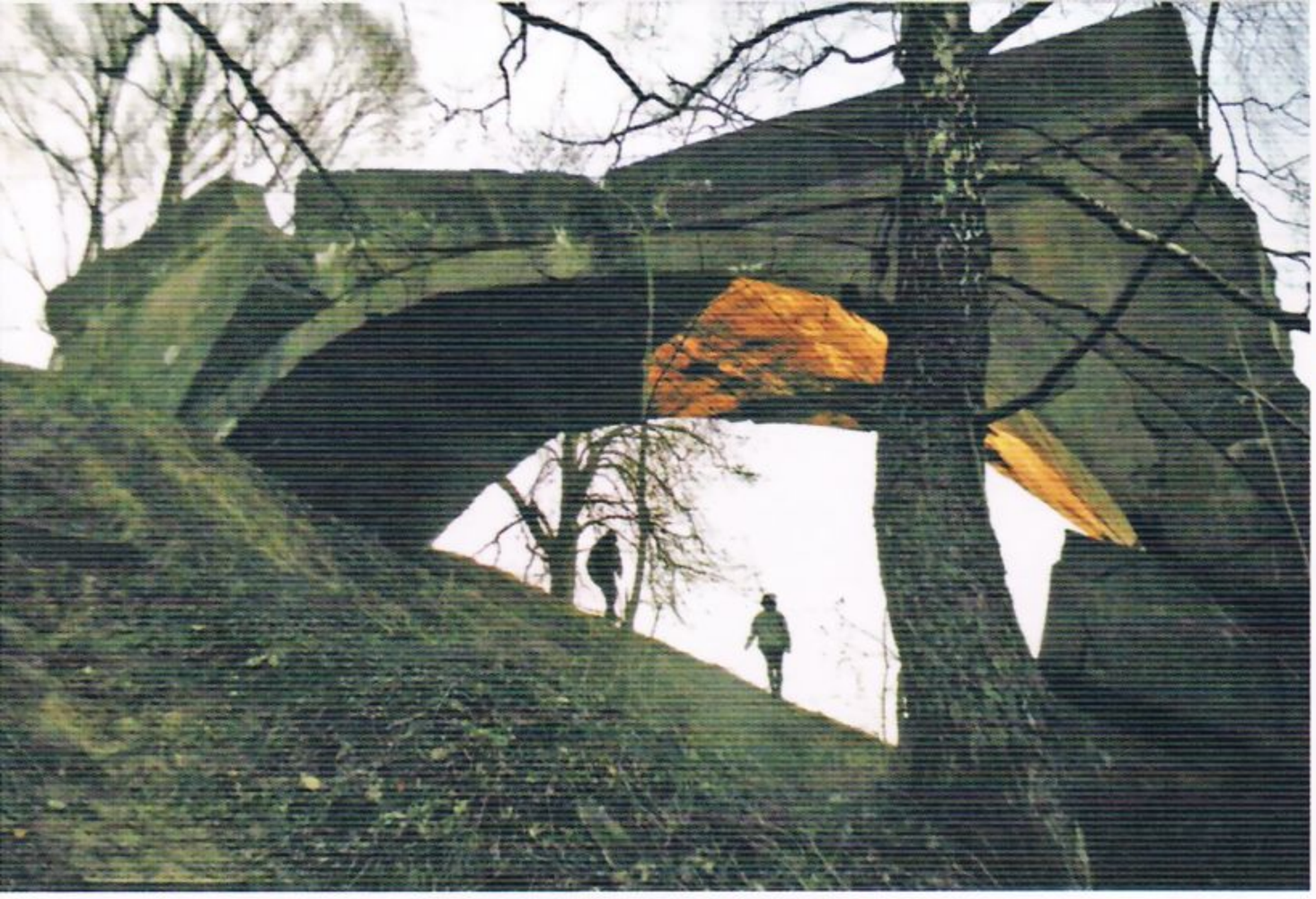

Wysadzony most w Kruklankach – wschodni przyczółek. 2011 r.

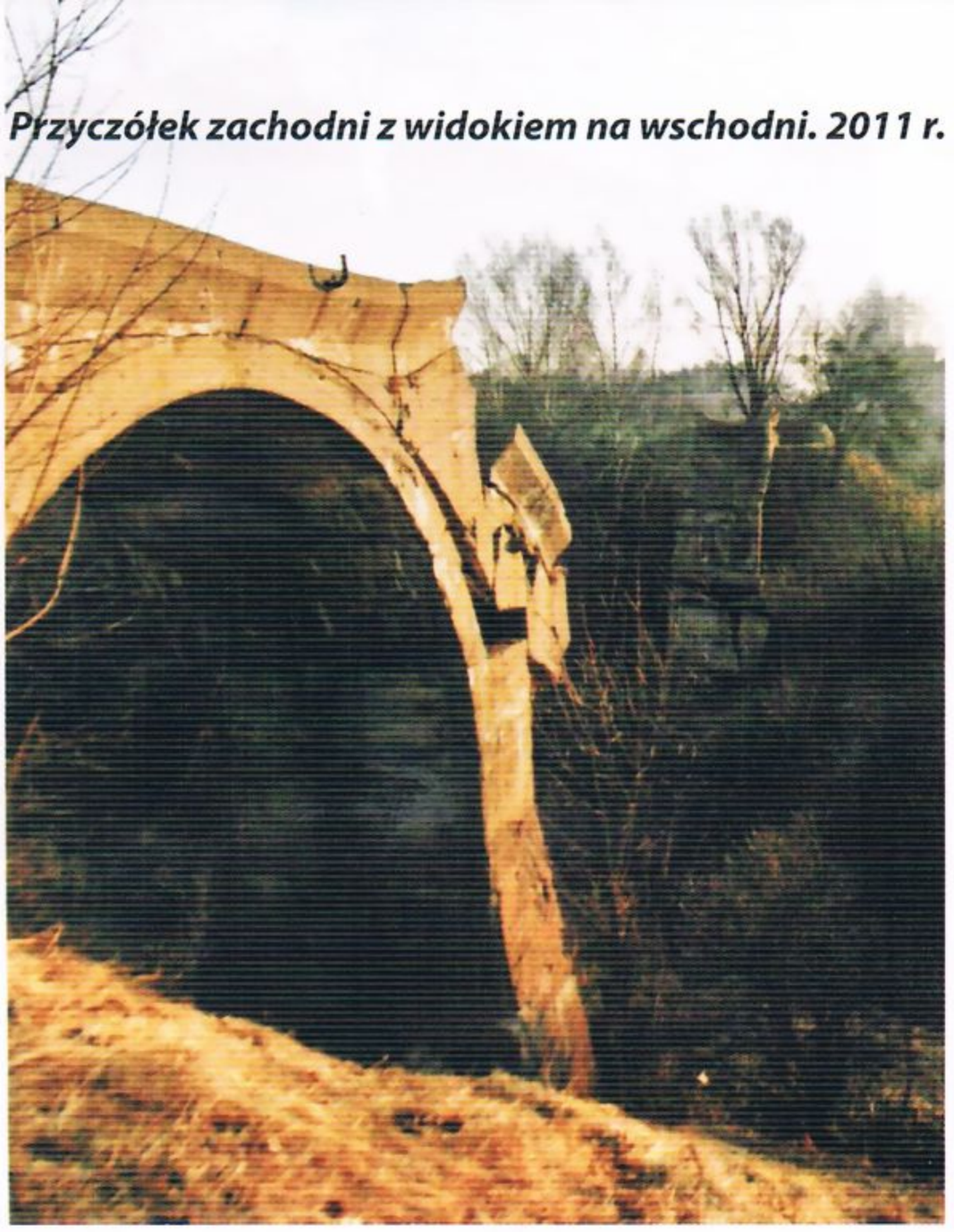

Przyczółek zachodni z widokiem na wschodni. 2011 r.

Most kolejowy w Kruklankach i okoliczne fortyfikacje

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK JAROSZ

Kruklanki są dużą wsią położoną w województwie warmińsko-mazurskim, we wschodniej części Krainy Wielkich Jezior Mazurskich, około 8 km na północny-wschód od Giżycka. Licząca obecnie około 1300 mieszkańców miejscowość, usytuowana jest w gminie Kruklanki w powiecie giżyckim, pomiędzy jeziorami: Gołdopiwo (niem. Goldapgar See), Brożówka (niem. Büffke See), Małe (Klein See), Babka (Babke See), Patelnia (Kruglinner See) i Kruklin (Kraukelnen See). Zabudowa wsi rozciąga się w dolinie rzeki Sapina (niem. Sapine Fluss). Jeszcze na początku XIX w. większość mieszkańców była pochodzenia polskiego, jednak po kolejnych kilkudziesięciu latach sytuacja się odwróciła i 2/3 populacji stanowili już Niemcy. Po zakończeniu II wojny światowej zdecydowana większość ludności niemieckojęzycznej została wysiedlona, a jej miejsce zajęli przyjezdni, pochodzący z centralnej Polski, przesiedleńcy zza Buga oraz Ukraińcy przeniesieni ze swoich ziem w ramach akcji „Wisła".

Na przełomie XIX i XX w., w okresie intensywnego rozwoju gospodarczego, na terenie ówczesnych Prus Wschodnich nastąpiła znaczna rozbudowa tamtejszych połączeń komunikacyjnych: drogowych, kolejowych i wodnych. Między innymi, w rejonie Wielkich Jezior Mazurskich utworzone zostały dwie nowe linie kolejowe: oddana w roku 1906 linia łącząca Giżycko (niem. Lötzen) z Węgorzewem (niem. Angerburg) oraz ukończona w 1908 – Kruklanki z Oleckiem (niem. Margrabowa; od 1928 – Treuburg), przy czym ta druga, była odgałęzieniem pierwszej. W związku z budową obu tych linii powstała także cała niezbędna infrastruktura kolejowa, w tym nasypy oraz wąwozy, po których, i w których poprowadzono tory, wiadukty, mosty, dworce, przystanki kolejowe, nastawnie czy też rampy załadunkowe. Jedną z najważniejszych budowli spośród wymienionych obiektów, stał się wchodzący w skład linii Kruklanki-Olecko duży most kolejowy nad rzeką Sapina, położony kilkaset metrów na południe od tej pierwszej miejscowości. Ten żelbetowy most, będący jednym z największych obiektów kolejowych na Mazurach, został wybudowany w roku 1908 i otrzymał kształt rzymskich akweduktów – wykonano go jako pełnościenny obiekt i miał pięć przęseł, które pokryte były płytami kamiennymi. Był konstrukcją eksperymentalną, wg wzorca której wybudowano nieco później dwa bliźniacze mosty podobnego typu w Stańczykach (niem. Smatshausen), które powstały na linii Gołdap (niem. Goldap)-Żytkiejmy (niem. Wehrkirchen). Oba te zachowane do dziś w dobrym stanie mosty, są najwyższymi tego rodzaju budowlami na terenie obecnej Polski, natomiast obiekt w Kruklankach zajmował drugie pod tym względem miejsce.

Projekty mostów w Stańczykach i w Kruklankach, jak na swoje czasy, były bardzo nowatorskimi i śmiałymi przedsięwzięciami inżynierskimi. Zarówno sama linia kolejowa, jak i opisywany most, oprócz wartości transportowej, miały także duże znaczenie militarne dla Mazur, gdyż w razie potrzeby umoż-

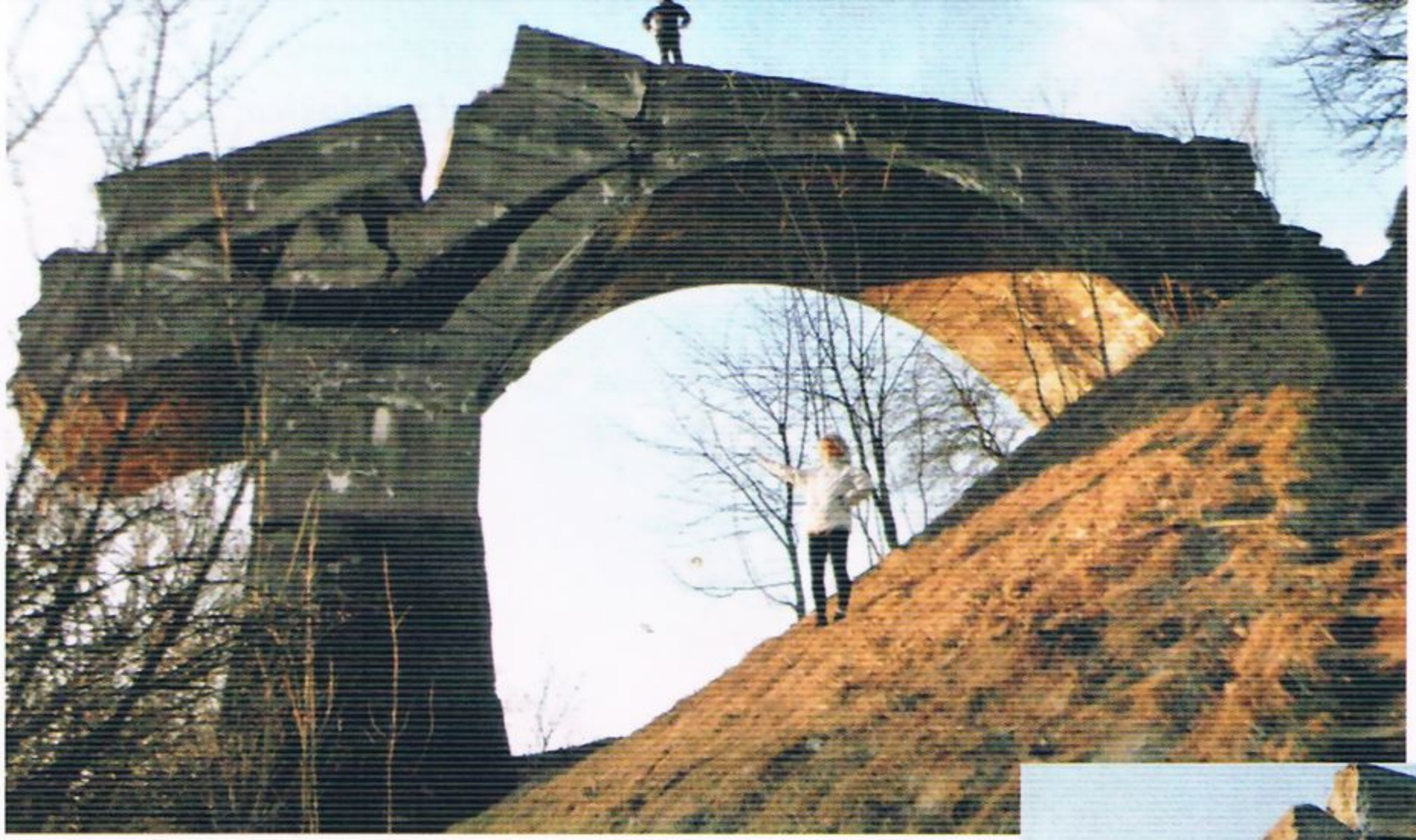

liwiały szybki przerzut wojsk w rejon potencjalnych działań wojennych. Niestety, już po kilku latach od zakończenia budowy, w początkowym okresie I wojny światowej, pokojowa eksploatacja mostu zakończyła się. Wobec spodziewanego nadejścia będących w ofensywie wojsk rosyjskich, w sierpniu 1914 r. obiekt został poważnie uszkodzony przez niemieckich saperów. Konkretnie, aby nie oddać sprawnego

Zachodni przyczółek mostu. 2011 r.

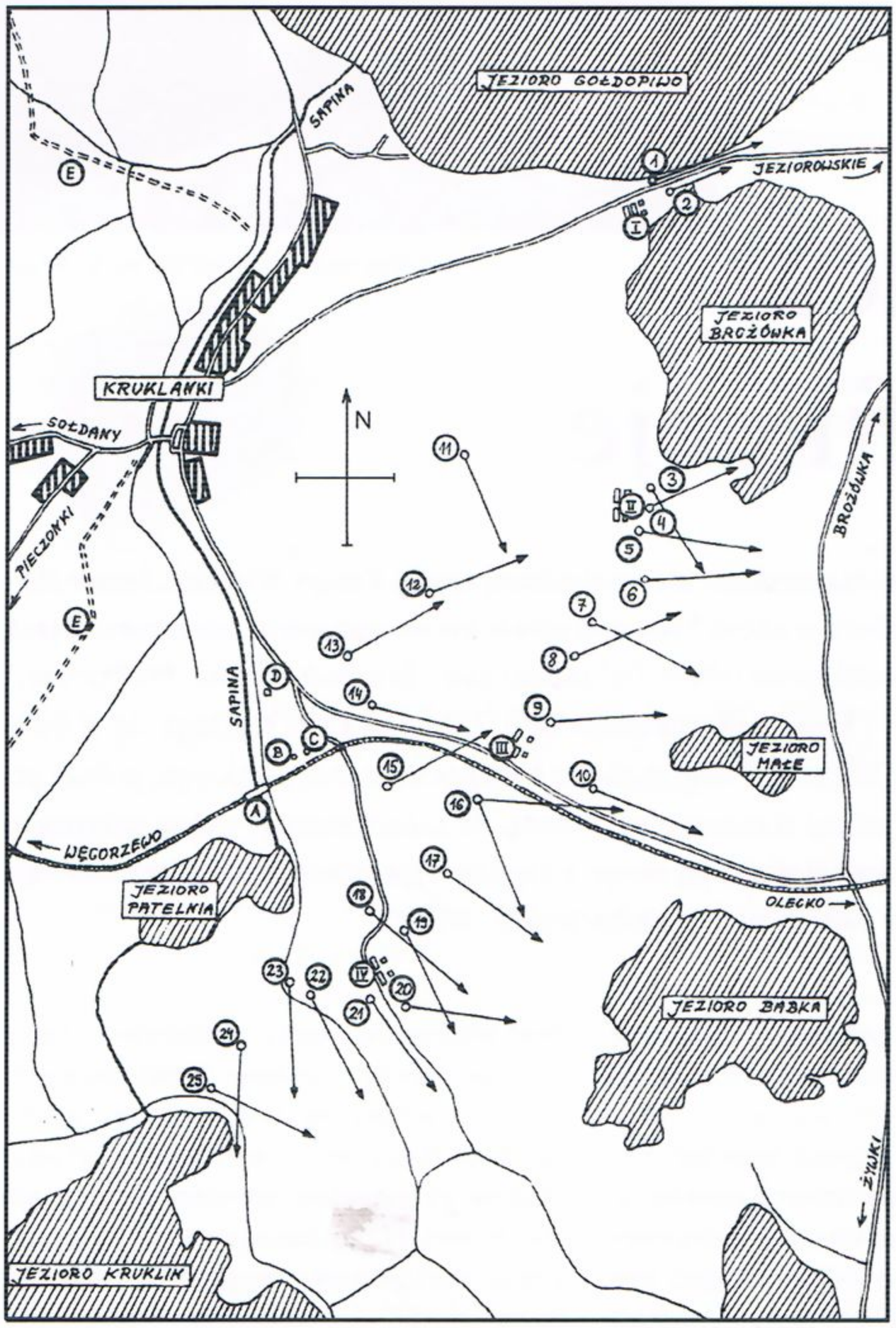

A. Kruklanecki most.
B. Schron obrony mostu dla broni przeciwpancernej.
C. Schron obrony mostu dla broni maszynowej.
D. Schron obserwacyjny z detonatorem zaminowanego mostu.
E. Rów przeciwpancerny.
I. Stp 10
II. Stp 9
III. Stp 8
IV. Stp 7
1-10. Jednostrzelnicowe schrony bojowe (numeracja autora).
11. Jednostrzelnicowy schron dowodzenia.
12-15. Jednostrzelnicowe schrony bojowe.
16. Dwustrzelnicowy schron bojowy.
17-25. Jednostrzelnicowe schrony bojowe.

mostu Rosjanom, Niemcy wysadzili w powietrze wschodnie jego przęsło. Niedługo jednak potem, po udanej niemieckiej kontrofensywie, obiekt został przez saperów niemieckich naprawiony. Zniszczone przęsło odbudowano, przy czym, przy okazji, wzmocniono skrajne łuki konstrukcji poprzez dodanie dodatkowych podpór oraz zdjęto pokrywające most kamienne płyty. Po zakończonej naprawie linia kolejowa Kruklanki-Olecko ponownie mogła być eksploatowana, i była później wykorzystywana przez cały okres międzywojenny. Na trasie tej jeździł m.in. szynobus zabierający 44 pasażerów.

W celu wzmocnienia potencjału militarnego rejonu Kruklanek, w początkowym okresie I wojny światowej Niemcy wybudowali w ich pobliżu kilka punktów oporu piechoty (niem. Stutzpunkt, skrót. Stp), wchodzących w skład Giżyckiej Pozycji Polowej (niem. Loetzener Feldstellung). Między jeziorami Gołdopiwo i Kruklin powstały cztery takie punkty (Stp 7-10), z których każdy obligatoryjnie składał się z dwóch dużych schronów piechoty oraz niewielkiego schronu pogotowia i wartowni. Każdy z ośmiokomorowych schronów piechoty był przeznaczony dla około 80 żołnierzy. W powyższych punktach oporu wybudowano również inne obiekty, w tym stanowiska dla armat, schrony bierne, schrony amunicyjne i schrony łączności. Z kolei w okresie międzywojennym, w drugiej połowie lat 30., w pobliżu kruklaneckiego mostu, na wschód od niego, powstał jeden z odcinków fortyfikacji tzw. Giżyckiego Rejonu Umocnionego (niem. Befestigter Raum Lötzen). Ponownie został ufortyfikowany odcinek pomiędzy jeziorami Gołdopiwo i Kruklin. W rejonie tym wybudowanych zosta-

Jeden ze schronów bojowych Giżyckiego Rejonu Umocnionego z oznaczeniem ścieżki „Szlakiem fortyfikacji…". 2007 r.

Schron obserwacyjny z 1944 r., służący także jako miejsce ukrycia detonatora zaminowanego mostu. W tle tablica informacyjna ścieżki „Odkryj z nami tajemnice Kruklanek". 2010 r.

ło 25 żelbetowych schronów bojowych, uzbrojonych w broń maszynową, przystosowanych głównie do prowadzenia ognia czołowego. Spośród tych obiektów jeden był dwustrzelnicowy, natomiast pozostałe jednostrzelnicowe. Kilka schronów wyposażono w małe kopuły obserwacyjne, a kilka miało dodatkowe pomieszczenia mieszkalne dla drużyny piechoty. Jeden z obiektów pełnił funkcję schronu dowodzenia batalionem. Schrony te otrzymały czterocyfrową numerację, zaczynającą się obiektem o numerze 1210, który położony jest w pobliżu północnej części jeziora Kruklin, i ciągnącą się w kierunku jeziora Gołdopiwo. W okolicy wybudowanych zostało także szereg niewielkich obiektów sieci łączności, w których zbiegały się kable telefoniczne prowadzące ze schronów bojowych.

W drugiej połowie sierpnia 1939 r. mostem kruklaneckim, w kierunku granicy z Polską, podążały transporty Wehrmachtu w celu ześrodkowania oddziałów przed planowanym atakiem. W czasie II wojny światowej, podczas przygotowań do niemieckiego odwrotu w 1944 r., most, jako ważny obiekt o charakterze militarnym, został ubezpieczony wybudowanymi w jego pobliżu kilkoma lekkimi obiektami żelbetowymi. Były to: schron obserwacyjny oraz dwa stanowiska strzeleckie dla pojedynczych żołnierzy, tzw. „garnki Kocha". Jedno z tych dwóch ostatnich było przeznaczone dla żołnierza obsługującego karabin maszynowy (obiekt z mniejszymi strzelnicami), drugie natomiast, dla strzelającego z indywidualnej broni przeciwpancernej (większe strzelnice). W całym rejonie wybudowano także szereg innych obiektów, z których część stanowiły kolejne „kochbunkry". Na zachód od Kruklanek wykopany został pełnoprofilowy rów przeciwczołgowy, który w rejonie samej wsi dochodził do Sapiny. Co ciekawe, 6 X 1944 roku, już po upadku Powstania Warszawskiego, przez most przejechał pociąg wiozący do Kruklanek znajdującego się w niemieckiej niewoli dowódcę Armii Krajowej – generała Tadeusza Bora-Komorowskiego. W węźle kolejowym w Kruklankach stacjonował niemiecki pociąg pancerny Panzerzug Nr 1, z którego również czasami korzystał przebywający w swojej kwaterze w Pozezdrzu (niem. Grossgarten) Reichsführer SS – Heinrich Himmler.

Schron obrony mostu na broń przeciwpancerną z widokiem na nasyp kolejowy, wysadzony most oraz jezioro Patelnia – z lewej. 2011 r.

Schron obrony mostu na broń maszynową ze schronem na broń przeciwpancerną w tle. 2011 r.

Na początku 1945 r., wobec szybko zbliżających się wojsk sowieckich, most został przygotowany do zniszczenia w razie jego bezpośredniego zagrożenia. Obiekt został zaminowany, a detonator umieszczono w znajdującym się na szczycie pobliskiego wzgórza schronie obserwacyjnym. Główne ładunki wybuchowe założono w komorach minowych znajdujących się

w środkowych filarach mostu. Z bliżej nieznanych przyczyn, do wysadzenia obiektu w odpowiednim momencie nie doszło, i został on w dobrym stanie przejęty przez Rosjan. Wcześniej, w pobliżu Kruklanek, doszło do niemiecko-radzieckiego starcia, w którym miały wziąć udział aż trzy pociągi pancerne. Okoliczne schrony bojowe Giżyckiego Rejonu Umocnionego nie odegrały większej roli w obronie przed armią sowiecką, ponieważ jednostki niemieckie wycofały się na zachód odpowiednio wcześniej.

Po zajęciu terenu przez Rosjan, ciągle zaminowany most był wykorzystywany przez nich do prowadzenia transportów wojskowych podążających w kierunku zachodnim, oraz do transportów wszelkiego zdobycznego, „poniemieckiego dobra" kierujących się na wschód. Stan taki trwał do 8 IX 1945 roku, kiedy to opisywany obiekt w bliżej nieznanych okolicznościach wyleciał w powietrze, tym razem już na dobre. Według miejscowych legend most miał zostać wysadzony przez polskich, już teraz w większości, mieszkańców Kruklanek, którzy podobno w ten sposób chcieli zapobiec dalszemu rabunkowi przez Rosjan ziem należących od niedawna do Polski. To jednak wydaje się mało prawdopodobne, z powodu spodziewanych po dokonaniu takiego czynu represji ze strony rosyjskiej, oraz z chęci zachowania przez Polaków niezbędnego do funkcjonowania transportu kolejowego, i trudnego do odtworzenia obiektu o dużej wartości materialnej. Najpewniej eksplozja nastąpiła od przypadkowego zwarcia w instalacji systemu zaminowania lub też, być może, spowodowana została przez niemieckich dywersantów, operujących jeszcze na części ziem odzyskanych. Niewykluczone, iż sprawcami byli inni Niemcy, którzy nie chcieli, aby tak ważny obiekt był wykorzystywany przez Polskę. Według kolejnej jeszcze wersji, wycofujący się Niemcy zdetonowali ładunki wybuchowe, jednak były one zbyt słabe, a sam most ostatecznie wysadzili w powietrze polscy saperzy w ramach ćwiczeń na początku lat 50.

W 1945 r. rozebrane zostały przez Rosjan tory na trasach Kruklanki-Węgorzewo i Kruklanki-Olecko, natomiast odcinek Kruklanki-Giżycko, był eksploatowany do lat 80.

Zniszczeniu w zdecydowanej większości uległy także schrony Giżyckiego Rejonu Umocnionego oraz obiekty pierwszowojenne, które po zajęciu przez Rosjan najpierw zostały przez nich pozbawione wszystkiego co cenne, a później wysadzone w powietrze. Zachowane zostały natomiast znajdujące się tuż przy moście, pochodzące z 1944 r., obiekty mające służyć do jego ochrony, czyli ww. dwa „kochbunkry" i schron obserwacyjny. Sam most – od czasu wysadzenia do dzisiaj – pozostaje w stanie niewiele się zmieniającej przez lata ruiny, z zerwaną częścią środkową oraz z zachowanym przyczółkami – wschodnim i zachodnim. Sapinę można pokonać po przerzuconym przez nią niewielkim drewnianym mostku, który usytuowano pomiędzy obu przyczółkami. Wraz z pobliskimi schronami Giżyckiej Pozycji Polowej i Giżyckiego Rejonu Umocnionego pozostałości mostu stanowią od jakiegoś już czasu sporą atrakcję turystyczną, szczególne po połączeniu z walorami krajobrazowo-przyrodniczymi regionu. Ułatwieniem dla zwiedzających zarówno pozostałości mostu, jak i znajdujących się w jego pobliżu fortyfikacji, a także dla podziwiających okoliczną przyrodę, są dwie ścieżki spacerowe: „Szlakiem fortyfikacji Giżyckiego Rejonu Umocnionego" oraz „Odkryj z nami tajemnice Kruklanek". Jeśli chodzi o sam most, informacje o nim można znaleźć w dość sporej liczbie opracowań, głównie przewodników, czy też na licznych stronach internetowych. Natomiast najwięcej informacji na temat okolicznych fortyfikacji można uzyskać w pozycjach: Stefana Fuglewicza (początkowy stan badań) oraz Wojciecha Rużewicza (późniejszy stan badań).

Wybrana literatura

1. W. Darski, „Mazury od środka", Wydawnictwo Mazurskie, Giżycko 2009
2. S. Fuglewicz, „Fortyfikacje Giżyckiego Rejonu Umocnionego na odcinku Kruklanki", [w:] „Infort" nr 10 (3/1995)
3. R. Karuzo, „Mazury Wschodnie i Suwalszczyzna", Agencja Fotograficzno-Wydawnicza „Mazury", Olsztyn (b.r.w.)
4. M. Orłowicz, „Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii", AW „Remix" (b.r.w.)
5. W. Rużewicz, „Fortyfikacje nowożytne Prus Wschodnich", Wyd. „Biuro odkryć", Łódź 2006
6. Zbior. „Fortyfikacje XIX i XX-wieczne na obszarze województwa suwalskiego", Gdańsk-Giżycko-Suwałki 1998

Jacek Jarosz

Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki. Badacz historii statków. Miłośnik historii i fortyfikacji.

REKLAMA

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Frederic-Georges Herr „Artyleria. Jaka była, jaka jest i jaka powinna być", opr. twarda, str. 276, wyd. Tetragon. Cena: 59,90 zł

Reedycja polskiego wydania książki z 1926 roku. Autorem pracy jest francuski generał Frederic Georges Herr. Poruszana tematyka obejmuje okres I wojny światowej. Herr ukazuje tytaniczny wysiłek, jaki musiały wykonać sztaby walczących wojsk i przemysł zaangażowanych w wojnę krajów, aby przekonstruować i rozwinąć swoje związki artylerii. Autor nie pozostawił bez omówienie żadnego większego zagadnienia artyleryjskiego związanego z I wojną światową. Dzieło Herra było wielokrotnie wznawiane. Szeroko rozeszło się w międzywojennej Europie – tłumaczone było na wiele języków, omawiane w fachowych czasopismach i polecane przez wybitnych artylerzystów, jako nadzwyczaj cenne studium doświadczeń Wielkiej Wojny.

Elżbieta Cherezińska „Legion", opr. twarda, str. 800, wyd. Zysk i S-ka. Cena: 49,90 zł

Autorka bohaterami tej powieści uczyniła żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Do tej pory dzieje tej organizacji były domeną literatury faktu i badań historycznych. Nowatorska forma nie przeszkodziła jednak w ukazaniu postaw ludzi, którzy walcząc zarówno z Sowietami, jak i Niemcami, dawali dowody, że państwo polskie trwa – karze przestępców, likwiduje zdrajców, chroni ludność i przygotowuje ją do życia w niepodległym kraju. Gdy wielu żołnierzy upadło na duchu i rozpoczęło negocjacje z Sowietami, członkowie Brygady Świętokrzyskiej przedarli się do Czech. W Holiszowie oswobodzili przygotowany do spalenia niemiecki obóz koncentracyjny dla kobiet, ratując tym samym setki Polek, Żydówek i Francuzek. Następnie, u boku Amerykanów, wzięli do niewoli sztab XII armii niemieckiej, a gen. Patton z uznaniem wypowiadał się o ich dokonaniach i odwadze.

James P. Duffy, Vincent L. Ricci „Führer musi zginąć", opr. miękka, str. 308, wyd. Replika. Cena: 31,75 zł

Od momentu dojścia do władzy Hitler stał się obiektem wielu planowanych zamachów na jego życie. Większość z nich nigdy nie doszła do skutku lub zakończyła się niepowodzeniem, czy to na skutek procedur bezpieczeństwa przestrzeganych przez Hitlera, czy niesamowitego szczęścia, jakie mu towarzyszyło, czy dzięki infiltracji spiskowców przez Gestapo. Na łamach tej książki autorzy odpowiadają na klika kluczowych pytań dotyczących zamachów na Hitlera. Czy stolarz Georg Elser, który zdetonował bombę mającą zabić Führera działał sam, czy też był marionetką Himmlera? Czym kierował się student Maurice Bavaud, który jeździł za Hitlerem po całych Niemczech z pistoletem automatycznym? Czy zamach von Stauffenberga 20 VII 1944 r. w Wilczym Szańcu mógł zakończyć się sukcesem? Odpowiedź na nie, a także na klika innych daje pełny obraz prób i planów zamachów na Adolfa Hitlera.

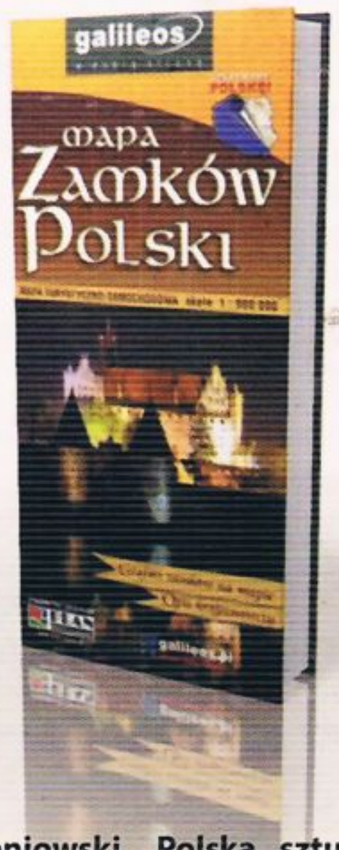

„Mapa Zamków Polskich", opr. miękka, str. 2 wyd. Plan. Cena: 8,40 zł

Turystyczno-samochodowa mapa Polski w skali 1:900 000 z zaznaczonymi zamkami (niebieskie i brązowe ikony), wraz z opisem i słownikiem architektury obronnej. Dodatkowo mapa zawiera grafiki obrazujące większość warowni oraz powiększone mapki rejonów, w których występuje większe skupisko zamków (np. Jura Krakowsko-Częstochowska). Na rewersie umieszczono szeroki opis turystyczny wybranych zamków wraz z grafikami. Pozycja niezbędna podczas wakacyjnych podróży dla wszystkich miłośników polskich zamków.

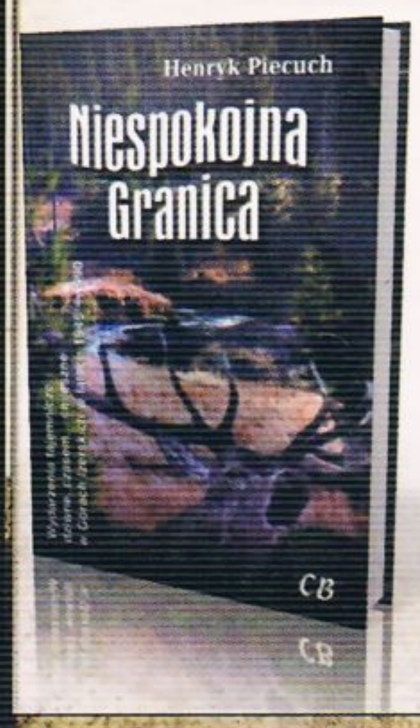

Henryk Piecuch „Niespokojna granica", opr. miękka, str. 204, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł

Autor ujawnia w tej książce niektóre z licznych sekretów, jakie kryją Góry Izerskie leżące na granicy polsko-czeskiej. Wśród głównych wątków pracy Henryka Piecucha nie brakuje tajemniczych morderstw, niewyjaśnionych wypadków i niespodziewanych samobójstw. Autor opisuje także m.in. WiN-owskie sekrety związane z tymi górami, różnego rodzaju prowokacje władzy, I zlot gejów, akcję „Hiacynt", „Operację Dunaj", znikające wioski, przestępców i konie. Dowodzi także, jak ekscytujące mogło być życie na górskiej strażnicy.

Paweł Korzeniowski „Polska sztuka wojenna na przykładzie regulaminów broni i wojsk w latach 1921-1939", opr. twarda, str. 440, wyd. Napoleon V. Cena: 65 zł

Celem publikacji jest przedstawienie zasad prowadzenia walki w Wojsku Polskim w latach II RP. Zostały one ujęte w ówczesnych regulaminach i instrukcjach walki. Wypracowanie całościowych norm prowadzenia walki oraz miejsca na polu bitwy poszczególnych formacji możliwe było dopiero po zakończeniu wojen o granice i niepodległość państwa polskiego. Dlatego też, jako datę początkową niniejszego opracowania przyjęto 1921 r., kiedy to ukazał się „Regulamin służby polowej" – pierwszy tego typu dokument. Data końcowa, 1939 rok, związana jest z wybuchem II wojny światowej, który położył kres rozwojowi teoretycznej myśli taktycznej. W poszczególnych rozdziałach prezentowanej książki omówiono regulacje dotyczące sześciu rodzajów wojsk lub broni: piechoty, kawalerii, artylerii, broni pancernej, lotnictwa oraz wojsk inżynieryjno-saperskich.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Jan Dalgiewicz, Wojciech Połomski „Historia JZS Jelcz", opr. twarda, str. 426, wyd. Arsgraf. Cena: 54,30 zł

Książka ta poświęcona jest jednemu z największych polskich, przemysłowych przedsiębiorstw państwowych, które funkcjonowało w latach 1952-1995. Redagujący tę publikację, Jan Dalgiewicz i Wojciech Połomski wystosowali apel do jelczańskiej społeczności o spisanie wspomnień i utrwalenie faktów, które po ułożeniu w całość utworzyły dość wierny obraz historii Jelczańskich Zakładów Samochodowych. Na łamach tej pracy zamieszczono pełne autentyzmu wspomnieniowe teksty 40 autorów. Przytoczyli oni wiele istotnych, jak i z pozoru nieważnych zdarzeń, przedstawili także losy swoje i swoich współpracowników splecione z procesami zachodzącymi w fabryce i w tym środowisku.

Sławomir Giziński, Andrzej Szutowicz „Oflag II B Arnswalde. Jenieckie losy", opr. twarda, str. 188, wyd. Nortom. Cena: 46,60 zł

Autorzy ukazali w niniejszej książce warunki życia polskich oficerów – jeńców wojennych, którzy po kampanii wrześniowej w 1939 r. trafili do niewoli niemieckiej. W maju 1942 r. jeńców polskich przeniesiono z Oflagu II B Arnswalde (Choszczno) do Oflagu IID Gross Born (Borne Sulinowo), który dotychczas zajmowali jeńcy francuscy. W książce przede wszystkim opisano historię pobytu polskich jeńców w Oflagu II B Arnswalde, przedstawiając strukturę obozu, warunki jenieckiego życia, konspirację obozową, ucieczki z obozu oraz życie religijne, kulturalne, sportowe i pracę oświatową. Omówiono tu również martyrologię kapelanów z Oflagu II B Arnswalde oraz niektóre biogramy wyższych oficerów.

Walter Lassmann „Moje przeżycia z Festung Breslau", opr. twarda, str. 272, wyd. Via Nova. Cena: 35,70 zł

W Polsce niemiecka literatura diarystyczna poświęcona obronie Festung Breslau nie jest zbyt rozpowszechniona. Dzienniki księdza Waltera Lassmanna mają zdecydowanie charakter prywatny. Pisane były bez myśli o publikacji, a jedynie w celu przekazania jednostkowej pamięci tamtego czasu gronu najbliższych znajomych i rodzinie. Apokaliptyczna rzeczywistość dni oblężenia wpisana jest wg autora jednoznacznie w boski plan wieków. Ksiądz Lassmann nie skupia się na pytaniu: DLACZEGO, ale JAK poddani ekstremalnemu doświadczeniu mieszkańcy miasta zdali egzamin jako ludzie i chrześcijanie. Relacja Lassmanna kończy się na roku 1947, kiedy został przesiedlony do Niemiec.

Tomasz Rzeczycki „Zagadka Drogi Sudeckiej", opr. miękka, str. 158, wyd. Technol. Cena: 26,75 zł

Książka ta stanowi pierwszy w Polsce opis powojennej historii Drogi Sudeckiej. Projekt rozpoczęty przez III Rzeszę i nadzorowany przez samego Göringa, nie został ukończony przed zakończeniem wojny. Porzucona inwestycja w sposób naturalny pobudzała zainteresowanie swą tajemniczością. Widząc niedokończoną szosę i towarzyszące jej budynki militarne, niejeden tropiciel sekretów zastanawiał się jakie tajemnice skrywa Droga Sudecka. Obecnie dzięki rozwojowi motoryzacji trasa dostępna jest zarówno dla profesjonalnych eksploratorów, jak i zwykłych turystów. W publikacji opisano dzieje takich odcinków sudeckiej trasy, jak: szosa ze Świeradowa Zdroju do Szklarskiej Poręby, szosa Chełmsko Śląskie-Łączna, Droga Stu Zakrętów, Droga Orlicka, Autostrada Sudecka i szosa Lądek-Zdrój-Złoty Stok.

Hans Joachim Röll „Strachwitz", opr. miękka, str. 352, wyd. Vesper. Cena: 38,40 zł

Biografia Hyacintha grafa Strachwitza to opowieść o jednej z najsławniejszych osobowości w historii wojskowości niemieckiej. Za odwagę w czasie II wojny światowej został wyróżniony Liśćmi Dębowymi z Brylantami i Mieczami do Krzyża Rycerskiego. Strachwitz już za życia stał się legendę zarówno dla swoich przyjaciół, jak i wrogów. Wyróżniało go niezwykłe wyczucie strategiczne przed i w czasie bitwy. W niniejszej publikacji opisano jego karierę wojskową, począwszy do I wojny światowej, kiedy służył w wojsku jako kawalerzysta, przez okres międzywojenny, pierwsze lata II wojny światowej, początek wojny ze Związkiem Radzieckim, ofensywę na Stalingrad w 1942, okres, w którym stał na czele pułku pancernego „Grossdeutschland", aż do objęcia przez niego dowództwa wojsk pancernych w Grupie Armii „Północ" i utworzenia Grupy Pancernej „Strachwitz".

Aldona Zaorska „KL Warschau Historia obozu zagłady w Warszawie", opr. miękka, str. 144, wyd. Bollinari Publishing House. Cena: 20,70 zł

Temat KL Warschau od lat jest spychany przez polskie władze i sądy na margines. Utworzony jako obóz koncentracyjny od początku miał służyć, jako obóz zagłady. Z różnych przyczyn umiejscowieniu lagrów w lasku na Kole i w okolicach Dworca Zachodniego od lat zaprzeczają oficjalne czynniki, umarzając kolejne śledztwa. W tej książce autorka stara się przybliżyć historię miejsca, w którym zginęło około 200 tys. ludzi, przedstawić plany Hitlera, w których zakładał wymordowanie Warszawiaków, a także wyjaśnić, dlaczego wokół KL Warschau pojawiło się tyle niedomówień.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 8/175

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

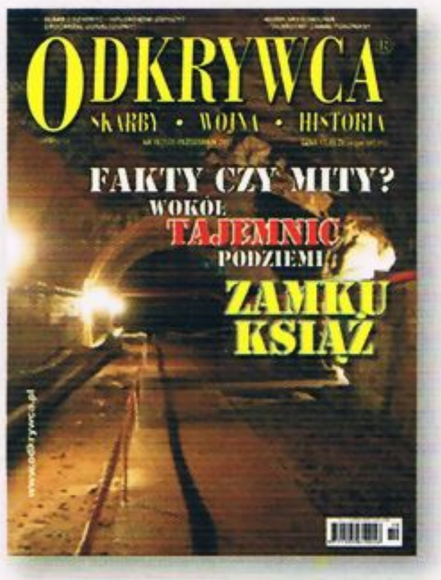

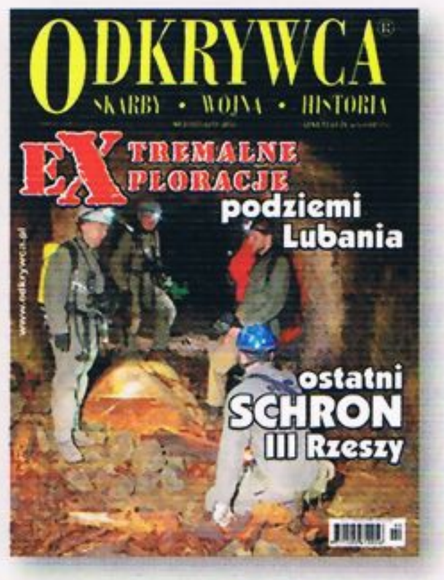

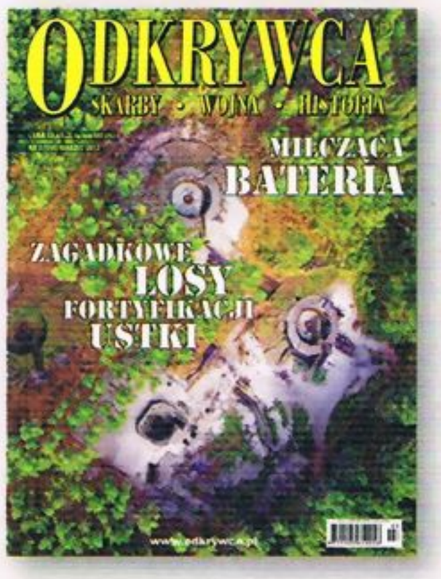

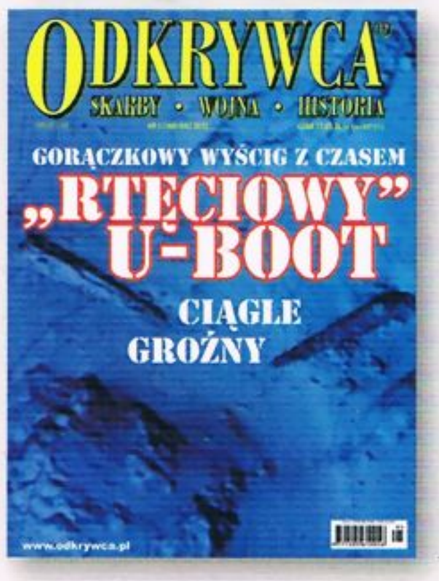

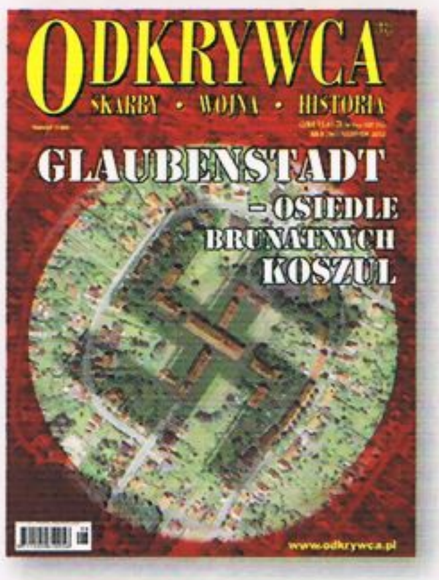

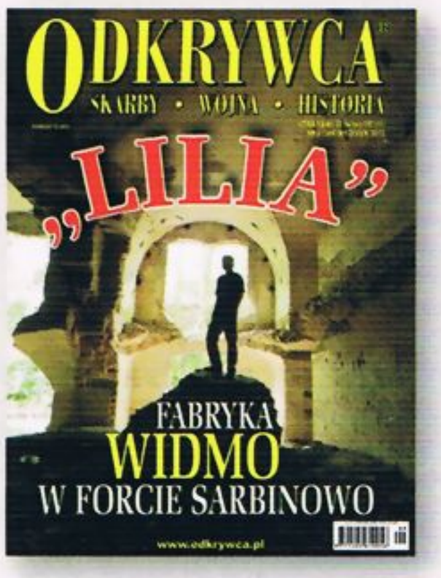

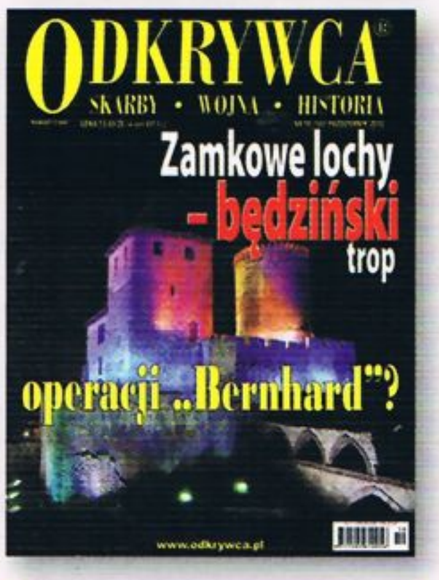

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca”. Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł
– list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71